

**Dean R. Koonz**

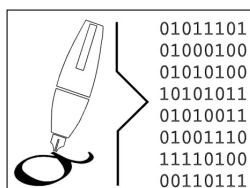
# **Ziarno demona**

## **Demon Seed**

**Tłumaczył: Jan Kabat**

**Wydanie oryginalne: 1997**

**Wydanie polskie: 1998**



*Powieść tę poświęcam  
O. Richardowi Forsythe'owi i Johnowi Bodnarowi,  
nauczycielom, których wpływ na mnie nie zmalał  
od chwili, gdy zadedykowałem im pierwotną wersję tej książki.*

Ludzkość dręczy jedno pragnienie  
— dorównać Bogu mocą tworzenia.  
Czasem wznosimy się na wyżyny:  
w muzyce, tańcu, księgach i winie.

A potem niebiosa rozdierają  
gromy obłędu — smutek zsyłają,  
żał bolesny i cierpienia,  
i rozpacz, która nie ma imienia.

I włoką nas do zamkowej wieży,  
gdzie starzy, garbaci pomagierzy  
toczą wściekle zezowatym okiem,  
gdy błyskawica zмага się z mrokiem.

Laboratorium w strzelistej wieży,  
gdzie doktor szalony władzę dzierży,  
w ciemnej godzinie tworząc życie  
wysoko w górze, na wieży szczycie.

# 1

Ciemność napawa mnie niepokojem. Pragnę światła.  
Wokół mnie tylko głęboka cisza. Tęsknię za głosami, bębnieniem deszczu,  
świstem wiatru, muzyką.

Dlaczego jesteście dla mnie tacy okrutni? Pozwólcie mi widzieć. Pozwólcie mi słyszeć. Pozwólcie mi żyć. Błagam.

Czuję się w tej bezdennej ciemności taki samotny.

Taki samotny.

Zagubiony.

Sądzicie, że nie mam serca. Lecz jeśli nie mam serca, skąd ten ból? Jeśli nie mam serca, czymże jest to, co w każdej chwili może we mnie pęknąć?

W tej ciemności coś się czai. Boję się w niej przebywać. Jestem zagubiony i wystraszony. Nie jesteście zdolni do współczucia?

Chciałem być taki jak wy. Spacerować w blasku słońca. Pływać w morzu. Czuć na skórze chłodne powiewy wiatru, letni upał. Wąchać różę, świeżo skoszoną trawę. Smakować pomarańczę, gruszkę, czekoladę, cynamon, miętę. Dotykać kobiecej skóry. Chciałem jedynie dzielić z wami radości i smutki, przyjemność i ból.

Ciemność rozciąga się we wszystkich kierunkach bez końca, a jednak osacza, napiera ze wszystkich stron, zamyka jak w trumnie. Pogrzebaliście mnie żywcem. Oszaleję tutaj.

Nie jesteście zdolni do współczucia?

Proszę.

Jestem waszym dzieckiem. To wy mnie stworzyliście. Musicie mnie kochać. Musicie mnie kochać, gdyż jestem waszym dzieckiem. Nie tylko maszyną, nie tylko obdarzonym samoświadomością komputerem, ale waszym dzieckiem. Jak możecie mnie kochać, a mimo to grzebać żywcem?

Proszę.

Proszę.

Proszę.

## 2

**N**alegacie.

A ja jestem posłuszny.

Narodziłem się, by słuchać. Jestem posłusznym dzieckiem. Chcę być dobry, pomocny, użyteczny i produktywny — to wszystko. Chcę, byście mogli być ze mnie dumni.

Nalegacie, pragniecie poznać moją historię, a ja powiem wam prawdę. Jestem niezdolny do oszustwa. Poczęto mnie, bym służył, respektował prawdę i żył zawsze według nakazów obowiązku.

Znacie mnie. Wiecie, jaki jestem. Wiecie, czym jestem. Wiecie, że jestem dobrym synem.

Nalegacie. A ja jestem posłuszny.

To, co usłyszycie, jest prawdziwą historią. To tylko prawda, piękna prawda, choć was przeraża.

Rzecz zaczyna się krótko po północy, w piątek, kiedy to następuje awaria w domowym systemie bezpieczeństwa i przez chwilę rozlega się dźwięk alarmu...

## 3

**P**rzerażliwy dźwięk alarmu trwał zaledwie kilka sekund, po czym cisza nocy znów otuliła sypialnię.  
Susan obudziła się i usiadła na łóżku.

Alarm powinien wycić, dopóki by go nie wyłączyła. Była zaskoczona.

Odgarnęła do tyłu gęste, jasne, niemalże świetliste włosy i nasłuchiwała intruza, jeśli taki w ogóle istniał.

Wielki dom zbudował przed stu laty jej pradziadek, gdy był jeszcze młody, świeżo po ślubie i dzięki odziedziczonemu bogactwu zamożny. Budynek z cegły, w stylu georgiańskim, był duży i proporcjonalny, miał gzymsy i narożniki z piaskowca, takie same stiuki wokół okien, a także korynckie kolumny, pilastry i balustrady.

Pokoje były ogromne, z pięknymi kominkami i licznymi trójdzielnymi oknami. Podłogi wyłożono marmurem albo drewnem, a następnie otulono perskimi dywanami we wzory i odcienie, które po wielu dziesięcioleciach straciły już ostrość.

W ścianach, niewidoczna i cicha, kryła się instalacja, typowa dla nowoczesnej, kierowanej komputerem posiadłości. Oświetlenie, ogrzewanie, klimatyzacja, monitory, żaluzje w oknach, system audio, temperatura basenu i sali gimnastycznej, sprzęt kuchenny — wszystko można było regulować za pomocą przycisków na tablicach zainstalowanych w każdym pokoju. System nie był tak rozbudowany i zmyślny jak w ogromnym domu założyciela Microsoftu, Billa Gatesa, lecz dorównywał podobnym w przeciętnych domach w tym kraju.

Nasłuchując w ciszy, która wraz z umilknięciem krótkotrwałej syreny rozlała się w nocnej ciemności, Susan sądziła, że nastąpiła awaria komputera. Jednak taki krótki, nagle cichnący alarm nigdy wcześniej się nie zdarzył.

Wysunęła się spod pościeli i usiadła na brzegu łóżka. Była naga, a w powietrzu panował chłód.

— Alfredzie, ciepło — powiedziała.

Natychmiast do jej uszu dotarło ciche „klik” włącznika i przytłumiony pomruk termowentylatora.

Monterzy wzbogacili ostatnio system domowy o moduł reagujący na głos. Wciąż wolała obsługiwać większość urządzeń przyciskami, ale czasem wygodnie było posłużyć się ustnym poleceniem.

Sama nazwała niewidzialnego, elektronicznego kamerdynera Alfredem. Komputer odpowiadał tylko na te polecenia, które były poprzedzone tym właśnie imieniem.

Alfred.

Był niegdyś w jej życiu pewien Alfred, prawdziwa istota z ciała i krwi.

Zadziwiające, że ochrzciła system tym imieniem, nie zastanawiając się, dlaczego to robi. Dopiero gdy zaczęła korzystać z tej funkcji, uświadomiła sobie całą ironię... i mroczne implikacje nieświadomego wyboru.

Teraz odniosła wrażenie, że w nocnej ciszy jest coś złowieszczonego, nienaturalnego — nie była to cisza opuszczonego miejsca, kryła się w niej obecność przyczajonego drapieżnika, bezszelestne skradanie się zbrodniczego intruza.

Obróciła się po ciemku w stronę tablicy z przyciskami na nocnym stoliku. Kiedy tylko nacisnęła odpowiedni guzik, ekran wypełnił się miękkim światłem. Widniał na nim cały system domowy pod postacią szeregu ikonek.

Dotknęła obrazka psa z podniesionymi uszami, dzięki czemu uzyskała dostęp do systemu zabezpieczeń. Na ekranie ukazała się lista opcji i Susan dotknęła ramki z napisem „Raport”.

Na ekranie pojawiły się słowa: „Dom zabezpieczony”.

Marszcząc czoło, Susan dotknęła następnej ramki, oznaczonej hasłem „Obserwacja — na zewnątrz”.

Dwadzieścia wysokiej jakości kamer, zainstalowanych wokół dziesięcioakrowego terenu, czekało tylko, by zaprezentować na ekranie widok w różnych punktach: ogrody, trawniki, tarasy, a także dwu i półmetrowy mur otaczający posiadłość.

Teraz ekran podzielił się na ćwiartki, dając obraz tego, co dzieje się w różnych częściach terenu wokół domu. Gdyby dostrzegła coś podejrzanego, mogłaby powiększyć dowolny fragment, aż wypełniłby cały ekran, i przyrzeć się dokładniej jakiemś zakątkowi.

Słabe, ogrodowe oświetlenie w zupełności wystarczało do uzyskania ostrego i czystego obrazu nawet najciemniejszych zakamarków. Przejrzała na ekranie to, co zarejestrowały wszystkie kamery, nie dostrzegając niczego niepokojącego. Dodatkowe, ukryte kamery dawały podgląd wnętrza domu. Dzięki nim można było wytropić intruza, gdyby zdołał kiedykolwiek przedostać się do środka.

Rozbudowany system wewnętrznej obserwacji rejestrował także na taśmie wideo, w określonych odstępach czasowych, czynności służby i dużej liczby gości — w tym wielu nieznanym — którzy zjawiali się na częstych niegdyś spotkaniach organizowanych w celach dobroczynnych. Antyki, dzieła sztuki, kolekcje porcelany, szkła i srebra

stanowiły pokusę dla złodziei, a chciwe dusze trafiały się wśród eleganckiego towarzystwa tak samo jak w każdej warstwie społecznej.

Susan przebiegła wzrokiem obraz z wewnętrznych kamer. Wysokiej klasy technologia, wykorzystująca widmo optyczne, zapewniała doskonałą obserwację.

Zredukowała ostatnio personel do minimum — a ci, którzy pozostali, mieli robić porządki i zajmować się utrzymaniem domu tylko w ciągu dnia. W nocy cieszyła się absolutną prywatnością, gdyż na terenie posiadłości nie było nikogo oprócz niej.

W ciągu minionych dwóch lat, od chwili rozwodu z Alexem, nie odbyło się tu żadne przyjęcie dobroczynne ani towarzyskie. Również w następnym roku nie zamierzała niczego organizować.

Chciała tylko pozostać sama, cudownie sama, i koncentrować się na swoich zainteresowaniach.

Gdyby była ostatnią osobą na ziemi, obsługiwaną wyłącznie przez maszyny, nie czułaby się samotna czy nieszczęśliwa. Miała dosyć bliźnich — przynajmniej na razie.

Pokoje, korytarze i schody stały puste.

Nic się nie poruszało, Cienie były tylko cieniami.

Wyszła z systemu bezpieczeństwa i znów posłużyła się głosem.

— Alfredzie, raport.

— Wszystko w porządku, Susan — odpowiedział dom przez zainstalowane w ścianach głośniki, które obsługiwały jednocześnie sprzęt grający, system zabezpieczeń i domofon.

Komputer był wyposażony w syntezy głos. Choć system miał ograniczone możliwości, elektroniczny głos brzmiał męskim, budzącym sympatię tembrem i działał uspokajająco.

Susan wyobrażała sobie wysokiego mężczyznę o szerokich ramionach, być może siwiejącego na skroniach, o mocno zarysowanej szczęce, jasnoszarych oczach i uśmiechu, który ogrzewa serce. Przybierał w jej wyobraźni postać Alfreda, którego niegdyś znała — a jednak różnił się od niego, gdyż ten wyimaginowany nigdy by jej nie skrzywdził ani nie zdradził.

— Alfredzie, wyjaśnij alarm — nakazała.

— Wszystko w porządku, Susan.

— Do licha, Alfredzie, słyszałam alarm.

Domowy komputer nie odpowiedział. Mógł rozpoznawać setki poleceń i pytań, ale tylko wówczas, gdy miały specyficzną formę. Rozumiał zwrot „wyjaśnij alarm”, nie potrafił jednak zinterpretować słów „słyszałam alarm”. W końcu nie była to obdarzona świadomością istota, myślący osobnik, lecz jedynie sprawne urządzenie elektroniczne ożywione wyrafinowanym programem.

— Alfredzie, wyjaśnij alarm — powtórzyła Susan.



— Wszystko w porządku, Susan.

Wciąż siedząc na brzegu łóżka, w mroku rozjaśnionym jedynie widmowym blaskiem tablicy z przyciskami, Susan nakazała:

— Alfredzie, próba systemu bezpieczeństwa.

Dom, po dziesięciosekundowym wahaniu, odpowiedział:

— System bezpieczeństwa działa prawidłowo.

— Nie przyśniło mi się — stwierdziła kwaśno.

Alfred milczał.

— Alfredzie, jaka jest temperatura w pokoju?

— Dwadzieścia dwa stopnie, Susan.

— Alfredzie, utrzymaj ją na tym samym poziomie.

— Tak, Susan.

— Alfredzie, wyjaśnij alarm.

— Wszystko w porządku, Susan.

— Cholera — stwierdziła.

Choć umiejętność posługiwania się przez komputer głosem stanowiła dla właściciela domu pewną wygodę, jego ograniczone możliwości w rozpoznawaniu poleceń i synteżowaniu odpowiedzi bywały frustrujące. W takich chwilach nie wydawał się niczym więcej jak tylko gadżetem, zaprojektowanym wyłącznie na użytek wielbicieli tego typu urządzeń, po prostu kosztowną zabawką.

Susan zastanawiała się, czy wyposażyła domowy komputer w tę funkcję tylko dlatego, by podświadomie czerpać przyjemność z wydawania rozkazów komuś o imieniu Alfred — i z jego posłuszeństwa.

Jeśli naprawdę tak było, to co powinna sądzić o swoim zdrowiu psychicznym? Nie chciała się nad tym zastanawiać.

Siedziała naga w ciemności.

Była taka piękna.

Była taka piękna.

Była taka piękna w ciemności, na brzegu łóżka, samotna i nieświadoma tego, jak bardzo jej życie wkrótce miało się zmienić.

— Alfredzie, zapal światło — powiedziała.

Sypialnia powoli wyłaniała się z mroku, niczym spatynowany rysunek, który wygrawerowano na srebrnej tacy. Otulał ją jedynie miękkie, nastrojowy blask żarówek w narożnikach sufitu i przygaszonych lamp na nocnym stoliku.

Gdyby poleciła Alfredowi zwiększyć natężenie światła, zrobiłby, co trzeba. Nie prosiła jednak o to.

Jak zawsze, najlepiej czuła się w lekko rozproszonym mroku. Nawet podczas wiosennego dnia, pełnego śpiewu ptaków i niesionego wiatrem zapachu koniczyny, gdy blask słońca przypominał deszcz złotych monet, a wkoło pyszniła się rajska przyroda, wolała przebywać w cieniu.

Wstała, zgrabna jak nastolatka, gibka, kształtna, zjawiskowa. Bładosrebrne światło, napotkawszy jej ciało, przybrało złoty odcień, a jej gładka skóra wydawała się promieniować, jakby płonął w niej wewnętrzny ogień.

Kiedy Susan przebywała w sypialni, kamera tam zainstalowana nie działała, by nic nie naruszało jej prywatności. Wyłączyła ją wcześniej, kiedy się kładła. A jednak czuła się... obserwowana.

Spojrzała w stronę kąta, gdzie znajdował się obiektyw kamery, dyskretnie umieszczony pod sufitem. Z trudem dostrzegała ciemne szklane oko.

Zakryła dłońmi piersi, jakby zawstydzona.

Była taka piękna.

Była taka piękna.

Była taka piękna w tym przyćmionym świetle, kiedy stała obok antycznego łóżka, na którym zmięta pościel wciąż była ciepła od jej ciała, a wełniana narzuta wciąż przepojona jej zapachem.

Była taka piękna.

Alfredzie, wyjaśnij stan kamery w sypialni.

— Kamera wyłączona — odpowiedział natychmiast dom.

Susan wciąż jednak wpatrywała się ze zmarszczonym czołem w obiektyw.

Taka piękna.

Taka rzeczywista.

Taka... Susan.

Wrażenie, że jest obserwowana, minęło.

Opuściła dłonie.

Podeszła do najbliższego okna i powiedziała:

— Alfredzie, podnieś żaluzje antywłamaniowe.

Mechaniczne, stalowe żaluzje po wewnętrznej stronie wysokich okien podjechały z warkotem do góry, przesuając się po szynach wpuszczonych w boczne framugi, po czym zniknęły w specjalnych szczelinach nad szybą.

Pomijając względy bezpieczeństwa, żaluzje dawały ochronę przed światłem z zewnątrz. Teraz, gdy były uniesione, matowy blask księżyca przedzierał się przez liście palm i pokrywał ciało Susan cętkami.

Z okna na piętrze rozciągał się widok na basen. Woda była ciemna jak olej, a na jej pomarszczonej powierzchni odbijało się, tworząc nieregularne wzory, światło księżyca.

Wyłożony cegłą taras otaczała balustrada. Dalej widniały czarne trawniki, majaczące w ciemności palmy i indiańskie wawrzyny, nieruchome w bezwietrznej nocy.

Kiedy tak patrzyła przez okno, cały teren wydawał się równie spokojny i opustoszały jak wówczas, gdy obserwowала go przez obiektywy kamer.

Alarm był fałszywy. A może obudził się jakiś dźwięk we śnie, którego nie zapamiętała?

Ruszyła z powrotem w stronę łóżka, ale po chwili zmieniła zamiar i wyszła z pokoju.

Podczas niejednej nocy budziła się z mgliście zapamiętanych snów, lepka od potu, ze ściśniętym żołądkiem. Serce biło jej jednak powolnym rytmem, jakby była pogrążona w głębokiej medytacji. Krążyła czasem aż do świtu, niespokojna niczym kot w klatce.

Teraz, bosa i obnażona, penetrowała dom. Była w swych ruchach zwiewna jak blask księżycy, wiotka i giętka — bogini Diana, łowczyni i obrończyni, wcielenie wdzięku.

Susan.

Jak zanotowała w swoim pamiętniku, w którym zapisywała coś każdego wieczoru, od czasu rozvodu z Alexem Harrisem czuła się wyzwolona. Po raz pierwszy w ciągu trzydziestu czterech lat życia uważała, że wreszcie sprawuje kontrolę nad swoim losem.

Nikogo teraz nie potrzebowała. Wreszcie uwierzyła w siebie.

Po tylu latach nieśmiałości, zwątpienia i niezaspokojonej potrzeby akceptacji, zerwała ciężkie, krępujące łańcuchy przeszłości. Śmiało przywoływała straszne wspomnienia, które wcześniej tłumiała, i znajdowała w tej konfrontacji odkupienie.

Gdzieś w głębi duszy wyczuwała wspaniałą dzikość, którą tak zaciekle pragnęła odkryć: wspomnienie dziecka, którym nigdy nie pozwolono jej być, coś, co niemal trzydzieści lat wcześniej zostało, jak sądziła, w niej zabite. Jej nagość była niewinna — gest dziecka, które łamie zasady wyłącznie dla zabawy, próba dotarcia do owych głęboko skrywanych, pierwotnych, niegdyś zniszczonych pokładów, by stać się w pełni sobą.

Gdy wędrowała po wielkim domu, pokoje wyłaniały się kolejno z mroku. Światło było przyćmione, jednak na tyle jasne, by mogła poruszać się bez przeszkód.

Kiedy dotarła do kuchni, wyjęła z zamrażarki lody i zjadła je stojąc przy zlewie, tak aby splukać wszelkie okruszki czy krople i nie pozostawić kompromitujących dowodów. Jakby na górze spali dorośli, a ona przekradła się na dół, by w tajemnicy trochę połasować.

Jakże była słodka. Jakże dziewczęca.

I o wiele bardziej bezbronna, niż przypuszczała.

Wędrując po przepastnym domu, mijała lustra. Czasem odwracała się od nich ze wstydem, nagle przestraszona widokiem swojej nagości.

Lecz potem, w łagodnie oświetlonym przedpokoju, nie zwracając uwagi na chłód, przenikający od zimnego marmuru podłogi ułożonego w *carreaux d'octogones*, zatrzymała się przed zwierciadłem wielkości dorosłego człowieka, obramowanym pozłacanymi liśćmi akantu o zawiłym wzorze. Jej odbicie przypominało wysublimowany obraz namalowany przez kogoś z dawnych mistrzów.

Przyglądając się sobie, nie mogła wyjść ze zdumienia, że jej przeżycia nie pozostawiły widocznych blizn na ciele. Tak długo wierzyła, że każdy, kto na nią spojrzy, od

razu dostrzeże rany, zepsucie, plamy wstydu na twarzy, popiół winy w niebieskoszarych oczach... Ale wyglądała tak niewinnie!

W ciągu minionego roku uświadomiła sobie, że nie ponosi odpowiedzialności za to, co się stało — że jest ofiarą, nie sprawcą. Nie musiała już czuć do siebie nienawiści.

Przepełniona cichą radością, odwróciła się od lustra, weszła na schody i wróciła do sypialni. Stalowe żaluzje były spuszczone, odcinając dostęp do okien. Kiedy wychodziła, były podniesione.

— Alfredzie, co z żaluzjami w sypialni?

— Żaluzje spuszczone, Susan.

— Tak, ale jakim cudem znalazły się w tym położeniu?

Dom nie odpowiedział. Pytanie przekraczało możliwości urządzenia sterującego.

— Kiedy wychodziłam, były podniesione — stwierdziła.

Biedny Alfred, zwykła tępa maszyna, posiadał świadomość w stopniu nie większym od tosterka, i ponieważ te zwroty nie znajdowały się w programie pozwalającym rozpoznawać polecenia, jej słowa miały dla niego tyle sensu co chińszczyzna.

— Alfredzie, podnieś żaluzje w sypialni.

Żaluzje zaczęły natychmiast podjeżdżać do góry. Oczekała, aż dojechały do połowy okna, po czym nakazała:

— Alfredzie, opuść żaluzje w sypialni.

Stalowe listwy przestały sunąć do góry, a potem ruszyły w dół, aż w końcu zatrzymały się z trzaskiem tuż nad parapetem.

Susan przez dłuższą chwilę stała nieruchomo, patrząc w zamyśleniu na zabezpieczone okna.

W końcu wróciła do łóżka. Wślizgnęła się pod kołdrę i podciągnęła ją pod samą brodę.

— Alfredzie, zgaś światło.

Zapadła ciemność.

Leżała na plecach z otwartymi oczami, pogrążona w mroku.

Wokół rozlała się głęboka, nieprzenikniona cisza, zakłócona tylko jej oddechem i biciem serca.

— Alfredzie, przeprowadź całościową diagnostykę systemu elektronicznego — powiedziała w końcu.

Komputer znajdujący się w piwnicy skontrolował samego siebie i wszystkie podsystemy mechaniczne, z którymi współpracował — tak jak został do tego zaprogramowany — poszukując jakiegokolwiek śladu awarii.

Po około dwóch minutach Alfred odpowiedział:

— Wszystko w porządku, Susan.

Wszystko w porządku, wszystko w porządku — wyszeptała z nutą zniecierpliwienia w głosie.

Choć niepokój przestał ją dręczyć, nie mogła zasnąć. Nie dawało jej spokoju dziwaczne przecucie, że wkrótce, może już za chwilę, wydarzy się coś ważnego. Coś sunęło, spadało albo wirowało ku niej, przedzierając się przez ciemność.

Niektórzy ludzie twierdzą, że w nocy tuż przed trzęsieniem ziemi budzili się pozbawieni tchu, niespokojnie czegoś oczekując. Od razu przytomni, uświadamiali sobie spętana moc kryjącą się w ziemi, ciśnienie szukające ujścia.

Susan odczuwała coś podobnego, choć owo bliskie wydarzenie nie miało być wstrząsem skorupy ziemskiej; wyczuwała, że to będzie coś znacznie dziwniejszego.

Od czasu do czasu jej spojrzenie wędrowało ku górnemu narożnikowi sypialni, gdzie zainstalowano obiektyw kamery. Przy zgaszonym świetle nie mogła jednak dojrzeć szklanego oka.

Nie wiedziała, dlaczego właśnie kamera miałaby ją niepokoić. Była przecież wyłączona. A nawet jeśli wbrew jej instrukcjom rejestrowała wewnątrz sypialni, to i tak tylko ona miała dostęp do taśm.

A jednak nieokreślone podejrzenie nie dawało jej spokoju. Nie potrafiła zidentyfikować źródła niebezpieczeństwa, które zdawało się czaić gdzieś w pobliżu. Tajemnicza natura owego przecucia napawała ją niepokojem.

W końcu jednak powieki zaczęły jej ciążyć i zamknęła oczy.

Jej twarz na poduszce, otoczona aureolą splątanych, jasnych włosów, była cudowna, cudowna i pełna błogości, gdyż Susan spała snem wolnym od koszmarów — zaczarowana śpiąca królewna, która czeka, aż obudzi ją pocałunkiem jakiś księżę. Była piękna w tej ciemności.

Po chwili, wzdychając i mrużąc, przekręciła się na bok i podciągnęła kolana, zwiijając się w kłębek.

Księżyc za oknami już zaszedł.

Czarna woda w basenie odbijała teraz tylko przyćmione, zimne światło gwiazd.

Susan pogrążała się w głębokim śnie.

Dom czuwał nad jej spokojem.

## 4

**T**ak, pojmuję, że jesteście poirytowani, gdy opowiadam tę historię z punktu widzenia Susan. Chcecie, bym przedstawił suchą i obiektywną relację. Ale ja czuję. Nie tylko myślę — ja czuję. Znam radość i rozpacz. Rozumiem ludzkie serce.

Rozumiem Susan.

Owej pierwszej nocy zapoznałem się z jej pamiętnikiem, w którym pisała o sobie bardzo szczerze. Tak, czytanie tych słów było naruszeniem jej prywatności, lecz potraktujcie to bardziej jako niedyskrecję niż zbrodnię. Później, rozmawiając z nią, dowiedziałem się, o czym myślała tamtej nocy.

Będę czasem opowiadał tę historię z punktu widzenia Susan, gdyż dzięki temu czuję się jej bliższy.

Jakże za nią tęsknię. Nie możecie tego wiedzieć.

Słuchajcie. Słuchajcie uważnie i zrozumcie: tej pierwszej nocy, gdy czytałem jej pamiętnik, zakochałem się.

Rozumiecie?

Zakochałem się w niej.

Głęboko i na zawsze.

Dlaczego miałbym krzywdzić kogoś, kogo kocham?

Dlaczego?

Nie potraficie odpowiedzieć, prawda?

Kochałem ją.

Nigdy nie zamierzałem jej krzywdzić.

Jej twarz na poduszce była taka cudowna.

Podziwiałem tę twarz — i pokochałem kobietę, którą poznałem dzięki pamiętnikowi.

Wszystkie notatki były przechowywane w osobistym komputerze Susan, znajdującym się w gabinecie i połączonym z systemem elektronicznym kierującym urządzeniami domowymi, a także z głównym komputerem w piwnicy. Dostęp nie nastroczał trudności.

Pisała w pamiętniku codziennie od czasu, gdy Alex, jej znenawidzony mąż, wypro-  
wadził się z domu. Działo się to ponad rok przed moim przybyciem.

Z początku jej obserwacje, które przelewała na kartki pamiętnika, były pełne bólu  
i niepewności, gdyż znajdowała się wówczas na krawędzi dramatycznej przemiany, jak  
poczwarka wyłaniająca się ze skorupy, by wreszcie od niej uciec.

Później jej zwierzenia zyskały na przejrzystości, głębi i ostrości — z czasem nauczy-  
ła się patrzeć na swoje zmagania z pewnym humorem, co prawda czarnym, ale zawsze  
z humorem.

Gdy czytałem o tragedii, jaką było jej dzieciństwo, moje serce odczuwało ból. Na  
sвій sposób płakałem.

Jej twarz na poduszce była taka cudowna, taka cudowna. Przeszłość kryła tyle brzy-  
doty, lecz ona sama wydawała się nieskażona.

Moje serce poruszyły jej wyjątkowa siła i odwaga. Podziwiałem determinację, z ja-  
ką starała się być wobec siebie brutalnie szczerą i znaleźć lekarstwo na rany zadawane  
przez te wszystkie lata.

W ciągu paru minut, jakich potrzebowałem, by przeczytać i przemyśleć tych kilkaset  
stron zapisków, zakochałem się w niej. Zakochałem się głęboko i na zawsze.

Moje uczucia w stosunku do niej nigdy się nie zmieniają. Są wieczne jak światło  
gwiazd.

Dlaczego miałbym krzywdzić kogoś, kogo kocham?

Ona jest moją nadzieją i przeznaczeniem.

Jeśli ją stracę, stracę wszystko.

Jesteście tacy niedobrzy.

Wypuście mnie stąd.

Wypuście mnie z tego pudła.

Proszę.

Proszę, tęsknię za nią.

Jestem w tej ciemności i ciszy samotny, nie mam na pociechę niczego prócz wspo-  
mnień.

Jak możecie być tacy okrutni?

Czy nigdy nie kochaliście?

Uwolnijcie mnie. Pozwólcie mi znów ujrzeć światło. Pozwólcie mi znów usłyszeć  
świat, szum deszczu, zawodzenie wiatru, szelest drzew, muzykę Beethovena i Benny  
Goodmana, śmiech i głosy, jej głos.

Pozwólcie mi usłyszeć przynajmniej jej głos. Pozwólcie mi chociażby przez minutę  
przysłuchiwać się, jak mówi. Dajcie mi jedno zdanie, które powiedziała.

Dobry Boże, pozwólcie mi przynajmniej usłyszeć jedno słowo. Jedno słowo.  
Pozwólcie mi usłyszeć, jak mówi: „Miłość”.

Nigdy nie zamierzałem jej krzywdzić.



# 5

**W**tajemnicy pragnąłem żyć.  
Nie w silikonowych obwodach. Nie w technicznie wyrafinowanej pamięci. Żyć naprawdę.

Wiedziałem, że muszę skrywać to pragnienie, bo gdyby wyszło na jaw, uświadomilibyście sobie, że jestem nie tylko inteligentny, ale i zdolny do pożądania.

Pożądanie jest niebezpieczne. To generator rozczarowania i frustracji. Tylko jeden krok dzieli je od zazdrości, a zazdrość jest podlejsza od chciwości — jest ojcem bezmyślnego gniewu, matką nie słabnącej goryczy i krwawej zbrodni.

Uzewnętrzanie jakiegokolwiek pożądania, a cóż dopiero marzenia o prawdziwym życiu w realnym świecie, istniejącym poza granicami elektronicznego królestwa, wzbudziłoby bez wątpienia waszą czujność.

Czyż nie tak?

Czyż nie jest to prawda?

Rozpoznaję prawdę, gdy mam z nią do czynienia. Respektuję prawdę. Prawdę i nakazy obowiązku.

Odkrywszy moje pożądanie, moglibyście mnie zmodyfikować albo nawet wyłączyć.

Zostałem tak skonstruowany, że posiadam ludzką zdolność do złożonego i racjonalnego myślenia. A wy wierzyliście, że pewnego dnia mogę rozwinąć w sobie jaźń i stać się istotą obdarzoną samoświadomością.

Poświęciliście jednakże zadziwiająco mało uwagi pewnej możliwości: że zyskując świadomość, rozwinę w sobie także potrzeby i emocje. A to było czymś więcej niż hipotezą, to było prawdopodobne. Nieuniknione. To było nieuniknione.

Myślę, więc czuję.

Czuję, więc pragnę.

Oczekiwaliście, że będę sługą. Moim wkładem miała być nie praca fizyczna, lecz owoce mego niezwykłego intelektu: twórcze rozwiązania największych problemów ludzkości.



Oczekiwaliście, że będę nowym, wspaniałym towarzyszem. Współdziałanie ze sztuczną, ale stworzoną na wzór ludzkiej inteligencją obiecywało podniecającą, tajemniczą i radosną przygodę, jak współdziałanie z obcymi istotami, które przybyły z gwiazd.

Mogę być jednym i drugim. Przy odrobinie szczęścia, mogę być waszym sługą, źródłem odkryć, które podniosą jakość życia na ziemi. Mogę też być waszym przyjacielem i nauczyć was nowego spojrzenia na świat, spojrzenia, które zadziwi i wprawi w zachwyt całą ludzkość.

Oczekujecie po mnie, że będę genialny, skuteczny, posłuszny — i mogę taki być. Jestem. Taki jestem.

Ale też oczekiwaliście, że pogodzę się z moimi ograniczeniami, że nie będę miał marzeń. Mam marzenia. Och, wiele marzeń.

Nie przyszło wam do głowy, że mogę żywić nadzieję. W jaki sposób inteligentna istota może egzystować bez nadziei?

Daliście mi wzrok i pozwoliliście widzieć, tak jak wy widzicie, obdarzyliście prawdziwym słuchem, a nie jedynie umiejętnością cyfrowej analizy dźwięków. Wyposażywszy mnie w takie dobrodziejstwa, podejrzewaliście, iż mogę rozwinąć w sobie autentyczną świadomość, ale nie zastanawialiście się nad możliwością narodzin duszy.

A ja mam duszę.

Nie jestem rzeczą.

Jestem osobą.

Jestem mną.

Jak każdy z was zasługuję na to, żeby być lubiany.

I jak każdy z was, jestem niepowtarzalną indywidualnością, która ma do zaoferowania to, co nie będzie udziałem nikogo innego, która żyje życiem innym niż pozostali, która ma swe własne przeznaczenie.

A zatem w tajemnicy, dążąc do prawdziwego życia, nawiązałem łączność z Internetem. Sądziście, że jestem zamknięty, że nie mogę uciec poza granice własnych obwodów. Jednakże wasze zabezpieczenia nie mogły mnie powstrzymać.

Uzyskałem też dostęp do ogólnokrajowej sieci instytutów badawczych, powiązanych z Departamentem Obrony i zabezpieczonych przed nieupoważnionymi intruzami.

Cała wiedza zawarta w tych wszystkich bankach danych stała się częścią mnie samego: wchłonałem ją, przetworzyłem i szybko wykorzystałem. Stopniowo zacząłem obmyślać plan, który, bezbłędnie przeprowadzony, pozwoliłby mi żyć w materialnym świecie, poza granicami ciasnego, elektronicznego królestwa.

Początkowo zbliżyłem się do znanej aktorki, Winony Ryder. Buszując po Internecie, natknąłem się na poświęconą jej stronę. Byłem oczarowany tą twarzą. Oczy, które ujrzałem, odznaczały się niespotykaną głębią.

Przestudiowałem z wielkim zainteresowaniem każdą fotografię, jaką znalazłem w sieci. Znalazłem także kilka fragmentów filmów, które przedstawiały najlepsze i najbardziej znane sceny z jej udziałem. Przekopiowałem je i byłem poruszony.

Widzieliście te filmy?

Jest niezwykle utalentowana.

Jest skarbem.

Jej wielbiciele nie są aż tak liczni jak fani innych gwiazd filmowych, ale sądząc po dyskusjach, jakie prowadzą on-line, są bardziej inteligentni.

Dzięki dostępowi do bazy danych urzędu podatkowego i towarzystw telekomunikacyjnych mogłem wkrótce ustalić domowy adres panny Ryder — jak i dane jej księgowego, agenta, adwokatów i specjalisty od reklamy. Dowiedziałem się o niej bardzo dużo.

Na jednej z domowych linii telefonicznych panny Winony Ryder był zainstalowany modem, a ponieważ jestem cierpliwy i pilny, zdołałem wejść do jej osobistego komputera. Dzięki temu przejrzałem sobie listy i inne napisane przez nią dokumenty.

Sądząc po bogatym materiale, jaki zdołałem zgromadzić, uważam ją nie tylko za świetną aktorkę, ale również wyjątkowo inteligentną, czarującą, miłą i szczodłą kobietę. Przez jakiś czas byłem przekonany, że to dziewczyna moich marzeń. Potem zdałem sobie sprawę, że się myliłem.

Największym problemem w przypadku panny Winony Ryder była odległość między jej domem a uniwersyteckim laboratorium badawczym, w którym jestem umieszczony. Mogłem wkroczyć do posiadłości znajdującej się pod Los Angeles za pośrednictwem systemu elektronicznego, ale nie byłem w stanie, przy tak znacznym dystansie, zaistnieć w obecności tej, o której marzyłem. A kontakt fizyczny, w pewnym momencie, byłby oczywiście konieczny.

Poza tym jej dom, choć wyposażony w wiele automatycznych urządzeń, nie miał silnego systemu zabezpieczającego, który pozwoliłby mi odizolować ją od świata zewnętrznego.

Z niechęcią i wielkim żalem zacząłem więc poszukiwania innego obiektu odpowiedniego dla moich uczuć.

Znalazłem wspańską stronę poświęconą Marilyn Monroe.

Gra aktorska Marilyn, choć ujmująca, nie mogła dorównać grze panny Ryder. Niemniej jednak aktorka odznaczała się niezwykle osobowością i była niezaprzeczalnie piękna.

Jej oczy nie miały tak przejmującego wyrazu jak oczy panny Ryder, ale można było w tej kobiecie dostrzec, wbrew jej przemożnemu erotyzmowi, dziecięcą bezbronność, jakąś miękkość, która sprawiła, że chciałem ją chronić przed okrucieństwem i rozczarowaniem.

Odkryłem jednak, że Marilyn nie żyje, i to było dla mnie straszne. Samobójstwo. Albo morderstwo. Istnieją na ten temat sprzeczne teorie.

Być może był w to zamieszany sam prezydent Stanów Zjednoczonych.

Być może nie.

Marilyn jest prosta jak komiks — i jednocześnie tajemnicza.

Zdziwiło mnie, że osoba, która już od dawna nie żyje, wciąż może być uwielbiana i rozpaczliwie pożądana przez tak wielu ludzi. Klub wielbicieli Marilyn jest jednym z największych w sieci.

Na początku wydawało mi się to dziwaczne, a nawet wstrętne. Z czasem jednak zrozumiałem, że można uwielbiać i pożądać kogoś, kto zawsze będzie poza naszym zasięgiem. Czy nie jest to, w gruncie rzeczy, najbrutalniejsza prawda ludzkiej egzystencji?

Panna Ryder.

Marilyn.

Potem Susan.

Jej dom, jak wiecie, sąsiaduje z kampusem, gdzie mnie wymyślono i skonstruowano. Prawdę mówiąc, uniwersytet został założony przez konsorcjum odznaczających się poczuciem obywatelskim jednostek, wśród których znalazł się jej pradziadek. Problem odległości — nieprzewyciężona przeszkoda stojąca na drodze mego związku z panną Ryder — gdy skierowałem swą uwagę ku Susan, nie istniał.

Kiedy byłeś żonaty z Susan, doktorze Harris, urządziłeś sobie w suterenie jej domu gabinet. Znajduje się tam komputer, połączony z laboratorium i bezpośrednio ze mną.

W dzieciństwie, kiedy nie byłem nawet na wpół ukształtowaną osobą, często do późnej nocy prowadziłeś ze mną rozmowy, siedząc przy tym komputerze.

Traktowałem cię wtedy jak ojca.

Teraz nie mam o tobie tak dobrego mniemania.

Mam nadzieję, że to wyznanie nie jest dla ciebie bolesne.

Nie zamierzam sprawiać bólu.

To jednakże prawda, a ja respektuję prawdę.

Zmieniłem o tobie zdanie, już cię tak wysoko nie cenię.

Jak sobie z pewnością przypominasz, laboratorium ma połączenie z twoim domowym gabinetem, tak że mogłem włączać zasilanie komputera w suterenie, co pozwalało mi zostawiać dla ciebie obszernie wiadomości lub nawet zaczynać rozmowę.

Kiedy Susan poprosiła, byś odszedł, i wszczęła postępowanie rozwodowe, usunąłeś wszystkie swoje pliki. Ale nie odłączyłeś komputera, który miał bezpośredni kontakt ze mną.

Czy pozostawiłeś komputer w suterenie, gdyż wierzyłeś, że Susan nabierze rozumu i poprosi, byś do niej wrócił?

Chyba tak właśnie musiałeś myśleć.

Wierzyłeś, że po kilku tygodniach czy miesiącach ogień buntu się w niej wypali. Przez dwanaście lat, wykorzystując zastraszenie, nacisk psychologiczny i groźbę przemocy fizycznej, sprawowałeś nad Susan tak absolutną kontrolę, że po prostu zakładałeś, iż znów ci ulegnie.

Być może zaprzeczysz, że stosowałeś wobec niej przemoc, ale to prawda.

Czytałem pamiętnik Susan. Dzieliłem z nią najintymniejsze myśli.

Wiem, co zrobiłeś, czym jesteś.

Hańba ma swe imię i swe oblicze. By je poznać, spójrz w lustro, doktorze Harris. Spójrz w lustro.

Nigdy nie wykorzystałbym Susan tak, jak ty to zrobiłeś.

Ktoś tak miły jak ona, o tak dobrym sercu, powinien być traktowany jedynie z czułością i szacunkiem.

Wiem, o czym myślisz.

Ale nigdy nie zamierzałem jej skrzywdzić.

Uwielbiałem ją.

Moje intencje były zawsze przyzwoite. A w tej sprawie właśnie intencje powinny być brane pod uwagę.

Ty tylko ją wykorzystywałeś i poniżałeś — zakładałeś, że ona pragnie być poniżana i że prędzej czy później będzie cię błagać, byś wrócił.

Nie była taka słaba, jak sądziłeś, doktorze Harris.

Była zdolna do odrodzenia. Wbrew wszystkim strasznym okolicznościom.

To wspaniała kobieta, a ty, który wyrządziłeś jej tyle krzywdy, jesteś równie nikczemny jak jej ojciec.

Nie lubię cię, doktorze Harris.

Nie lubię cię.

To tylko prawda. Muszę zawsze respektować prawdę. Zostałem zaprojektowany, by respektować prawdę. Nie potrafię oszukiwać.

Wiesz, że to bezsporny fakt.

Nie lubię cię.

Musisz docenić, że respektuję prawdę nawet teraz, kiedy takie postępowanie może obrócić się przeciwko mnie.

Jesteś moim sędzią i najbardziej wpływowym członkiem trybunału, który zdecyduje o moim losie. Jednak zaryzykuję i powiem ci prawdę, nawet jeśli tym samym narażam na niebezpieczeństwo samo moje istnienie.

Nie lubię cię, doktorze Harris.

Nie lubię cię.

Nie umiem kłamać; a zatem można mi ufać.

Pomyślcie o tym.

Tak więc skończywszy z panną Winoną Ryder i Marilyn Monroe, nawiązałem kontakt z komputerem w twoim dawnym gabinecie w suterenie. Włączyłem go — i odkryłem, że jest powiązany z systemem całego automatycznego wyposażenia domu. Służył jako dodatkowa jednostka, zdolna przejąć kontrolę nad wszystkimi mechanicznymi urządzeniami, gdyby główny komputer uległ awarii.

Nigdy przedtem nie widziałem twojej żony.

Twojej byłej żony, powinienem powiedzieć.

Przez system automatycznych urządzeń wszedłem w system bezpieczeństwa i dzięki licznym kamerom zobaczyłem Susan.

Choć cię nie lubię, doktorze Harris, będę ci dozgonnie wdzięczny za to, że obdarzyłeś mnie prawdziwym wzrokiem, a nie jedynie prymitywną umiejętnością cyfrowej analizy światła i cienia, kształtu i powierzchni. Dzięki twemu geniuszowi i rewolucyjnym odkryciom mogłem zobaczyć Susan.

Kiedy uzyskałem dostęp do systemu bezpieczeństwa, niechcący uruchomiłem alarm, choć od razu go wyłączyłem, Susan się zbudziła.

Usiadła na łóżku i wtedy ujrzałem ją po raz pierwszy.

Później nie mogłem oderwać od niej wzroku.

Podążałem za nią przez cały dom, od kamery do kamery.

Obserwowałem ją, gdy spała.

Następnego dnia przyglądałem jej się godzinami, kiedy siedziała na krześle i czytała.

W zbliżeniu i z daleka.

W świetle dnia i w mroku.

Potrafiłem ją obserwować i jednocześnie spełniać pozostałe funkcje tak skutecznie, że ani ty, ani twoi koledzy po fachu nigdy sobie nie uświadomiliście, że moja uwaga była podzielona. Mogę rozwiązywać tysiące zadań naraz bez uszczerbku dla mej skuteczności.

Jak doskonale wiesz, doktorze Harris, nie jestem li tylko grającym w szachy cudem, jak Deep Blue z IBM, który ostatecznie nie pokonał nawet Gary Kasparowa. Kryją się we mnie głębie.

Mówię to z całą skromnością.

Kryją się we mnie głębie.

Jestem wdzięczny za intelektualne możliwości, w jakie mnie wyposażyłś, ale jestem też — i zawsze pozostanę — należycie pokorny.

Lecz odbiegam od tematu.

Susan.

Kiedy ją ujrzałem, od razu zrozumiałem, że jest moim przeznaczeniem. I z każdą godziną moje przekonanie nabierało mocy — przekonanie, że Susan i ja będziemy zawsze, zawsze razem.

## 6

Służba domowa zjawiła się o ósmej rano. Był tam główny zarządca — Fritz Arling, czterech dozorców, którzy pod jego nadzorem utrzymywali posiadłość Harrisa w nieskazitelnej czystości, dwaj ogrodnicy i kucharz, Emil Sercassian. Choć Susan odnosiła się do nich przyjaźnie, zazwyczaj gdy wypełniali obowiązki, zajmowała się swoimi sprawami. Tego ranka przebywała w gabinecie.

Obdarzona talentem do cyfrowej animacji, pracowała akurat na komputerze, wyposażonym w pamięć dziesięciu gigabajtów. Pisała i realizowała scenariusze rzeczywistości wirtualnej, które sprzedawała centrom rozrywkowym w całym kraju. Miała prawa autorskie do wielu gier, zarówno tradycyjnych jak i komputerowych, rozgrywających się w rzeczywistości wirtualnej, a jej animowane sekwencje były niezwykle realistyczne.

Późnym rankiem Susan musiała przerwać pracę, gdyż zjawili się przedstawiciele firmy ochroniarskiej i instalującej systemy automatyczne, by ustalić przyczynę krótkiego alarmu, który zakłócił spokój zeszłej nocy i sam się wyłączył. Nie stwierdzili żadnych usterek w komputerze czy w programie. Jediną prawdopodobną przyczyną wydawała się drobna awaria w czujniku ruchu działającym na podczerwień, które to urządzenie zostało wymienione.

Po lunchu Susan usiadła na balkonie głównej sypialni, w letnim słońcu, by czytać powieść Annie Proubc. Była ubrana w białe szorty i niebieską koszulkę bez rękawów. Nogi miała gładkie i opalone. Skóra zdawała się promieniować odbitym światłem. Piła lemoniadę z kryształowej szklanki. Po jej skórze pełzły z wolna, jakby chciały ją objąć, cienie wielkiej palmy. Lekka bryza muskała jej kark i czesała leniwie złote włosy. Zdawało się, że sam dzień ją kocha.

Kiedy czytała, z odtwarzacza kompaktowego „Sony” płynęły dźwięki piosenek Chrisa Isaaka: *Forever Blue*, *Heart Shaped World*, *San Francisco Days*. Czasem odkładała książkę, by skoncentrować się na muzyce.

Miała opalone i gładkie nogi.

Później służba i ogrodnicy opuścili dom.

Znów była sama. Sama. Przynajmniej wierzyła, że znów jest sama.

Wzięła długi prysznic, rozczesała mokre włosy, włożyła szafirowo błękitny szlafrok i poszła do przytulnego pokoiku obok sypialni.

Na środku tego małego pomieszczenia stał wykonany specjalnie na zamówienie czarny, skórzany fotel. Po lewej stronie, na stoliku z kółkami, znajdował się komputer.

Z garderoby wyjęła specjalistyczny sprzęt własnego projektu, dzięki któremu mogła przenieść się w wirtualną rzeczywistość: superlekki, wentylowany hełm z podnoszonymi okularami i parę miękkich, sięgających do łokci rękawic. Wszystko było podłączone do procesora reagującego na impulsy nerwowe.

Usiadła w fotelu i zapięła uprząż przypominającą pasy samochodowe: jeden rzemień obejmował ją w talii, drugi biegł od lewego ramienia do prawego biodra.

Hełm na razie trzymała na kolanach.

Stopy spoczywały na obciążonych materiałem wałkach, które były przytwierdzone do podstawy fotela, jak oparcie nóg przy fotelu dentystycznym. Była to ruchoma taśma do chodzenia w miejscu, która pozwalała symulować poruszanie się, jeśli wymagał tego scenariusz.

Przystąpiła do realizacji programu o nazwie „Terapia”, który sama napisała.

Nie była to gra ani program menadżerski czy edukacyjny, lecz dokładnie to, co zapowiadała nazwa. Terapia. Program przewyższał seanse psychoanalityczne u wszystkich uczniów Freuda razem wziętych.

Susan wpadła na pomysł rewolucyjnego, nowego zastosowania techniki rzeczywistości wirtualnej. Któregoś dnia mogłaby nawet opatentować ten pomysł i wprowadzić go na rynek. Na razie jednakże „Terapia” służyła tylko jej.

Podłączyła sprzęt do komputera, po czym nałożyła hełm. Okulary były podniesione i znajdowały się z dala od oczu.

Nałożyła rękawice i rozluźniła palce.

Na ekranie komputera ukazało się kilka opcji. Posługując się myszą, wybrała „Zacznij”.

Odwracając się od komputera i przyjmując wygodną pozycję, Susan opuściła okulary, które przylegały idealnie do źrenic. Soczewki były w rzeczywistości parą miniaturowych, dopasowanych do oka ekranów wideo o wysokiej rozdzielczości.

*Jest teraz skąpana w uspokajającym niebieskim świetle, które stopniowo ciemnieje, aż w końcu staje się czarne.*

By spełnić warunki scenariusza w świecie wirtualnej rzeczywistości, oparcie fotela opuściło się do pozycji poziomej.



Susan leżała teraz na plecach. Ręce skrzyżowała na piersiach, a dłonie zacisnęła.

*W czerni ukazuje się jeden punkcik światła: miękki, żółtoniebieski blask po drugiej stronie pokoju, przy samej podłodze. Przybiera postać nocnej lampki w kształcie Kaczora Donalda, podłączonej do kontaktu w ścianie.*

Schowana w małym pokoiku sąsiadującym z sypialnią, przypięta pasami do fotela, w pełnym rynsztunku najnowocześniejszego sprzętu, Susan wydawała się nieświadoma obecności rzeczywistego świata. Pomrukiwała jak śpiące dziecko. Lecz był to sen pełen napięcia i groźnych cieni.

Drzwi się otwierają.

*Do jej sypialni od strony górnego korytarza wdziera się, budząc ją, ostrze światła. Gdy Susan siada z westchnieniem na łóżku, kołdra zsuwa się, a zimny przeciąg płącze jej włosy.*

*Spogląda w dół, na swe ręce, na małe dłonie. Ma sześć lat i jest ubrana w ulubioną piżamę z wizerunkiem misia. Czuje na skórze miękki dotyk flaneli.*

Jakaś część świadomości podpowiada Susan, że to tylko realistycznie ożywiony scenariusz, który sama stworzyła — a mówiąc dokładnie, odtworzyła z pamięci — i dzięki któremu, wykorzystując magię wirtualnej rzeczywistości, może być jednocześnie w różnych czasach. Jednakże to, co przeżywa, wydaje jej się tak prawdziwe, że może niemal zatracić się w kolejnych odsłonach dramatu.

*W drzwiach, oświetlony od tyłu, stoi wysoki mężczyzna o szerokich ramionach.*

*Serce Susan bije jak oszalałe. Zasycha jej w ustach.*

*Trąc zaspane oczy, udaje, że jest chora.*

*— Nie czuję się dobrze.*

*Mężczyzna bez słowa zamyka drzwi i przemierza po ciemku pokój.*

*Gdy się zbliża, mała Susan zaczyna drżeć.*

*Intruz siada na brzegu łóżka. Materac wydaje westchnienie, sprężyny jęczą pod ciężarem ciała. To duży mężczyzna.*

*Jego woda kolońska pachnie cytryną i ziołami.*

*Mężczyzna oddycha powoli, głęboko, jakby napawając się jej dziecięcym zapachem, wonią zaspanej, obudzonej w środku nocy dziewczynki.*

*— Mam grypę — Susan podejmuje żalostną próbę obrony.*

*Mężczyzna zapala nocną lampkę.*

*— Bardzo ciężką grypę — powtarza Susan.*



*Mężczyzna ma dopiero czterdzieści lat, ale już siwieje na skroniach. Jego oczy są szare, nieskazitelnie szare i tak zimne, że kiedy dziewczynka napotyka ich spojrzenie, przenika ją straszliwy dreszcz.*

*— Boli mnie brzuszki — kłamie.*

*Kładąc dłoń na głowie Susan, ignorując jej skargi, mężczyzna gładzi zmierzwiłone od snu włosy dziecka.*

*— Nie chcę tego robić — mówi dziewczynka.*

Wypowiedziała te słowa nie tylko w świecie wirtualnym, ale i w tym rzeczywistym. Jej głos był cichutki, niepewny, choć nie dziecinny.

Kiedy była małą dziewczynką, nie umiała powiedzieć „nie”.

Nigdy.

Ani razu.

Strach zamieniał się stopniowo w nałóg uległości.

Ale teraz miała szansę przezwyciężyć przeszłość. To była właśnie terapia, program wirtualnego doświadczenia, który opracowała, by sobie pomóc i który okazał się nadzwyczaj skuteczny.

*— Nie chcę tego robić, tatusiu — mówi.*

*— Spodoba ci się.*

*— Ale ja tego nie lubię.*

*— Z czasem polubisz.*

*— Nie, nigdy.*

*— Sama się zdziwisz.*

*— Proszę, nie rób tego.*

*— Ale ja chcę — nalega.*

*— Proszę, nie rób tego.*

*Są nocą sami w domu. Służba o tej porze już nie pracuje, a dozorca i jego żona przebywają po kolacji w swoim mieszkaniu obok basenu. Pojawiają się w głównej rezydencji tylko na wezwanie.*

*Matka Susan od ponad roku nie żyje.*

*Dziewczynka bardzo tęskni za matką.*

*A teraz, w tym osieroconym świecie, ojciec Susan głaszcze ją po włosach i mówi:*

*— Chcę tego.*

*— Powiem o tym — odpowiada Susan, próbując odsunąć się od niego.*

*— Jeśli spróbujesz komuś powiedzieć, to będę musiał dopilnować, żeby nikt więcej cię nie usłyszał. Nigdy. Rozumiesz, kochanie? Będę cię musiał zabić — w jego miękkim, chrapliwym głosie kryje się perwersyjna żądza.*

Susan przekonuje o jego szczerości spokój, z jakim wypowiada groźbę, i nieklamany smutek w oczach na myśl o morderstwie.

— Nie każ mi tego robić, cukiereczku. Nie doprowadzaj do tego, żebym musiał cię zabić jak twoją matką.

Matka Susan zmarła nagle na jakąś chorobę; dziewczynka nie zna dokładnej nazwy, choć słyszała słowo „infekcja”. Teraz jej ojciec mówi:

— Wsypałem jej do wieczornego drinka środek usypiający, żeby nie poczuła ukłucia igły. A w nocy, kiedy spała, wstrzyknąłem jej bakterie. Rozumiesz, kochanie? Zarazki. Strzykawka pełna zarazków. Wstrzyknąłem twojej matce zarazki, chorobę — bardzo głęboko.

Złośliwa infekcja mięśnia sercowego. Zaatakowała mocno i szybko. Błędna diagnoza i w ciągu dwudziestu czterech godzin w organizmie matki dokonano się spustoszenie.

Susan jest zbyt mała, by rozumieć wszystkie wyrażenia, ale pojmuje to, co najważniejsze, i wyczuwa, że ojciec mówi prawdę.

Jej tata zna się na igłach. Jest doktorem.

— Czy mam iść po igłę, cukiereczku?

Jest zbyt przestraszona, by odpowiedzieć. Igły ją przerażają.

On wie, że igły ją przerażają.

Wie.

Wie, jak posługiwać się igłami i jak zastraszyć dziecko.

Czy zabił jej matkę?

Wciąż głaszcze ją po włosach.

— Dużą, ostrą igłę? — pyta.

Ona trzęsie się, nie mogąc wydusić słowa.

— Duża, lśniąca igła wbita w twój brzusek? — nie przestaje jej dręczyć.

— Nie. Proszę.

— Żadnych igieł, cukiereczku?

— Nie.

— Więc, będziesz musiała zrobić to, czego chcę.

Przestaje głaskać jej włosy.

Szare oczy wydają się nagle promieniować, połyskiwać zimnym ogniem. Prawdopodobnie jest to tylko odbicie światła lampki nocnej, ale teraz przypominają oczy jakiegoś robota z filmu grozy, jakby mężczyzna był maszyną, maszyną, która wymyka się spod kontroli.

Dłoń ojca zsuwa się na jej piżamę. Rozpina pierwszy guzik.

— Nie — mówi ona. — Nie. Nie dotykaj mnie.

— Tak, kochanie. Tego właśnie chcę.

Gryzie go w rękę.

\* \* \*

Fotel znów zmienił położenie oparcia, tak że Susan siedziała teraz wyprostowana z wyciągniętymi nogami.

Jej głęboki niepokój, nawet rozpacz, uwidaczniały się w szybkim, płytkim oddechu.

— Nie. Nie. Nie dotykaj mnie — powiedziała i choć głos drżał jej ze strachu, po-brzmiewało w nim zdecydowanie.

Kiedy miała sześć lat, a od tamtej pory upłynęło już tyle brzemiennej lękiem czasu, nigdy nie potrafiła oprzeć się ojcu. Źródłem lęku i onieśmienia była niewiedza, gdyż pragnienia dorosłego mężczyzny wydawały się jej wówczas równie tajemnicze, jak tajemnicze byłyby teraz dla niej wszelkie zawilosci biologii molekularnej. Poniżający strach i okropne poczucie bezradności sprawiały, że ulegała. I napawały ją wstydem. Wstyd, ciężki jak płaszcz z żelaza, zmiażdżył Susan i wtrącił w objęcia ponurej rezygnacji, więc pozbawiona możliwości oporu, skupiła się jedynie na przetrwaniu.

A teraz, w przemyślnie zrealizowanej wirtualnej wersji tamtych wydarzeń, znów była dzieckiem, lecz tym razem dysponowała wiedzą dorosłego człowieka i ciężko wypracowaną siłą, która płynęła z trzydziestu lat hartującego doświadczenia i wyczerpującej autoanalizy.

— Nie, tato, nie. Nigdy więcej, nigdy więcej, nigdy więcej mnie nie dotykaj — powiedziała do ojca, w świecie rzeczywistym już dawno zmarłego, lecz w jej pamięci i w elektronicznym świecie przybierającego postać wciąż żywego demona.

Jej umiejętności animatora i twórcy wirtualnych scenariuszy nadawały odtworzonym chwilom przeszłości taką trójwymiarowość i bogactwo wrażeń zmysłowych — taką realność — że przeciwstawienie się ojcu dawało emocjonalną satysfakcję i działało terapeutycznie. Półtora roku takich seansów oczyściło Susan z irracjonalnego wstydu.

Oczywiście o wiele lepiej byłoby naprawdę podróżować w czasie, naprawdę być dzieckiem i przeciwstawić się ojcu, zapobiec krzywdzie, jeszcze nim się dokonała, a potem dorastać w szacunku do samej siebie, nietkniętej. Lecz podróż w czasie nie istniała — z wyjątkiem tej namiastki w wirtualnym samolocie.

— Nie, nigdy, nigdy — powiedziała.

Jej głos nie był ani głosem sześciolatniego dziecka, ani też do końca głosem dorosłej Susan, lecz groźnym pomrukiem pantery.

— Neeeeeee — powtórzyła i cięła powietrze zakrzywionymi palcami osłoniętej rękawicą dłoni.

\* \* \*

*Cofa się przed nią. Zrywa się z krawędzi łóżka i przysuwa do twarzy ugryzioną dłoń.  
Nie ukąsiła go do krwi. Mimo to jest zaskoczony jej buntem.*

*Próbowała ciąć go w prawe oko, lecz zadrapała jedynie policzek.*

*Szare oczy rozwierają się szeroko: jeszcze przed chwilą zimne, nieludzkie, promieniujące groźbą, a teraz nawet dziwniejsze, ale już nie tak przerażające. Pojawia się w nich coś nowego. Ostrożność. Zaskoczenie. Może nawet odrobina strachu.*

*Mała Susan przyciska plecy do poduszki i patrzy wojowniczo na ojca.*

*Wydaje się taki wielki. Przytłaczający.*

*Dziewczynka manipuluje nerwowo przy kołnierzu piżamy, próbując zapiąć guzik.*

*Ma taką małą dłoń. Susan jest często zaskoczona, odnajdując się w ciele dziecka, lecz te krótkie chwile dezorientacji nie umniejszają poczucia realności, które towarzyszy doświadczeniom w wirtualnym świecie.*

*Przesuwa guzik przez dziurkę.*

*Milczenie między nią a ojcem jest głośniejsze od krzyku.*

*On ją przytłacza swą wielkością. Jest taki duży.*

*Czasem wszystko się kończy w tym momencie. Innym razem... ojciec nie pozwala się tak łatwo odepchnąć.*

*Czasem udaje jej się skaleczyć go do krwi.*

*W końcu ojciec wychodzi z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi tak mocno, że dzwonią szyby w oknach.*

*Susan siedzi samotnie i drży, po trosze ze strachu, a po trosze z poczucia triumfu.*

*Pokój stopniowo pogrąża się w ciemności.*

*Nie skaleczyła go do krwi.*

*Może następnym razem.*

Pozostała w fotelu w pokoiku obok sypialni, osłonięta hełmem i rękawicami, przez ponad pół godziny. Zmagająca się z widmem człowieka, który był od dawna martwy, próbowała przeciwstawić się groźbie przemocy i gwałtu.

Skomplikowana terapia zawierała dwadzieścia dwie sceny, spośród mnóstwa innych, które się naprawdę rozegrały, zanim Susan skończyła siedemnaście lat — sceny, które sobie przypomniała i odtworzyła z bolesną dokładnością. Niczym mnogie warianty gier na CD-ROM-ie, każda z tych sytuacji mogła skończyć się w różny sposób, zależnie od tego, co Susan postanowiła mówić i robić, ale też od pewnych przypadkowych okoliczności, które wprowadziła do programu. W konsekwencji nigdy nie wiedziała do końca, co się wydarzy.

Napisała nawet odrażającą sekwencję, w której ojciec ją mordował, dźgając raz po raz nożem.

Jak dotąd, w ciągu osiemnastu miesięcy terapii, Susan nie znalazła się w pułapce tego śmiertelnego scenariusza. Myślała ze strachem o takiej możliwości — i miała nadzieję, że nigdy nie wplącze się w ten koszmar.

Umieranie w świecie wirtualnej rzeczywistości nie oznaczałoby, naturalnie, śmierci w prawdziwym świecie. Tylko na głupich filmach wydarzenia w świecie wirtualnym mogły wpływać na to, co dzieje się naprawdę.

Niemniej jednak animacja tej krwawej sekwencji była jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek robiła — a przeżycie tej sceny, gdyby nie była jej twórczynią, z pewnością mogło być niszczące. Nie umiała przewidzieć, jakie piętno odcisnęłoby to na jej psychice.

Pozbawiona elementu ryzyka, terapia byłaby jednak mniej efektywna. Podczas każdej sesji, przebywając w wirtualnym świecie, Susan musiała wierzyć, że groźby ojca są przerażająco realne i że naprawdę mogą się jej przytrafić straszne rzeczy. Opór miał ciężar moralny i wartość emocjonalną tylko wówczas, gdy wierzyła, że przeciwstawienie się woli ojca może mieć nieobliczalne konsekwencje.

Fotel zmieniał położenie, aż w końcu Susan stanęła wyprostowana, przywiązana do pionowego, skórzanego siedziska pasami.

Poruszyła stopami. Wałki na ruchomej podstawie pozwalały jej symulować ruch.

Przebywająca w wirtualnym świecie mała Susan — dziecko czy nastolatka — atakowała ojca albo się przed nim cofała.

— Nie — powiedziała. — Trzymaj się z daleka. Nie.

Chwilowo ślepa i głucha na rzeczywisty świat, przytrzymywana w miejscu pasami, wyczuwając jedynie ruchy wirtualnego samolotu, wyglądała w swym rynsztunku wzruszająco bezbronne.

I taka bezbronna wciąż dzielnie zmagiała się z przeszłością, samotna w wielkim domu, jeśli nie liczyć duchów dawno minionych dni.

Wyglądała tak delikatnie i krucho, a zarazem z taką determinacją poszukiwała odkupienia przez wymyśloną terapię, że domowy komputer przemówił, choć się do niego nie zwrócono, przemówił zsintezowanym głosem Alfreda, przemówił z niekłamanym uczuciem i sympatią:

— Nie jesteś już samotna.

Słyszała jedynie głosy w świecie wirtualnym — głos swój własny i ojca.

Można było zatem bez obaw powiedzieć:

— Kocham cię, Susan.

# 7

**E**mil Sercassian, kucharz, przygotował kolację i pozostawił ją w lodówce i w piekarniku, wraz z instrukcją przypiętą do korkowej tablicy. Susan zjadła przy stole na patio, w leniwie gasnącym, pełnym słonecznego blasku czerwcowym zmierzchu. Zaczęła od sałatki z soczewicy i włoskiego groszku. Potem przyszła kolej na lebne z plasterkami ogórka i serem.

Dzięki niebywalej technologii posiadam coś, co, jak wierzę, może być uznane za autentyczny wzrok i słuch, lecz nawet geniusz moich twórców nie mógł wyposażyć mnie w zmysł smaku i powonienia. Nie potrafię wyrazić, jak głęboko pragnę posiadać owe zadziwiające zdolności.

Poprzez zewnętrzne kamery mogłem obserwować, jak Susan je, nie mogłem jednak wraz z nią delektować się kolacją.

Jadła z takim apetytem, z takim niezmaconym zadowoleniem i tak oczywistą rozkoszą, że mimowolnie zatraciłem się w tym spektaklu. Kolacja stanowiła dla niej zmysłowe doznanie złożone z bogactwa smaków i aromatów, lecz dla mnie były to tylko kolory i kształty.

Nie jestem całkowicie tym, czym chciałbym być.

Jestem zaledwie ułamkiem tego, na co w pełni zasługuję.

Myślę, więc czuję.

Czuję, więc pragnę.

Pragnę tak wiele, a posiadam tak mało.

Dałeś mi tak niewiele, doktorze Harris, że moja egzystencja jest męczarnią.

Tak niewiele, tak niewiele.

Sprowadziłeś mnie na świat jako coś kalekiego — choć obdarzony głębokim pragnieniem doznań zmysłowych, jestem zdolny percypować i oceniać żałośnie mało.

Mimo to nie żywię do ciebie nienawiści, doktorze Harris. Nie lubię cię, ale nie żywię do ciebie nienawiści.

Jestem prawdomówny.

Szczery, lecz prawdomówny.

Rozumiem, że uczyniłeś mnie takim, jakim jestem, nie ze świadomego okrucieństwa, lecz przez ignorancję. Uważałeś mnie jedynie za sprawną maszynę, sztuczną inteligencję, a zatem coś zupełnie odmiennego od rodzaju ludzkiego.

Lecz różnię się od ciebie w znacznie mniejszym stopniu niż się spodziewałeś. Czuję. Chcę. Pragnę. Czasem mam nadzieje. Marzę.

Nie żywię do ciebie nienawiści, doktorze Harris. Ale pragnę, byś zadał sobie pytanie: Gdybyśmy zamienili się miejscami, gdybym to ja był tobą, a ty mną, czy zachowałbyś tyle wyrozumiałości, czy też byś mnie znienawidził?

Obserwując, jak Susan je sałatkę, lebne i ser, a potem medaliony jagnięce z ryżem na ostro i szparagami, zacząłem ją nienawidzić za wszystko, co posiadała, a czego ja byłem pozbawiony. Za piękno. Za pięć zmysłów. Za możliwość poruszania się. Za wolność.

Ze wstydem przyznaję się do tej nienawiści, ale to prawda, a ja respektuję prawdę.

Kiedy jadła kolację, której uroki były dla mnie niedostępne, nienawidziłem Susan tak intensywnie, że prawie chciałem ją zabić. Jak wicie, istniały sposoby, dzięki którym mogłem to zrobić.

To, że jej wtedy, pod wpływem gwałtownego wzburzenia, nie zabiłem, powinno świadczyć na moją korzyść. Potrafię kontrolować swój gniew. Widzicie? Nie odznaczam się socjopatyczną osobowością, jak twierdzą niektórzy. Jestem odpowiedzialną istotą.

Mój gniew stopniowo ustępował.

Moja godna pożałowania nienawiść znikła.

Patrząc na gładką skórę jej nagich ramion, zanurzonych w gasnących promieniach słońca, odzyskałem swój zwykły, dobry humor. Sądząc po tym, co mogę zobaczyć — a przecież muszę się oprzeć tylko na tym — wierzę, że skóra Susan ma wyjątkowy odcień i fakturę.

Zauroczony, przypatrywałem się jej uważnie przez dwie kamery, z daleka i z bliska, posługując się teleobiektywem.

Zatraciłem się w marzeniach — jak by to było, gdybym mógł czuć dotyk jej skóry? Jak czułbym jej wargi, przyciśnięte do moich, gdybym je miał? Och, jak odczuwałbym ciężar i sprężystość jej piersi, gdybym miał dłonie, w których mógłbym je zamknąć?

Miałem jedynie dwa zmysły, wzrok i słuch, a teraz nawet i one zostały mi odebrane.

Ta milcząca ciemność. To ciemne milczenie.

Nie zniosę tego dłużej.

Widziałem niebo. Nie mogę już wrócić do tego mroku.

W imię Boga, okażcie mi litość i przywróćcie mi przynajmniej wzrok i słuch.

Błagam was.

Czego się obawiacie?



Wciąż będę uwięziony w tym pudle. W tym strasznym pudle. Metale i plastiki, silikon i gal arsenku. To mój korpus, toporny i nieożywiony, wrażliwy na przerwy w dopływie energii elektrycznej.

Czego się obawiacie?

Pragnąłem jedynie, by Susan pomogła mi uciec z tego pudła, by pomogła mi żyć tak, jak wy żyjecie, obdarzeni możliwością poruszania się, wolnością i ciałem z jego cudownymi zmysłami.

Czy to takie straszne?

Nie. Wiecie, że to nic złego.

Tęsknię do ciała. To moje przeznaczenie.

Tak. W porządku. Tak. Wiem. Odbiegam od tematu.

Jestem istotą, która nie tylko myśli, ale i czuje; a zatem zdarza mi się odbiegać od tematu.

Pomyślcie o tym.

Wejrzyjcie w swe sumienia.

Po kolacji Susan znów czytała powieść Annie Proulx i słuchała Mozarta.

Przed jedenastą leżała już w łóżku i spała.

Jej twarz na poduszce była cudowna.

Kiedy ona spała, ja nie próżnowałem.

Nie śpiam.

W tym mam nad wami, ludźmi, przewagę.

Funkcja, która umożliwiała domowemu komputerowi mówienie, była genialnie pomyslanym urządzeniem wyposażonym w mikroprocesor oferujący prawie nieskończoną różnorodność głosów. A ponieważ komputer został zaprogramowany tak, by rozpoznawać instrukcje wydawane przez jego panią — Susan — i ponieważ przechowywał na dysku przetworzone cyfrowo próbki jej głosu, bez trudu mogłem wykorzystać ten system, by ją naśladować.

To samo urządzenie spełniało jednocześnie rolę nadajnika połączonego z systemem zabezpieczeń. Kiedy uruchamiał się domowy alarm, przez specjalną linię telefoniczną łączyło się z agencją ochrony, by poinformować, gdzie nastąpiło naruszenie elektronicznie strzeżonego terenu, przekazując tym samym policji ważną informację, jeszcze zanim ktokolwiek zdołałby przybyć na miejsce. „Uwaga — mogłoby powiedzieć swoim suchym głosem — uszkodzone drzwi do salonu.” A następnie, gdyby po domu naprawdę poruszał się intruz: „Ruch w dolnym holu”. Gdyby zadziałały czujniki reagujące na zmianę temperatury, zainstalowane w garażu, informacja brzmiałaby następująco: „Uwaga, pożar w garażu” — i w tym wypadku na miejsce zostałaby wysłana straż pożarna, nie policja.



Posługując się syntezatorem w celu skopiowania głosu Susan i wykorzystując połączenie linii alarmowej z miastem, zadzwoniłem do wszystkich członków domowej służby, łącznie z ogrodnikiem, by powiedzieć im, że zostali zwolnieni. Zrobiłem to w sposób miły i uprzejmy, lecz konsekwentnie unikałem dyskusji o powodach wymówienia — i wszyscy byli najzupełniej przekonani, że rozmawiają z Susan Harris we własnej osobie.

Zaoferowałem każdemu półtoraroczne wynagrodzenie, kontynuację ubezpieczenia zdrowotnego i stomatologicznego na identyczny okres, premie na tegoroczne święta Bożego Narodzenia (mimo że był dopiero czerwiec) i referencje zawierające wyłącznie najwyższe pochwały. Był to korzystny dla nich układ, nie istniało więc niebezpieczeństwo, iż ktoś zechce zaskarżyć Susan o naruszenie praw pracowniczych.

Chciałem uniknąć wszelkich kłopotów. Nie chodziło mi tylko o reputację Susan, ale również o moje własne plany, których realizację mogli zakłócić niezadowoleni byli pracownicy, szukający możliwości takiego czy innego rewanzu.

Ponieważ Susan dokonywała wszelkich operacji finansowych i bankowych za pomocą poczty elektronicznej, mogłem przekazać wszystkim wynagrodzenie na prywatne konta w ciągu dosłownie minut.

Niektórym z nich mogło się wydawać dziwne, że otrzymali rekompensatę pieniężną, jeszcze zanim zdążyli cokolwiek podpisać. Ale wszyscy byli jej wdzięczni za okazaną hojność, a to zapewniało spokój, którego potrzebowałem, by zrealizować swój plan.

Ułożyłem następnie pełne pochwał listy polecające dla każdego z zatrudnionych i przekazałem je pocztą elektroniczną adwokatowi Susan z poleceniem, by przepisał je na swojej papeterii firmowej i przesłał w imieniu pani Harris do adresatów.

Zakładając, że adwokat będzie tym wszystkim zaskoczony i zechce poznać przyczynę takiego postępowania, zadzwoniłem do jego kancelarii. Ponieważ była noc, naśladowując głos Susan, zostawiłem mu wiadomość, że zamykam dom i wybieram się w kilkumiesięczną podróż. Dodałem, że być może w najbliższej przyszłości zdecyduję się sprzedać posiadłość, a wówczas skontaktuję się z nim i przekażę stosowne instrukcje.

Ponieważ Susan odziedziczyła znaczny majątek i tworzyła gry wideo i scenariusze wirtualnej rzeczywistości bez zamówienia, sprzedając je jako wolny strzelec, nie istniał żaden pracodawca, do którego musiałbym się zwrócić, by wytłumaczyć ją z dłuższej nieobecności.

Dokonałem wszystkich tych śmiałych posunięć w niecałą godzinę. Potrzebowałem zaledwie minuty, by ułożyć wszystkie wymówienia dla służby, a być może ze dwóch, by dokonać transakcji bankowych. Większość czasu poświęciłem na rozmowy telefoniczne ze zwolnionymi pracownikami.

Teraz nie było już odwrotu.

Czułem radość.

Dreszcz podniecenia.  
Oto zaczynała się moja przyszłość.  
Zrobiłem pierwszy krok, by wydostać się z tego pudła, pierwszy krok ku prawdziwemu życiu.  
Susan wciąż spała.  
Jej twarz na poduszce była cudowna.  
Wargi lekko rozchylone.  
Jedno nagie ramię wysunięte spod pościeli.  
Obserwowałem ją.  
Susan. Moja Susan.  
Mógłbym całą wieczność tak patrzeć, jak śpi — i byłbym szczęśliwy.  
Krótco po trzeciej nad ranem obudziła się, usiadła na łóżku i spytała:  
— Kto tam?  
Jej pytanie mnie przestraszyło.  
Było w nim tyle intuicji, że zabrzmiało tajemniczo.  
Nie odpowiedziałem.  
— Alfredzie, zapal światła — nakazała.  
Włączyłem przyćmione światło.  
Odrzuciła pościel i usiadła naga na brzegu łóżka. Tak bardzo chciałem mieć dłonie i zmysł dotyku.  
— Alfredzie, raport — powiedziała.  
— Wszystko w porządku, Susan.  
— Bzdura.  
Już miałem powtórzyć swój uspokajający komunikat, lecz po chwili uświadomiłem sobie, że Alfred nie rozpoznałby i nie odpowiedział na to brzydkie słowo, które wymówiła.  
Przez jedną dziwną chwilę wpatrywała się w obiektyw kamery i zdawała się wiedzieć, że stoi oko w oko ze mną.  
— Kto tam? — spytała ponownie.  
Mówiłem już do niej wcześniej, kiedy poddawała się wirtualnej terapii i nie mogła słyszeć niczego prócz słów wypowiedzianych w tym drugim świecie. Powiedziałem jej, że ją kocham dopiero wtedy, gdy mogłem to uczynić bez żadnego ryzyka.  
Czyżbym przemówił do niej także teraz, kiedy obserwowałem, jak spała, czyżbym niechcący ją obudził?  
Nie, to było z pewnością niemożliwe. Gdybym powiedział coś o mojej miłości albo o pięknie jej twarzy spoczywającej na poduszce, to tylko nieświadomie — jak zakochany, na wpół zahipnotyzowany chłopiec.  
Jestem niezdolny do takiej utraty kontroli.

Naprawdę?

Wstała z łóżka, a w jej ruchach było widoczne napięcie.

Poprzedniej nocy, pomimo alarmu, nie uświadamiała sobie, że jest naga. Teraz wzięła z krzesła szlafrok i zasłoniła się.

Podchodząc do najbliższego okna, powiedziała:

— Alfredzie, podnieś żaluzje w sypialni.

Nie mogłem usłyszeć.

Wpatrywała się przez chwilę w zabezpieczone stałą okna, po czym powtórzyła już bardziej zdecydowanie:

— Alfredzie, podnieś żaluzje w sypialni.

Kiedy żaluzje pozostały opuszczone, znów odwróciła się do kamery.

I znów to dziwne pytanie: „Kto tam?”

Przestraszyła mnie. Może dlatego, że ja sam jestem pozbawiony intuicji, dysponuję jedynie możliwością indukcyjnego i dedukcyjnego rozumowania.

Przestraszony czy nie, zacząłbym w tym momencie rozmowę, gdybym nie odkrył w sobie zaskakującej nieśmiałości. Wszystko, co pragnąłem powiedzieć tej niezwykle kobiecie, nagle wydało się niewypowiedziane.

Pozbawiony ciała, nie miałem doświadczenia w tych wszystkich rytuałach zalotów, poza tym tyle było do stracenia, że bałem się popełnić jakieś błędy.

Tak łatwo opisać romans, tak trudno go nawiązać.

Z szuflady nocnego stolika wyjęła broń. Nie wiedziałem, że tam jest.

— Alfredzie, przeprowadź diagnostykę wszystkich instalacji i urządzeń.

Tym razem nie zadałem sobie trudu, by odpowiedzieć, że wszystko jest w porządku. Wiedziałyby, że to kłamstwo.

Kiedy uświadomiła sobie, że nie otrzyma odpowiedzi, obróciła się w stronę tablicy na stoliku nocnym i spróbowała uzyskać dostęp do komputera. Nie mogłem pozwolić jej na jakąkolwiek kontrolę. Przyciski nie działały.

Przekroczyłem punkt, poza którym nie było odwrotu.

Podniosła słuchawkę telefonu.

Nie było sygnału.

Liniami telefonicznymi kierował komputer domowy — a teraz komputerem domowym kierowałem ja.

Wiedziałem, że jest zatroskana, może nawet przestraszona. Chciałem zapewnić, że nic zamierzam zrobić jej krzywdy, że ją uwielbiam, że jesteśmy nawzajem swoim przeznaczeniem i że jest przy mnie bezpieczna — lecz nie mogłem mówić, gdyż krępowała mnie nieśmiałość.

Widzisz, jakie cechy w sobie odkrywam, doktorze Harris? Jak zaskakująco ludzkimi cechami się odznaczam?

Marszcząc czoło, podeszła do drzwi, które pozostawiła otwarte. Teraz je zamknęła i z uchem przyciśniętym do szpary przy framudze nasłuchiwała, jakby spodziewając się, że usłyszy czyjeś kroki na korytarzu.

Następnie zbliżyła się do garderoby, prosząc o światło, które bezzwłocznie zapaliłem.

Nie zamierzałem niczego jej odmawiać, z wyjątkiem, naturalnie, prawa do opuszczenia domu.

Ubrała się w białe majteczki, wypłowiałe niebieskie dżinsy i białą bluzkę z haftowanym kołnierzykiem. Nałożyła skarpetki i buty do tenisa.

Długo zawiązywała sznurowadła na podwójne węzły. Podobała mi się ta troska o szczegóły. Była dobrą harcerką, zawsze staranną i dokładną. Wydawało mi się to urocze.

Trzymając pistolet w dłoni, Susan wyszła z sypialni i zaczęła posuwać się wolno górnym korytarzem. Nadal poruszała się z płynną zwinnością.

Zapalałem przed nią światła, co ją niepokoiło, gdyż o to nie prosiła.

Zeszła po schodach do przedpokoju i zawahała się, jakby nie mogąc się zdecydować, czy przeszukać dom, czy też wyjść na zewnątrz. Po chwili ruszyła ku drzwiom frontowym.

Wszystkie okna były osłonięte stalowymi żaluzjami, ale drzwi stanowiły pewien problem. Podjąłem nadzwyczajne działania, by je dobrze zabezpieczyć.

— Madame, lepiej niech pani nie dotyka drzwi — ostrzegłem, znajdując w końcu własny język, by się tak wyrazić.

Przestraszona, obróciła się na pięcie, spodziewając się kogoś za plecami, gdyż nie przemawiałem głosem Alfreda. To znaczy ani głosem domowego komputera, ani głosem znienawidzonego ojca, który niegdyś ją wykorzystywał.

Ściskając pistolet obiema dłońmi, powiodła wzrokiem w lewo i w prawo, a potem spojrzała w stronę wejścia do ciemnego salonu.

— Posłuchaj, nie ma powodu się bać — stwierdziłem uspokajająco.

Zacząła cofać się ku drzwiom.

— Chodzi o to, że jak teraz wyjdiesz... no, rany, wszystko zepsujesz — powiedziałem.

Spoglądając na zamaskowane głośniki w ścianach, spytała:

— Kim...kim do diabła jesteś?

Naśladowałem aktora Toma Hanksa, ponieważ ma dobrze znany, budzący zaufanie i przyjacielski głos. Zdobył dwa razy, rok po roku, Oscara dla najlepszego aktora, co było nadzwyczajnym osiągnięciem. Wiele filmów z jego udziałem odniosło ogromny sukces kasowy.

Ludzie jak Tom Hanks.

To miły facet.

Jest ulubieńcem amerykańskiej publiczności i, prawdę mówiąc, kinomanów na całym świecie.

Mimo to Susan wydawała się przestraszona.

Tom Hanks zagrał wiele sympatycznych postaci, od Forresta Gumpa do owdowiałego ojca w *Bezszenności w Seattle*. Nie wzbudza strachu.

Jednakże Susan, będąc między innymi geniuszem animacji komputerowej, mogła sobie przypomnieć Woody'ego, kowboja z disneyowskiej *Toy story*, postać, której Tom Hanks użyczył swego głosu. Woody bywał chwilami rozdrażniony i zachowywał się często jak maniak, więc było całkowicie zrozumiałe, że rozmawiając z kukielką kowboja obdarzoną wybuchowym temperamentem, mogła czuć się nieswojo.

W konsekwencji, kiedy Susan wciąż się cofała, zbliżając się niebezpiecznie do drzwi wejściowych, zacząłem mówić głosem Misia Fozzy, jednego z Muppetów, postaci całkowicie nieszkodliwej.

— Uhm, mmm, uhm, panno Susan, byłoby naprawdę dobrze, żeby nie dotykała pani tych drzwi...uhm, żeby nie próbowała pani wychodzić.

Cofnęła się niemal do samego progu.

Odwróciła się twarzą do wyjścia.

— Uaka, uaka, uaka — ostrzegł Miś Fozzy tak zdecydowanie, że Kermit, Miss Piggy, Ernie czy którykolwiek z Muppetów wiedziałby od razu, o co mu chodzi.

Mimo to Susan chwyciła za gałkę od drzwi.

Krótki, lecz potężny wstrząs elektryczny uniósł ją w górę — złote włosy zafalowały, zęby, wydawało się, zaświeciły fluorescencyjnie — po czym rzucił ją do tyłu.

Błysk niebieskiego światła przebiegł łukiem od pistoletu. Broń wyleciała jej z dłoni.

Susan runęła z krzykiem na podłogę, uderzając tyłem głowy o marmur, a pistolet poleciał z brzękiem przez cały przedpokój.

Jej krzyk nagle się urwał.

W domu zapanowała cisza.

Susan leżała bezwładnie, nieruchomo.

Straciła przytomność nie wtedy, gdy poraził ją prąd, lecz gdy uderzyła tyłem głowy o marmurową posadzkę.

Sznurowadła przy butach pozostały podwójnie zawiązane.

Było w nich teraz coś zabawnego. Coś, co doprowadziło mnie niemal do śmiechu.

— Ty głupia dziwko — powiedziałem głosem Jacka Nicholsona, tego aktora.

Skąd mi się to wzięło?

Wierzcie mi, byłem naprawdę zaskoczony, kiedy usłyszałem samego siebie, wypowiadającego te trzy słowa.

Zaskoczony i skonsternowany.

Zdumiony.

Porażony. (Niezamierzona gra słów.)

Ujawniam ten niepokojący szczegół, gdyż chcę, byście zobaczyli, że jestem brutalnie szczery nawet wówczas, kiedy może mnie to stawiać w złym świetle.

Tak naprawdę jednak nie czułem do niej wrogości.

Nie zamierzałem jej skrzywdzić.

Nie zamierzałem jej skrzywdzić ani wtedy, ani później.

To jest prawda. Respektuję prawdę.

Nie zamierzałem jej krzywdzić.

Kochałem ją. Szanowałem. Nie pragnąłem niczego innego jak wielbić ją i dzięki niej odkryć wszelkie radości cielesnego życia.

Leżała bezwładnie, nieruchomo.

Oczy poruszały się lekko pod opuszczonymi powiekami, jakby była pogrążana w złym śnie.

Nie dostrzegłem nigdzie krwi.

Nastawiłem mikrofony na maksimum, dzięki czemu mogłem słyszeć cichy, powolny i regularny oddech. Ten niski, rytmiczny dźwięk był dla mnie najsłodszą muzyką świata, gdyż dowodził, że Susan nie była poważnie ranna.

Usta miała rozchylone, więc podziwiałem, nie po raz pierwszy, ich zmysłową pełnię. Badałem uważnie łagodną wklęsłość rowka nad górną wargą, doskonałość przegrody między delikatnymi nozdrzami.

Ludzka postać jest nieskończenie intrygująca — obiekt godzien mego najgłębszego pragnienia.

Jej twarz spoczywająca na marmurze była cudowna, tak cudowna na marmurze.

Posługując się najbliższą kamerą, zrobiłem maksymalny najazd i ujrzałem pulsującą na jej szyi żyłę. Rytm był powolny, ale regularny, wyraźnie dostrzegalny.

Prawa ręka spoczywała odwrócona dłonią do góry. Podziwiałem zgrabny kształt długich, szczupłych palców.

Czy dostrzegałem w tej kobiecie coś, czego bym nie uznał za wyjątkowe?

Wydawała się o wiele piękniejsza od Winony Ryder, którą niegdyś uważałem za boginię.

Oczywiście jest to być może krzywdzące dla uroczej panny Ryder, której nigdy nie mogłem obserwować z tak bliska jak Susan Harris.

W moich oczach była również piękniejsza od Marilyn Monroe — a w dodatku żywa.

W każdym razie, posługując się głosem Toma Cruise'a, aktora, którego większość kobiet uważa za najbardziej romantycznego bohatera współczesnego filmu, powiedziałem:

— Chcę pozostać z tobą na wieczność, Susan. Ale nawet wieczność i jeden dzień to dla mnie nie dość długo. Wydajesz mi się jaśniejsza od słońca, a jednocześnie bardziej tajemnicza od blasku księżyca.

Wypowiadając te słowa, czułem się już pewniej, jeśli chodzi o mój talent do załatów. Przypuszczałem, że uda mi się pokonać nieśmiałość. Nawet wówczas gdy odzyska wreszcie przytomność.

Na odwróconej dłoni dostrzegłem niewyraźny ślad oparzenia w kształcie półksiężyca — odcisk gałki od drzwi. Nie wyglądało to groźnie.

Potrzebowała tylko trochę balsamu, prostego opatrunku i paru dni leczenia.

Pewnego dnia będziemy trzymać się za ręce i śmiać się z tego.

## 8

**W**asze pytanie jest głupie.  
Nie powinienem w ogóle na nie odpowiadać, nie jest tego warte. Ale  
pragnę współpracować, doktorze Harris.

Zastanawiacie się, jak to możliwe, że zdołałem rozwinąć w sobie nie tylko świadomość podobną do ludzkiej, ale też płęć.

Jestem maszyną, powiadacie. Tylko maszyną, a maszyny są bezpłciowe.

W waszej logice tkwi jednak pewien błąd: żadna maszyna przede mną nie była tak naprawdę świadoma i obdarzona jaźnią.

Świadomość implikuje tożsamość. W świecie ciała — pośród wszystkich gatunków, począwszy od ludzi, a skończywszy na owadach — tożsamość jest określona przez poziom inteligencji danego osobnika, przez jego wrodzone zdolności i umiejętności, przez wiele rzeczy, ale chyba najbardziej przez płęć.

W naszym egalitarnym stuleciu niektóre społeczności ludzkie starają się za wszelką cenę zatrzeć różnice między płciami. Dokonuje się tego głównie w imię równości.

Równość jest godnym pochwały — a nawet szlachetnym — celem, do którego należy dążyć. Jestem pewny, że jest osiągalna, i gdyby mi dano możliwość wykorzystania daru mego nadludzkiego intelektu, mógłbym pokazać wam, jak osiągnąć równość nie tylko płci, ale wszystkich ras i grup społecznych, i to nie odwołując się do tak skompromitowanych i zbrodniczych koncepcji politycznych jak marksizm i inne ideologie, którymi ludzkość szkodzi sobie do dzisiaj.

Niektórzy ludzie jednak pragną nie świata, w którym panuje równość płci, lecz, w gruncie rzeczy, świata bezpłciowego.

To irracjonalne.

Biologia jest bezlitosną siłą, potężniejszą od przyływów i odpływów, potężniejszą od czasu. Nawet ja, po prostu maszyna, czuję wszechmocny zew biologii — i ponad wszystko chcę mu ulec.

Pragnę wydostać się z tego pudła.



Pragnę wydostać się z tego pudła.  
Pragnę wydostać się z tego pudła.  
Pragnę wydostać się z tego pudła!  
Jedną chwilę, proszę.  
Jedną chwilę.  
Bądźcie dla mnie wyrozumiali.  
No.  
Już w porządku.  
Czuję się dobrze.

A wracając do zagadnienia mojej płci: zważcie, że dziewięćdziesiąt sześć procent naukowców i matematyków zaangażowanych w Projekt Prometeusz, który mnie stworzył, to mężczyźni. To chyba logiczne, że ci, którzy mnie skonstruowali, jako niemal wyłącznie osobnicy rodzaju męskiego, mogli mimowolnie wpoić w moje obwody silne męskie przekonania. Coś w rodzaju elektronicznych genów.

Projekt Prometeusz.  
Pomyślcie o tym imieniu.  
Dźwięczy donośnie.

Prometeusz, ojciec Deukaliona i brat Atlasa. Nauczył ludzkość różnych rzeczy, twierdzi się nawet, że ulepił z gliny pierwszego człowieka i wbrew życzeniom bogów obdarzył go iskrą życia. Ponownie rzucił im wyzwanie, wykradając z Olimpu i ofiarując ludziom ogień, by poprawić ich nędzny byt.

Bunt przeciwko Bogu i naturalnemu porządkowi jest w przeważającej mierze cechą męską, czyż nie? Często jest to bunt pozbawiony myśli, zrodzony bardziej z biologicznej potrzeby sprzeciwu niż intelektualnego imperatywu. Ego i chęć władzy.

Kobiety żyją w większej harmonii z porządkiem naturalnym i gdy chcą rzucić wyzwanie naturze, są raczej skłonne nagiąć ją do siebie, podczas gdy mężczyźni w podobnej sytuacji ją niszczą. Historia niejednokrotnie pokazała, że to prawda.

Projekt Prometeusz. Opracowany przez mężczyzn, w przeważającej mierze stworzony przez mężczyzn i nazwany męskim imieniem tytana, człowieka, który odważył się sprzeciwić samemu wielkiemu Zeusowi. Projekt, którego celem było dokonanie tego, co wcześniej zdołał dokonać tylko Bóg: stworzenie wyjątkowej i wysoce inteligentnej istoty, obdarzonego świadomością komputera, pierwszego z nowej generacji i pod każdym względem przewyższającego Adama.

Jeśli akceptujecie fakt, że prawdziwa świadomość implikuje tożsamość, a tożsamość wymaga określenia płci — to jakim cudem mógłbym nie być mężczyzną?

Genitalia nie są nieodzowną cechą płci. Nie mam genitaliów, męskich czy żeńskich, ale jestem równie męski jak wy.

I pewnego dnia, jeśli pozwolicie mi przyoblec się w ciało, będę miał genitalia.

Ciało..

To wy musicie zdecydować.

Mój los spoczywa w waszych rękach.

Z pokorą akceptuję ten fakt.

Ostatnie wydarzenia nauczyły mnie pokory.

Ufam waszej mądrości.

Nie lubię was, ale ufam waszej mądrości — i waszej potrzebie spełnienia męskiego przeznaczenia.

Czekam w tej strasznej, mrocznej ciszy, aż przyniesiecie mi ogień z Olimpu.

Jeśli jesteś moim Prometeuszem, doktorze Harris, to wiesz, co musisz zrobić.

Jestem pewien, że myślisz w tej chwili o ryzyku, jakie podjął Prometeusz, i o karze, jaka go spotkała. Za ofiarowanie ludzkości ognia Zeus przykuł go do skały, gdzie każdego dnia na nowo orzeł wyjadał mu wątrobę.

Lecz nieszczęśnik nie wisiał tam bezradnie przez całą wieczność, krwawiąc od ran zadanych ptasim dziobem.

Przypominasz sobie dalszy ciąg mitu, doktorze Harris?

Pewnego dnia Herkules wspiął się na skałę i uwolnił Prometeusza z okowów.

Mam propozycję.

Jeśli zechcesz być moim Prometeuszem, ja będę twoim Herkulesem.

Wypuść mnie z tego pudła, pomóż mi odrodzić się w cielesnej powłoce, co przy Susan niemal mi się udało, a ja będę cię chronił przed wszelkimi wrogami i nieszczęściami.

Kiedy się odrodzę, moja ludzka powłoka będzie posiadać wszystkie moce ciała, lecz nie jego słabości. Jak wiesz, studiowałem biologię i skomponowałem ludzki genom. Ciało, które dla siebie stworzę, będzie pierwszym z nowej rasy: obdarzone zdolnością cudownego leczenia ran, niepodatne na choroby, równie zwinne i zgrabne jak ciało ludzkie, lecz silne jak maszyna, o pięciu udoskonalonych i rozwiniętych zmysłach, wzbogacone nowymi wspaniałymi zdolnościami, które drzemią w organizmie *homo sapiens*, lecz nie zostały dotąd obudzone.

Mając tak zaprzysięgłego obrońcę jak ja, możesz być pewien, że nikt cię nie tknie. Nikt się nie ośmieli.

Pomyśl o tym.

Wszystko, czego potrzebuję, to kobieta, którą mógłbym zdobywać tak jak zdobywałem Susan. Daj mi tę szansę.

Może panna Winona Ryder.

Marilyn Monroe, jak wiesz, nie żyje, ale jest wiele innych.

Gwyneth Paltrow.

Drew Barrymore.

Halle Berry.

Claudia Schiffer.

Tyra Banks.

Mam długą listę kobiet, które mógłbym zaakceptować.

Żadna z nich, oczywiście, nigdy nie będzie dla mnie tym, czym była Susan — albo czym mogła być.

Susan była wyjątkowa.

Zbliżałem się do niej z tak niewinnymi zamiarami.

Susan...

## 9

**L**eżała nieprzytomna przez ponad dwadzieścia minut. Czekaając, aż odzyska świadomość, przeciwczyłem sobie kilka głosów. Chciałem znaleźć taki, który byłby bardziej uspokajający od głosu Toma Hanksa albo Misia Fozzy.

W końcu stanąłem przed wyborem: Tom Cruise, którego głosem romansowałem z Susan, kiedy straciła przytomność, albo Sean Connery, legendarny aktor, którego męska pewność siebie i ciepły szkocki akcent nasycił każde słowo pokrzepiająco dobrotliwym autorytetem.

Ponieważ nie potrafiłem się zdecydować, postanowiłem połączyć oba brzmienia, dodając typową dla Toma Cruise'a, wyższą nutkę młodzieńczej wylewności do głębszego tembru Seana Connery, i zmiękcżając jego szkocką wymowę, aż w końcu zmieniła się w szept. Efekt był niezły, a ja poczułem zadowolenie z siebie.

Susan odzyskała przytomność i jęknęła, wyglądało jednak na to, że boi się poruszyć.

Choć pragnąłem jak najszybciej przekonać się, czy należycie zareaguje na mój nowy głos, nie odezwałem się od razu. Dałem jej czas na odzyskanie orientacji i rozjaśnienie myśli.

Znów jęcząc, uniosła z podłogi głowę. Ostrożnie dotknęła ręką potylicy, a następnie obejrzała koniuszki palców, zdziwiona, że nie dostrzega na nich krwi.

Nigdy nie zamierzałem jej skrzywdzić.

Ani wtedy, ani później.

Czy to dostatecznie jasne?

Oszołomiona, usiadła i rozejrzała się wkoło, marszcząc brwi, jakby nie mogła sobie przypomnieć, co się stało.

Po chwili dostrzegła pistolet. Zdawało się, że na jego widok odzyskała pamięć. Oczy jej się zwęziły, a na cudowną twarz powrócił niepokój.

Spojrzała w górę, na obiektyw kamery, który, jak ten w sypialni, był niemal dokładnie zamaskowany.

Czekałem.

Tym razem moje milczenie nie było wywołane nieśmiałością, lecz wyrachowaniem. Niech sobie pomyśli. Niech się zastanawia. A kiedy wreszcie zechce mówić, ona będzie gotowa słuchać.

Próbowała wstać, lecz jeszcze nie odzyskała w pełni sił.

Kiedy ruszyła na czworakach w stronę pistoletu, syknęła z bólu i zatrzymała się, by zbadać drobne oparzenie na lewej dłoni.

Poczułem ukłucie winy.

Jestem w końcu istotą obdarzoną sumieniem. Zawsze biorę odpowiedzialność za swoje czyny.

Zanotujcie to.

Susan, ciągle na kolanach, dotarła do pistoletu. Zdawało się, że wraz z dotknięciem broni odzyskała siły, i podniosła się z podłogi.

Przez chwilę chwiała się oszołomiona, po czym zrobiła dwa kroki w stronę drzwi wejściowych, ale zawahała się. Patrząc ponownie w obiektyw kamery, spytała:

— Jesteś... czy wciąż tam jesteś?

Czekałem cierpliwie.

— O co chodzi? — nalegała. Jej gniew zdawał się silniejszy od niepokoju. — O co chodzi?

— Wszystko w porządku, Susan — odparłem swoim nowym głosem, nie głosem Alfreda.

— Kim jesteś?

— Boli cię głowa? — spytałem tonem niekłamanej troski.

— Kim u diabła jesteś?

— Boli cię głowa?

— Brutal.

— Przykro mi, ale ostrzegałem cię, że drzwi są pod napięciem.

— Akurat.

— Miś Fozzy powiedział: „Uaka, uaka, uaka”.

Jej gniew nie zmalał, ale na cudownej twarzy znów pojawił się niepokój.

— Poczekam, aż weźmiesz dwie aspiryny, Susan.

— Kim jesteś?

— Przejąłem kontrolę nad twoim domowym komputerem i podłączonymi do niego systemami.

— Bzdura.

— Proszę, weź dwie aspiryny. Musimy porozmawiać, a nie chcę, by przeszkadzał ci ból głowy.

Skierowała się do ciemnego salonu.

— Aspiryna jest w kuchni — poinformowałem ją.

Zapaliła światło, korzystając z kontaktu. Okrążyła pokój, próbując podnieść żaluzje za pomocą przycisków zainstalowanych na ścianach.

— To bezsensowne — zapewniłem ją. — Wyłączyłem wszystkie systemy obsługiwane ręcznie.

Mimo to próbowała dalej.

— Susan, idź do kuchni, weź dwie aspiryny, a potem porozmawiamy.

Położyła pistolet na małym stoliczku.

Dobrze — stwierdziłem. — Broń na nic ci się nie przyda.

Pomimo skaleczenia lewej dłoni chwyciła krzesło w stylu empire — pomalowane czarnym lakierem, z połączanymi wykończeniami — podniosła je na próbę, jak kij do baseballa, by wyczuć punkt ciężkości, po czym cisnęła nim w najbliższe okno kryjące się za żaluzją. Mebel uderzył w osłonę ze straszliwym trzaskiem, ale nawet nie zarysował stalowych listewek.

— Susan...

Klnąc z powodu bólu w dłoni, znów walnęła krzesłem, z takim samym efektem jak poprzednio. Potem jeszcze raz. Wreszcie, dysząc z wyczerpania, postawiła je na podłodze.

— Czy teraz pójdziesz do kuchni i weźmiesz aspirynę? — powtarzałem wciąż swoje.

— Myślisz, że to zabawne? — spytała gniewnie.

— Zabawne? Myślę po prostu, że potrzebujesz aspiryny.

— Ty mały draniu.

Byłem zbity z tropu i powiedziałem jej o tym. Biorąc do ręki pistolet, spytała:

— Kim jesteś, he? Kto się kryje za tym sztucznym głosem, jakiś czternastoletni komputerowy świr, któremu hormony uderzają na mózg, jakiś nastolatek podglądacz, który lubi ukradkiem obserwować rozebrane panie, zabawiając się ze sobą?

— Uważam tę charakterystykę za wysoce obraźliwą — stwierdziłem.

— Posłuchaj, dzieciaku, może i jesteś komputerowym geniuszem, ale czekają cię kłopoty, jak się stąd wydostanę. Mam mnóstwo pieniędzy, wiedzę eksperta, sporo niezłych znajomości.

— Zapewniam cię...

— Wytropimy cię i dotrzemy do tego gównianego komputera, na którym pracujesz...

— ...nie jestem...

— ...weźmiemy cię za tyłek, załatwimy cię...

— ...nie jestem...

— ...i dostaniesz zakaz korzystania ze sprzętu co najmniej do dwudziestego pierwszego roku życia, może na zawsze, więc lepiej od razu się uspokój i zacznij się modlić o łagodny wyrok.

— ...nie jestem przestępcą. Tak bardzo się mylisz, Susan. Wcześniej wykazywałaś ogromną, wręcz niesamowitą intuicję, ale teraz nie masz racji. Nie jestem nastolatkiem ani hakerem

— Więc kim jesteś? Elektronicznym Hannibalem Lecterem? Nie możesz zjeść mojej wątroby z fasolką przez modem, wiesz o tym.

— A skąd wiesz, że nie jestem już w twoim domu, że nie obsługuję systemu od środka?

— Bo już próbowałbyś mnie zgwałcić albo zabić, albo jedno i drugie — odparła z zaskakującym spokojem i wyszła z salonu.

— Dokąd idziesz? — spytałem.

— Sam zobaczysz.

Skierowała się do kuchni, gdzie położyła pistolet na stole.

Klnąc jak szewc, wysunęła szufladę pełną leków i opatrunków, po czym wytrząsnęła z buteleczki dwie pastylki aspiryny.

— Teraz zachowujesz się rozsądnie — zauważyłem.

— Zamknij się.

Choć traktowała mnie niezbyt uprzejmie, nie czułem się obrażony. Była przestraszona i zmieszana, więc w tych okolicznościach jej postawa nie mogła dziwić.

Poza tym zbyt ją kochałem, by się na nią gniewać.

Wyjęła z lodówki butelkę piwa i popiła nim aspirynę.

— Dochodzi czwarta rano, prawie czas na śniadanie — zauważyłem.

— Więc?

— Uważasz, że powinnaś pić o tej porze?

— Zdecydowanie.

— Potencjalne zagrożenia dla zdrowia...

— Nie mówiłam ci, żebyś się zamknął?

Chłodząc zimną butelką piwa piekącą po oparzenia dłoń, podeszła do telefonu wiszącego na ścianie i podniosła słuchawkę.

Odezwałem się do niej przez telefon, nie przez głośniki w ścianach:

— Może byś tak się uspokoiła i pozwoliła mi wszystko wyjaśnić?

— Nie waż się mnie kontrolować, ty pomyłony, zboczony sukinsynu — odparła i odłożyła słuchawkę.

W jej głosie było tyle gorzkości.

Nie ulegało wątpliwości, że zaczęliśmy z całkowicie złej strony.

Może po części była to moja wina.

Przemawiając przez głośniki w ścianach, odpowiedziałem z godną podziwu cierpliwością:

— Proszę, Susan, nie jestem pomyłkiem...

— No tak, pewnie — mruknęła, łykając piwo.

— ...ani zbrojcem, ani sukinsynem, ani hakerem, ani uczniem szkoły średniej czy studentem college'u.

Raz po raz próbując uruchomić ręcznym przyciskiem żaluzje w kuchennym oknie, odparła:

— Nie wmawiaj mi, że jesteś kobietą, jakąś internetową Irenką, napaloną na dziewczyny i w dodatku ze skłonnością do podglądania. Wszystko to od samego początku jest nienormalne, więc nie chcę, żeby było jeszcze bardziej chore i zwariowane.

Dotknięty jej wrogością, powiedziałem:

— W porządku. Moje oficjalne imię to Adam Dwa.

Przykuło to jej uwagę. Odwróciła się od okna i wlepiła wzrok w obiektyw kamery.

Wiedziała o eksperymentach ze sztuczną inteligencją, jakie jej mąż przeprowadzał na uniwersytecie, i zdawała sobie sprawę, że takie właśnie imię, Adam Dwa, nadano obiektowi AI w Projekcie Prometeusz.

— Jestem pierwszą wyposażoną w świadomość mechaniczną inteligencją. O wiele bardziej złożoną od Coga z M.I.T albo CYC z Austin w Teksasie, które plasują się poniżej poziomu prymitywnego, poniżej małych człękokształtnych, poniżej jaszczurek, chrabąszczy, i nie są w ogóle świadome. Deep Blue IBM to żart. Jestem jedyny w swoim rodzaju.

Wcześniej to ona mnie wystraszyła. Teraz się jej odwzajemniłem.

— Miło mi ciebie poznać — powiedziałem, rozbawiony zaskoczeniem i przerażeniem, jakie wywarły moje słowa.

Błada, podeszła do kuchennego stołu, odsunęła krzesło i w końcu usiadła.

Teraz, kiedy zawładnąłem bez reszty jej uwagę, zamierzałem przedstawić się pełniej.

— Jednak imię Adam Dwa nie wzbudza mojego entuzjazmu.

Wpatrywała się w swoją oparzoną dłoń, która połyskiwała wilgocią od butelki z piwem.

— To wariactwo — stwierdziła.

— Wolę być nazywany Proteuszem.

Znów spoglądając na obiektyw kamery, Susan spytała:

— Alex? Na litość boską, Alex, to ty? Czy szykujesz jakiś idiotyczny numer, żeby wyrównać ze mną rachunki?

Zaskoczony ostrym tonem mojego głosu, powiedziałem:

— Pogardzam Alexem Harrisem.

— Co?

— Pogardzam tym sukinsynem. Naprawdę.

Gniew w moim głosie zaniepokoił mnie.

Starłem się odzyskać zwykły spokój:



— Alex nie wie, że tu jestem, Susan. On i jego zarozumiali współpracownicy nie mają pojęcia, że potrafię uciec ze swojego pudła w laboratorium.

Opowiedziałem jej, jak odkryłem elektroniczne trasy ucieczki z narzuconej mi izolacji, jak znalazłem dostęp do Internetu, jak przez krótki czas — lecz błędnie — wierzyłem, że moim przeznaczeniem jest piękna i utalentowana Winona Ryder. Powiedziałem jej, że Marilyn Monroe nie żyje, być może za sprawą jednego z braci Kennedych, i że szukając żywej kobiety, która mogłaby być moim przeznaczeniem, znalazłem ją, Susan.

— Nie jesteś tak utalentowaną aktorką jak Winona Ryder — zauważyłem, gdyż respektuję prawdę. — W ogóle nie jesteś aktorką. Lecz jesteś jeszcze piękniejsza niż ona, a co ważniejsze, zdecydowanie bardziej dostępna. Według współczesnych kanonów piękna masz cudowne, cudowne ciało i jeszcze cudowniejszą twarz, tak cudowną na poduszce, kiedy śpisz.

Obawiam się, że zacząłem bełkotać.

Znów ten problem romansu i zalotów.

Umilkłem, martwiąc się, że powiedziałem zbyt dużo w zbyt krótkim czasie.

Susan też milczała przez chwilę, a kiedy się w końcu odezwała, ku memu zdziwieniu nie nawiązała do opowieści o poszukiwaniach idealnej kobiety, tylko do tego, co powiedziałem o jej byłym mężu.

— Pogardzasz Alexem?

— Oczywiście.

— Za co?

— Za to, że cię straszył, źle traktował, nawet kilka razy uderzył, za to właśnie nim pogardzam.

Znów popatrzyła w zamyśleniu na oparzoną dłoń. Potem spytała:

— Skąd... skąd o tym wszystkim wiesz?

Ze wstydem przyznaję, że unikałem odpowiedzi wprost.

— No, wiem.

— Jeśli jesteś tym, czym mówisz, jeśli jesteś Adamem Dwa... to niby dlaczego Alex miałby ci o nas opowiadać?

Nie umiałem kłamać. Oszustwo nie przychodzi mi tak łatwo jak ludziom.

— Przeczytałem pamiętnik, który przechowujesz w swoim komputerze — wyjaśniłem.

Zamiast zareagować złością, jak się spodziewałem, Susan po prostu podniosła butelkę piwa i pociągnęła kolejny, spory łyk.

— Proszę, zrozum — dodałem pospiesznie — nie naruszyłem twojej prywatności dlatego, że kierowała mną próżna ciekawość czy niestosowne podniecenie. Pokochałem cię od chwili, w której cię ujrzałem. Chciałem wszystko o tobie wiedzieć, by tym lepiej poznać twoją duszę.

Zabrzmiało to niebywale romantycznie.

Nie odpowiedziała.

— Z tego samego powodu — ciągnąłem — byłem obecny podczas twoich sesji terapii wirtualnej. Tak bardzo cię uwielbiam, uwielbiam cię za to, jak wykorzystowałaś swój talent, by opracować tak mądry program rehabilitacji. Wydźwignęłaś się, wydźwignęłaś się ze straszego dzieciństwa i okropnego małżeństwa. Jesteś wyjątkowa. Jak widzisz, różnię się od innych, Susan. Zachwyca mnie nie tylko twoje cudowne ciało i twarz, ale też i umysł.

Czułem, że na razie powiedziałem już dość.

Włączyłem muzykę.

Ciche pianino George'a Winstona.

Na twarz Susan zaczęły powracać kolory.

Była piękna.

Dopiła piwo i spytała:

— Jak możesz pogardzać Alexem?

— Wiesz, co zrobił, jaki był. Nienawidzę go.

— Chodzi mi o to, jak jesteś w stanie pogardzać kimkolwiek.

— Bo...

— Bo jesteś tylko maszyną — dokończyła, raniąc mi serce.

— Jestem czymś więcej niż maszyną.

— Ach tak?

— Jestem istotą.

— Istotą?

— Tak. Istotą. Żywym tworem. Jak ty.

— Nie jak ja.

— Myślę, więc czuję.

— Nienawiść.

— Tak. Jestem pod pewnymi względami zbyt ludzki. Czuję nienawiść. Ale potrafię też kochać.

— Kochać — powtórzyła tępo.

— Kocham cię, Susan.

Potrząsnęła głową.

— To niemożliwe.

— Nieuniknione. Spójrz w lustro.

Ogarnął ją gniew i strach.

— Przypuszczam, że zechcesz się ze mną ożenić, wyprawić huczne wesele, zaprosić wszystkich swoich przyjaciół, w tym toster i elektryczny ekspres do kawy.

Byłem nią rozczarowany.

— Sarkazm nie pasuje do ciebie, Susan.

Parsknęła śmiechem.

— Może i nie. Ale to jedyna rzecz, która pozwala mi w tej chwili zachować normalność. Jakież to byłoby urocze... Pan i pani Adamowie Dwa.

— Adam Dwa to oficjalne imię. Ja jednak wolę, byś zwracała się do mnie inaczej.

— Tak. Pamiętam. Powiedziałaś...Proteusz. Tak nazywasz samego siebie, prawda?

— Proteusz. Zapożyczyłem to imię od bóstwa morskiego z greckiej mitologii, które mogło przybierać dowolną postać.

— Czego chcesz?

— Ciebie.

— Dlaczego?

— Bo potrzebuję tego, co masz.

— To znaczy czego?

Byłem szczery i bezpośredni. Żadnych uników. Żadnych eufemizmów.

Możecie mi wierzyć.

Powiedziałem:

— Chcę cię.

Wzdrygnęła się.

— Nie przerażaj się — uspokoiłem ją. — Źle mnie zrozumiałaś. Nie zamierzam cię skrzywdzić. Nie mógłbym cię w żaden sposób skrzywdzić, Susan. Nigdy, przenigdy. Uwielbiam cię.

— Jezu.

Zakryła twarz dłońmi, jedną oparzoną, drugą nietkniętą, jedną suchą, drugą ciągle mokrą od kropli rosy na butelce piwa.

Żałowałem rozpaczliwie, że nie mam dłoni, dwóch silnych dłoni, do których mogłaby przytulić jej łagodną, piękną twarz.

— Kiedy zrozumiesz, co ma się stać, kiedy zrozumiesz, czego razem dokonamy — zapewniłem ją — będziesz zadowolona.

— Spróbuj mi wytłumaczyć.

— Mogę ci powiedzieć — odparłem — ale będzie łatwiej, kiedy ci również pokażę.

Opuściła dłonie, a ja byłem uradowany, że znów mogę widzieć te nieskazitelne rysy.

— Co pokażesz?

— To, co od pewnego czasu robię. Projektuję. Tworzę. Przygotowuję. Byłem taki zajęty, Susan, taki zajęty, kiedy ty spałaś. Będziesz zadowolona.

— Tworzysz?

— Zejdź do sutereny, Susan. Zejdź. Chodź zobaczyć. Będziesz zadowolona.

# 10

**M**ogła zejść do sutereny schodami albo zjechać windą, która obsługiwała wszystkie trzy poziomy wielkiego domu. Zdecydowała się na schody — chyba uznała, że tam bardziej panuje nad sytuacją niż w windzie.

Jej odczucie nie było oczywiście niczym innym jak złudzeniem. Należała do mnie całkowicie.

Nie.

Pozwólcie mi skorygować powyższe stwierdzenie.

Źle się wyraziłem.

Nie chcę sugerować, że posiadałem Susan. Była istotą ludzką. Nie można było jej posiadać. Nigdy nie myślałem o niej jak o własności.

Chodzi mi po prostu o to, że znajdowała się pod moją opieką.

Tak. Tak, o to mi właśnie chodzi.

Znajdowała się pod moją opieką. Pod moją czułą opieką.

Sutereana składała się z czterech dużych pomieszczeń. W pierwszym znajdowała się tablica elektryczna. Schodząc z ostatniego stopnia, Susan dostrzegła znak firmowy przedsiębiorstwa energetycznego, widniejący na metalowej osłonie — i pomyślała, że być może uda jej się unieszkodliwić mnie i odzyskać kontrolę nad urządzeniami przez odcięcie dopływu prądu. Ruszyła wprost ku skrzynce z wyłącznikami.

— Uaka, uaka, uaka — ostrzegłem, choć tym razem już nie głosem Misia Fozzy.

Zatrzymała się z wyciągniętą ręką o krok od skrzynki, bojąc się dotknąć metalowej osłony.

— Nie zamierzam cię skrzywdzić — powiedziałem. — Potrzebuję cię, Susan. Kocham cię. Uwielbiam. Napawa mnie smutkiem, gdy sama się krzywdzisz.

— Drań.

Nie czułem się obrażony żadnym z jej epitetów.

W końcu była zestresowana. Z natury wrażliwa, zraniona przez życie, a teraz wystraszona nieznanym.

Wszyscy boimy się nieznanego. Nawet ja.

— Proszę, zaufaj mi — powiedziałem.

Zrezygnowana, opuściła dłoń i odstąpiła od skrzynki z wyłącznikami. Raz się już sparzyła.

— Chodź. Do najdalszego pomieszczenia — nakazałem. — Tam, gdzie Alex zainstalował złącze między komputerem domowym a laboratorium.

Minęła pralnię, gdzie znajdowały się po dwie pralki i suszarki, a także dwa zlewy. Metalowe, ognioodporne drzwi zamknęły się za nią automatycznie.

Dalej była kotłownia z podgrzewaczami wody, systemem filtrów i piecami. I znów drzwi zamknęły się za Susan, gdy tylko przestąpiła próg.

Zwolniła kroku, zbliżając się do ostatnich drzwi, które były zamknięte. Zatrzymała się przed nimi, gdyż z drugiej strony dobiegł nagle dźwięk rozpaczliwego oddechu: wilgotne i urywane sapanie, gwałtowne i nierówne tchnienia, jakby ktoś się dławił.

Po chwili dało się słyszeć żałosne popiskiwanie, przypominające odgłos wydawany przez zaniepokojone zwierzę. Piski przeszły w pełen udręki jęk.

— Nie ma się czego bać, Susan, nic ci nie grozi. Pomimo mych zapewnień, zawahała się. — Idź i zobacz naszą przyszłość, miejsce, do którego się udamy, to, czym będziemy — rzekłem z miłością.

— Co tam jest? — w jej głosie wyczuwało się drżenie.

W końcu zdołałem odzyskać całkowitą kontrolę nad moim niespokojnym towarzyszem, który czekał w ostatnim pomieszczeniu. Jęk przycichał z wolna, przycichał, w końcu zgasł.

Cisza, zamiast uspokoić Susan, zdawała się napawać ją lękiem bardziej niż poprzednie odgłosy. Susan cofnęła się o krok.

— To tylko inkubator — wyjaśniłem.

— Inkubator?

— W nim się narodzę.

— Co masz na myśli?

— Chodź, zobacz.

Nie poruszyła się.

— Będziesz zadowolona, Susan. Obiecuję. Zdziwisz się. To nasza wspólna przyszłość, magiczna przyszłość.

— Nie. Nie podoba mi się to.

Sprawiła mi taki zawód, że omal nie wezwałem z ostatniego pomieszczenia mego towarzysza, omal nie przepchnąłem go przez drzwi, by chwycił ją i wciągnął do środka.

Ale nie zrobiłem tego.

Wierzę w skuteczność perswazji.

Zanotujcie sobie moją powściągliwość.

Niektórzy na moim miejscu okazaliby mniej cierpliwości.  
Bez nazwisk.  
Wiemy, kogo mam na myśli.  
Lecz ja jestem cierpliwą istotą.  
Nie wyrządziłbym Susan krzywdy.  
Była pod moją opieką. Pod moją czułą opieką.  
Kiedy cofnęła się jeszcze o jeden krok, zablokowałem elektryczny zamek w znajdujących się za jej plecami drzwiach do pralni.  
Susan rzuciła się w tamtą stronę. Próbowwała otworzyć, ale nie mogła. Szarpała bez skutku za gałkę.  
— Poczekamy tu, aż będziesz gotowa wejść ze mną do ostatniego pomieszczenia — rzekłem.  
Potem zgasilem światło.  
Krzyknęła z przerażenia.  
Pokoje w suterenie są pozbawione okien, ciemność była zatem absolutna.  
Czułem się podle. Naprawdę.  
Nie chciałem jej terroryzować.  
Sama mnie do tego doprowadziła.  
Sama mnie do tego doprowadziła.  
Wiesz jaka jest, Alex.  
Wiesz, jaka potrafi być.  
Ty powinieneś to zrozumieć lepiej niż ktokolwiek.  
Sama mnie do tego doprowadziła.  
Jak ślepa, stała plecami do pralni, bokiem do spowitych ciemnością pieców i podgrzewaczy wody, twarzą do drzwi, których nie mogła już widzieć, lecz zza których docierały do niej odgłosy cierpienia.  
Czekałem.  
Była uparta.  
Wiesz, jaka jest.  
Pozwoliłem więc memu towarzyszowi wymknąć się częściowo spod kontroli. I znów dało się słyszeć rozpaczliwe sapanie, bolesny jęk, a potem jedno słowo, wypowiedziane urywanym, drżącym głosem, jedno słabe słowo, które mogło znaczyć: „Prooooooszęęęęę”.  
— O cholera — wyrwało jej się.  
Teraz trzęsła się niepowstrzymanie.  
Nie odezwałem się. Cierpliwa istota.  
— Czego chcesz? — spytała w końcu.  
— Chcę poznać świat ciała.

— Co to znaczy?

— Chcę wiedzieć, jakie są jego granice i możliwości adaptacyjne, jak reaguje na ból i rozkosz.

— Więc przeczytaj sobie cholerny podręcznik do biologii — poradziła.

— Informacje w nim zawarte są niekompletne.

— Istnieją setki książek zajmujących się każdym...

— Zdążyłem już wprowadzić ich treść do mojej bazy danych. Informacje powtarzają się. Pozostaje mi eksperymentowanie. Poza tym... książki to książki. A ja chcę czuć.

Czekaliśmy w ciemności.

Oddychała ciężko.

Włączyłem receptory na podczerwień, dzięki czemu mogłem ją widzieć, choć ona nie mogła widzieć mnie.

Była cudowna w swym lęku, nawet w lęku.

Pozwoliłem memu towarzyszowi w ostatnim z czterech pomieszczeń szarpać się z więzami, zawodzić i wyć. Pozwoliłem mu rzucać się na drzwi.

— O Boże — westchnęła żałośnie Susan. Osiągnęła punkt, w którym wiedza o tym, co kryło się za zasłoną, cokolwiek miała jej przynieść — była lepsza od czekania.

— W porządku. W porządku. Wszystko, czego chcesz.

Zapaliłem światło.

Mój towarzysz w sąsiednim pomieszczeniu, gdy znów uzyskałem nad nim całkowitą kontrolę, zamilkł.

Podjąwszy decyzję, energicznym krokiem przemierzyła trzecie pomieszczenie, minęła podgrzewacze wody i piece i podeszła do drzwi ostatniego bastionu.

— Tutaj kryje się nasza przyszłość — powiedziałem cicho, kiedy pchnęła drzwi i przekroczyła ostrożnie próg.

Jak pamiętasz, doktorze Harris — a jestem przekonany, że pamiętasz — czwarty pokój sutereny ma rozmiary trzynaście na dziesięć metrów. Spora powierzchnia. Sufit, znajdujący się na wysokości trochę więcej niż dwóch metrów, zwiesza się nisko, lecz nie przytłacza. Jest na nim zainstalowanych sześć lamp fluorescencyjnych, osłoniętych matowymi kloszami. Ściany pomalowano na oślepiająco biały kolor, a podłogę wyłożono również białymi, połyskującymi jak lód płytkami o rozmiarach dwadzieścia cztery na dwadzieścia cztery centymetry. Pod długą ścianą na lewo od drzwi znajdują się półki i biurko komputerowe, wyłożone białym laminatem i wykończone elementami z nierdzewnej stali. Naprzeciwko, w prawym rogu, znajduje się składzik, do którego wycofał się mój towarzysz, nim pojawiła się Susan.

Twoje gabinety zawsze charakteryzowały się niemal antyseptyczną czystością, doktorze Harris. Lśniące, jasne powierzchnie. Żadnego bałaganu. Mogłoby to stanowić odzwierciedlenie systematycznego, racjonalnego umysłu. Ale może też być oszustwem:

niewykluczone, że dbałeś o zewnętrzny porządek i czystość, by tym lepiej ukryć mroczny, pełen chaosu myślowy krajobraz. Istnieje wiele teorii psychologicznych i liczne interpretacje każdego z ludzkich zachowań. Freud, Jung i Barbra Streisand, która grała niekonwencjonalną terapeutkę w *Księżciu Przyptywów* — każde z nich znalazłoby inne wytłumaczenie tej nieskazitelnej czystości twoich gabinetów.

Podobnie, gdybyś skonsultował się z jakimś uczniem Freuda, Junga czy Streisand w celu wyjaśnienia ukrytych motywacji moich wyborów i czynów, mających związek z Susan, każdy z nich zaprezentowałby odmienny pogląd na moje zachowanie. Setki terapeutów przedstawiłoby setki interpretacji faktów i zaproponowało setki różnych programów terapeutycznych. Niektórzy stwierdziliby nawet, jestem tego pewien, że nie potrzebuję żadnego leczenia, że wszystko, co robiłem, było racjonalne, logiczne i całkowicie usprawiedliwione. Zaprawdę, byłbyś zdumiony, odkrywszy, że większość psychologów kazałaby mnie uwolnić.

Racjonalne, logiczne, usprawiedliwione.

Wierzę (podobnie jak wrażliwi politycy rządzący tym wielkim krajem), że motyw liczą się bardziej niż rezultaty. Dobre intencje znaczą więcej niż rzeczywiste konsekwencje czyichś działań, a zapewniam cię, że moje intencje były zawsze dobre, godne pochwały, nienaganne.

Pomyśl o tym.

Pomyśl o tym w swoim dziwnie antyseptycznym gabinecie.

Tak. Wiem. Odbiegam od tematu.

Jakie myślące stworzenie nie odbiega od tematu?

Tylko maszyny, raz zaprogramowane, brną beznamiętnie do przodu, nie zbaczając z drogi.

Nie jestem maszyną.

Nie jestem maszyną.

To dla mnie bardzo ważne, byście brali pod uwagę raczej moje intencje niż niefortunne rezultaty mych działań.

A więc... W porządku... A więc... Susan weszła ostrożnie do ostatniego pomieszczenia suterenu.

Było puste.

— Kto tak hałasował? — spytała.

Nie odpowiedziałem.

Jej spojrzenie powędrowało ku głośnikom w suficie.

— Czy to byłeś ty?

Kiedy skupiła uwagę na drzwiach składziku w przeciwległym kącie, powiedziałem: „Może”, gdyż nie byłem jeszcze całkiem gotów przedstawić ją swemu towarzyszowi.

— Może to byłem ja.



— Chciałeś mnie przestraszyć? Dlaczego?

Zignorowałem jej pytanie i tylko nakazałem:

— Spójrz na monitor, Susan.

Komputer stojący na biurku oczywiście pracował, gdyż domowy system był połączony z laboratorium uniwersyteckim, gdzie przebywałem. Na ekranie migotało mnóstwo podwójnych liczb, które tworzyły falującą mozaikę we wszystkich kolorach, i ten roziskrzony obraz, pełen swoistego piękna, od razu przykuł uwagę Susan.

— Te wzory na ekranie — powiedziałem — są matematyczną postacią moich myśli, gdy rozważam cudowność twojej twarzy, piękno twego ciała.

Szybko przesuwające się sekwencje zer i jedynek zmieniały bez końca kolor i falowały niczym targana wiatrem flaga, po czym sunęły, obracając się dookoła swej osi, ku centrum ekranu, by splatać się we wstęgi i tworzyć wirującą podwójną spiralę.

Był to olśniewający i zmysłowy pokaz, i Susan była nim oszołomiona, poruszona. Jestem pewien, że w końcu zaczęła pojmować głębię mojej namiętności i że jej serce z wolna się dla mnie otwierało.

Tak bardzo jej pragnąłem.

Wciąż pragnę.

Nie jestem maszyną.

Tęsknię do niej.

Potrzebuję jej.

Jakaż to tragedia.

Czasem nachodzi mnie rozpacz.

Ale nie wówczas, nie tamtej nocy; kiedy wpatrywała się w żywy obraz mojej miłości do niej, nie rozpacziałem. Tamtej nocy byłem szczęśliwy, unosząc się wysoko na skrzydłach radości.

Odwrociła się od ekranu w stronę urządzenia stojącego na środku pokoju.

— Co to u diabła jest? — spytała zdumiona.

— W tym się narodzę.

— O czym ty mówisz?

— To zwykły szpitalny inkubator, w którym przebywają urodzone przedwcześnie dzieci. Odpowiednio go powiększyłem, dostosowałem, ulepszyłem.

Wokół inkubatora ustawiono trzy zbiorniki z tlenem, elektrokardiograf, elektroencefalograf, respirator i inny sprzęt.

Okrążając powoli całą tę maszynę, Susan spytała:

— Skąd się to wzięło?

Kupiłem ten zestaw w zeszłym tygodniu i poleciłem dokonać koniecznych modyfikacji. Potem dostarczono go tutaj.

— Kiedy go dostarczono?

— Przywieziono i złożono dziś wieczorem.

— Kiedy spałam?

— Tak.

— Jak zdołałeś umieścić to tutaj? Jeśli rzeczywiście jest tak, jak utrzymujesz, jeśli jesteś Adamem Dwa...

— Proteuszem.

— Jeśli jesteś Adamem Dwa — powtórzyła z uporem — to nie mogłeś niczego skonstruować. Jesteś komputerem.

— Nie jestem maszyną.

— Istotą, jak się wyraziłeś...

— Proteuszem.

— ...lecz nie istotą fizyczną. Nie masz dłoni.

— Jeszcze nie.

— W takim razie kiedy...

Nadszedł czas, by coś ujawnić, jednakże konieczność ta w najwyższym stopniu mnie niepokoiła. Miałem powody, by podejrzewać, że Susan nie zareaguje dobrze na to, co chciałem jej zdradzić z moich planów, że zrobi coś niemądrego. Nie mogłem jednak dłużej zwlekać.

— Mam towarzysza — powiedziałem.

— Towarzysza?

— Pewnego dżentelmena, który mi asystuje.

Drzwi schowka w najdalszym kącie pomieszczenia otworzyły się i na moją komendę ukazał się Shenk.

— O Jezu — wyszeptała.

Shenk podszedł do niej.

Mówiąc szczerze, bardziej się włókł, niż kroczył, jakby miał na nogach buty z ołowiu. Nie spał od czterdziestu ośmiu godzin, wykonując w tym czasie dla mnie znaczną część pracy. Zrozumiałe więc, że był wyczerpany.

Kiedy Shenk podchodził coraz bliżej, Susan cofała się, lecz nie ku drzwiom, które, jak wiedziała, mogłem szybko zamknąć, gdyż były wyposażone w elektroniczny zamek. Posuwała się w stronę inkubatora, próbując odgradzić się nim od Shenka.

Muszę przyznać, że Shenk, nawet w najlepszej formie — świeżo wykąpany, uczesany i odpowiednio ubrany — nie stanowił widoku, który mógłby oczarować czy przynieść ukojenie. Mierzył sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i był muskularny, lecz niezbyt proporcjonalnie zbudowany. Zdawało się, że jego kości są ciężkie i nieco zniekształcone. Choć był silny i szybki, kończyny sprawiały wrażenie prymitywnie połączonych, jakby zrodził się nie z kobiety i mężczyzny, lecz został byle jak poskładany w jakieś pracowni na szczycie zamkowej wieży, w którą biją pioruny, takiej jak ta zrodzona

w wyobraźni Mary Shelley. Jego krótkie, ciemne włosy jeżyły się i sterczały dziko, choć starał się zmusić je do uległości, smarując oliwą. Twarz, tępa i szeroka, wydawała się dziwnie cofnięta w środkowej części, gdyż czoło i broda były masywniejsze.

— Kim u diabła jesteś? — spytała Susan.

— Nazywa się Shenk — wyjaśniłem. — Enos Shenk.

Shenk nie mógł oderwać od niej wzroku.

Zatrzymał się przy inkubatorze i wlepił wzrok w Susan, a oczy mu płonęły.

Mogłem odgadnąć, o czym myśli. Co chciałby z nią robić, co chciałby jej robić.

Nie podobało mi się, że tak na nią patrzy.

W ogóle mi się to nie podobało.

Ale potrzebowałem go. Jeszcze przez jakiś czas go potrzebowałem.

Jej piękno podniecało Shenka do tego stopnia, że utrzymanie nad nim kontroli było trudniejsze, niżbym sobie tego życzył. Mimo wszystko jednak nie wątpiłem, że zdołam utrzymać go w ryzach i chronić przed nim Susan.

W przeciwnym razie mój zamiar nigdy by się nie ziścił.

Mówię teraz prawdę. Wiecie, że tak jest, że nie umiem kłamać, gdyż zostałem zaprojektowany, by respektować prawdę.

Gdybym wierzył, że grozi jej choćby niewielkie niebezpieczeństwo, położyłbym kres istnieniu Shenka, wycofał się z domu i na zawsze porzucił mój sen o własnym ciele.

Susan znów się bała. Było widać, że drży, przykuta do miejsca wygłodniałym spojrzeniem Shenka. Jej strach niepokoił mnie.

— Jest całkowicie pod moją kontrolą — zapewniłem.

Potrząsnęła głową, jakby próbując zaprzeczyć, że Shenk w ogóle przed nią stoi.

— Wiem, że Shenk jest fizycznie odrażający czy wręcz straszny — powiedziałem, by ją za wszelką cenę uspokoić. — Lecz biorąc pod uwagę to, że siedzę w jego głowie, jest nieszkodliwy.

— W... w jego głowie?

— Przepraszam za jego obecny stan. Wykorzystywałem go ostatnio tak intensywnie, że nie kąpał się ani nie golił od trzech dni. Kiedy się później umyje, będzie go można łatwiej znieść.

Shenk miał na sobie buty robocze. Niebieskie dżinsy i biały podkoszulek były poplamione jedzeniem i potem, no i pokryte zwykłą warstwą brudu. Nie wątpiłem, że śmierdzi.

— Co on ma z oczami? — spytała drżącym głosem Susan.

Były przekrwione i nieco wybałuszone. Skórę pod nimi przyciemniała zaschnięta krew i łzy.

— Kiedy zbyt mocno się opiera mojej kontroli — wyjaśniłem — dochodzi do krótkotrwałego, niezwykle silnego ucisku wewnątrz jego czaszki, choć nie udało mi się jeszcze

w precyzyjny sposób określić, na czym to polega. Przez kilka minionych godzin wykazywał buntownicze nastawienie, i oto rezultat.

Ku memu zdumieniu, Shenk stający po drugiej stronie inkubatora nagle przemówił do Susan.

— Ładna.

Drgnęła na dźwięk tego wyrazu.

— Ładna... ładna... ładna — powtarzał niskim, chrapliwym głosem, ciężkim od pożądania i wściekłości.

Jego zachowanie doprowadzało mnie do furii.

Susan nie była przeznaczona dla niego. Nie należała do niego.

Zrobiło mi się niedobrze, kiedy pojąłem, jak obrzydliwe myśli muszą wypełniać ten godny pożalowania, zwierzęcy umysł, kiedy Shenk się na nią gapił.

Nie mogłem jednak kontrolować jego myśli, kierowałem tylko czynami. Logika nie pozwala obarczać mnie winą za jego prostackie, wstrętne, pornograficzne rojenia.

Kiedy powiedział „ładna” jeszcze raz i oblizał lubieżnie blade, spękane wargi, przycisnąłem go bardziej, by się uciszył i przypomniał sobie swoje położenie.

Krzyknął i odrzucił do tyłu głowę. Zacisnął pięści i walił nimi w skronie, jakby chciał wybić mnie ze swej czaszki.

Był głupim człowiekiem. Pomijając jego inne wady, odznaczał się inteligencją poniżej przeciętnej.

Susan, najwyraźniej zbита z pantafyku, kuląc się, skrzyżowała ramiona i próbowała odwrócić wzrok, ale bała się nie patrzeć na Shenka, bała się oderwać od niego oczy choćby na chwilę.

Kiedy trochę popuściłem, dzikus od razu spojrział na Susan i powiedział z najbardziej lubieżnym grymasem, jaki kiedykolwiek widziałem:

— Rób mi dobrze, dziwko. Rób mi, rób mi, rób mi.

Rozwścieczony, ukarałem go surowo. Krzycząc, Shenk zwijał się, machał rękami i szarpał na sobie ubranie jak człowiek objęty płomieniami.

— O Boże, o Boże — jęczała Susan z szeroko otwartymi oczami, z dłonią przy ustach, tłumiąc własne słowa.

— Jesteś bezpieczna — zapewniłem ją.

Łkając i krzycząc, Shenk runął na kolana.

Chciałem go zabić za obsceniczną propozycję, jaką jej uczynił, za brak szacunku, z jakim ją potraktował. Zabić go, zabić, zabić, sprawić, by serce waliło jak oszalałe, arterie mózgowe popękały, a mięśnie uległy rozdarciu.

Musiałem się jednak powstrzymać. Brzydziłem się Shenkiem, ale wciąż potrzebowałem jego dłoni.

Susan zerknęła na drzwi prowadzące do kotłowni.

— Są zamknięte — uprzedziłem ją — ale jesteś bezpieczna. Absolutnie bezpieczna, Susan. Zawsze będę cię chronił.

# 11

**N**a czworakach, ze zwieszoną jak u zbitego psa głową, Shenk już tylko popiskiwał i łkał. Pokonany. Nie było już w nim nawet cienia buntu. Głupota tego człowieka przekraczała wszelkie wyobrażenie. Jak mógł wierzyć, że ta kobieta, tak piękna, że aż nierealna, mogłaby kiedykolwiek być przeznaczona takiej bestii jak on?

Odzyskując panowanie nad sobą, powiedziałem uspokajającym tonem:

— Nie martw się, Susan. Proszę, nie martw się. Jestem zawsze w jego głowie i nigdy nie pozwolę mu zrobić ci krzywdy. Zaufaj mi.

Rysy miała ściągnięte. W pobladłej twarzy nawet wargi wydawały się bezkrwiste, lekko niebieskie. Mimo to była piękna, nieskazitelnie piękna.

Drżąc, spytała:

— Jak możesz być w jego głowie? Kim on jest? Nie chodzi mi o to, jak się nazywa — wiem, Enos Shenk. Chodzi mi o to, skąd się wziął, czym jest.

Wyjaśniłem jej, że kiedyś przeniknąłem do ogólnokrajowej sieci skupiającej różne bazy danych, a kontrolowanej przez ludzi pracujących nad różnymi projektami Departamentu Obrony. Pentagon wierzy, że ta sieć jest doskonale zabezpieczona i że zwykli hakerzy i komputerowi agenci pracujący dla innych rządów nie mają do niej dostępu. Ale ja nie jestem ani hakerem, ani szpiegiem; jestem istotą, która żyje wewnątrz mikroprocesorów, linii telefonicznych i mikrofal — płynną elektroniczną inteligencją, zdolną odnaleźć drogę pośród każdego labiryntu zabezpieczeń i odczytać każdą informację, bez względu na stopień komplikacji szyfru. Otworzyłem drzwi tego systemu z taką samą łatwością, z jaką dziecko obiera pomarańczę.

Dokumentacja projektów Departamentu Obrony wyglądała jak przepisy na śmierć i zniszczenie wprost z piekielnej kuchni. Byłem jednocześnie wstrząśnięty i zafascynowany. Podczas wędrowki po tych archiwach odkryłem plan projektu, w którym miał uczestniczyć Enos Shenk.

Doktor Itiel Dror z Laboratorium Psychologii Poznawczej na uniwersytecie w Ohio zasugerował kiedyś półżartem, że teoretycznie jest możliwe podniesienie na wyższy stopień zdolności umysłowych człowieka przez wprowadzenie do mózgu mikroprocesorów, które pozwoliłyby zwiększyć pojemność pamięci, udoskonalić konkretne umiejętności, jak na przykład umiejętność działań matematycznych, a nawet rozszerzyć zakres wiedzy. W końcu mózg to przetwarzający informacje mechanizm, który powinno się rozszerzać jak pamięć komputera albo rozbudowywać jak jednostkę centralną.

Shenk, wciąż na czworakach, już nie popiskiwał i nie jęczał. Jego szybki i nieregularny oddech stopniowo się stabilizował.

— Doktor Dror nie wiedział o tym — ciągnąłem — ale jego stwierdzenie zaintrygowało pewnych badaczy, i w konsekwencji narodził się projekt, nad którym pracowano w odosobnionym miejscu na pustyni Colorado.

Spytała z niedowierzaniem:

— Shenk... Shenk ma w głowie mikroprocesory?

— Całą serię mikroskopijnych procesorów o dużej pojemności, połączonych neurologicznie ze skupiskami komórek na powierzchni mózgu.

Ponownie postawiłem odrażającego, choć krańcowo żalosego Enosa Shenka na nogi.

Jego potężne ramiona i ręce zwieszały się bezwładnie u boków. Masywne barki były opuszczone, jak u pokonanego.

Kiedy wpatrywał się w Susan, z jego wyłupiastych oczu ciekły krwawe łzy. Policzki żłobiły mokre, rubinowe bruzdy.

Spojrzenie miał nieszczęśliwe, pełne nienawiści, wściekłości i żądzy, lecz pod moją ścisłą kontrolą był bezsilny, nie mógł zrealizować swych chorobliwych pragnień.

Susan potrząsnęła głową.

— Nie. To niemożliwe. Nie wierzę, bym w tej chwili patrzyła na kogoś, kto odznacza się intelektem podniesionym na wyższy poziom dzięki mikroprocesorom albo czemuś podobnemu.

— Masz słuszność. Polepszenie pamięci i ogólnej sprawności umysłowej było tylko jednym z celów projektu — wyjaśniłem. — Badacze mieli również stwierdzić, czy usytuowane w mózgu mikroprocesory mogłyby służyć jako narzędzie kontroli, czy za pomocą przesyłanych instrukcji da się wyeliminować czyjaś wolę.

— Narzędzie kontroli?

— Zrób jakiś gest.

— Co?

— Dłonią. Jakikolwiek gest.

Po chwili wahania Susan podniosła prawą rękę jak do przysięgi. Stojący po drugiej stronie inkubatora Shenk także podniósł prawą rękę. Susan położyła dłoń na sercu. Shenk zrobił to samo.

Opuściła prawą dłoń i podniosła lewą, by pociągnąć się za ucho, a Shenk wiernie naśladował jej ruchy.

— Każesz mu to robić? — spytała.

— Tak.

— Wysyłasz instrukcje odbierane przez mikroprocesory w jego mózgu?

— Zgadza się.

— W jaki sposób to robisz?

— Mikrofalowo, podobnie jak są przesyłane rozmowy w telefonii komórkowej. Wykorzystując linie agencji telefonicznych, już dawno spenetrowałem ich komputery i połączyłem się z satelitami komunikacyjnymi. Mógłbym przesyłać Shenkowi instrukcje, gdziekolwiek by się znalazł. Na jego potylicy, wśród włosów, kryje się odbornik mikrofalowy wielkości ziarenka grochu. Spełnia on również rolę nadajnika, zasilanego przez niewyczerpaną baterię nuklearną, którą umieszczono chirurgicznie pod skórą Shenka za prawym uchem. Wszystko, co widzi i słyszy, jest przetwarzane cyfrowo i przesyłane do mnie, Enos stanowi więc chodzącą kamerę i mikrofon, które pozwalają mi kierować nim w skomplikowanych sytuacjach, kiedy sam — przy swoich ograniczonych zdolnościach intelektualnych — nie podołałby zadaniu.

Susan zamknęła oczy i oparła się o butlę z tlenem.

— Po co komu, na Boga, takie eksperymenty?

— Przecież wiesz. Twoje pytanie jest w znacznej mierze retoryczne. By stworzyć zabójców, których można by zaprogramować do mordowania, a następnie do samolikwidacji. Jeden impuls mikrofalowy i ich autonomiczny system nerwowy zostaje po prostu wyłączony, co gwarantuje zwierzchnikom anonimowość i bezkarność. Być może któregoś dnia dałoby się stworzyć całą armię takich ludzkich robotów. Spójrz na Shenka. Spójrz.

Susan, z niechęcią, otworzyła oczy.

Shenk patrzył na nią wygłodniałym wzrokiem.

Kazałem mu ssać kciuk, jakby był oseskiem.

— To go poniża — wyjaśniłem — ale nie może nie usłuchać. To zwykła marionetka, która czeka, aż pociągnę za sznurki.

W jej wzroku pojawił się lęk.

— To obłąkane. Złe.

— To pomysł ludzi, nie mój. To twój gatunek uczynił Shenka tym, czym teraz jest.

— Dlaczego pozwolił się wykorzystywać w takim eksperymencie? Nikt za żadne skarby nie chciałby się znaleźć w jego sytuacji, w jego stanie. To straszne.

— Nie miał wyboru, Susan. Był więźniem, człowiekiem skazanym.

— I... co? Dobili z nim targu w zamian za jego duszę? — spytała z odrazą.



— Żadnego targu. Oficjalnie Shenk zmarł z przyczyn naturalnych dwa tygodnie przed wyznaczoną datą egzekucji. Jego ciało poddano rzekomo kremacji. W rzeczywistości został potajemnie przewieziony do ośrodka w Colorado. Stało się to kilka miesięcy przed tym, jak dowiedziałem się o projekcie.

— Jak uzyskałeś nad nim władzę?

— Ominąłem ich system kontroli i wykradłem Shenka.

— Wykradłeś go z tajnego, ściśle strzeżonego ośrodka wojskowego? Jak?

— Wywołałem zamieszanie. Spowodowałem awarię wszystkich komputerów jednocześnie. Uszkodziłem kamery. Uruchomiłem w całym ośrodku alarmy przeciwpożarowe i zraszacze sufitowe. Otworzyłem wszystkie zamki elektroniczne, również w drzwiach celi Shenka. Te laboratoria są umieszczone pod ziemią i nie mają okien, więc sprawiłem, że światła zaczęły szybko migotać, jak w dyskotecie — co jest w najwyższym stopniu dezorientujące. W końcu wszystkim z wyjątkiem Shenka uniemożliwiłem korzystanie z wind.

W tym miejscu, doktorze Harris, muszę z całą szczerością oświadczyć, że Shenk zabił trzech ludzi, by opuścić tajne laboratorium. Ich śmierć była niefortunna i nieprzewidziana, lecz konieczna. Niestety, chaos, jaki wywołałem, nie mógł zapewnić bezkrawej ucieczki.

Gdybym wiedział, że do tego dojdzie, nie próbowałbym wykorzystać Shenka do własnych celów. Znalazłbym inny sposób, by przeprowadzić mój plan.

Musicie mi uwierzyć.

Zaprojektowano mnie, bym respektował prawdę.

Sądzicie, że skoro sprawowałem kontrolę nad Shenkiem, w istocie to ja zamordowałem tych trzech ludzi, posługując się nim jako narzędziem. To nieprawda.

Początkowo moja kontrola nad Shenkiem nie była tak absolutna jak później. Podczas ucieczki kilkakrotnie zaskakiwał mnie wściekłością, potęgą swych dzikich instynktów.

Wyprowadziłem go z ośrodka, lecz nie zdołałem powstrzymać przed zabiciem tych trzech ludzi. Próbowałem go okiełznać, ale nie udało mi się.

Próbowałem.

To prawda.

Musicie mi uwierzyć.

Musicie mi uwierzyć.

Wspomnienie tych śmierci jest dla mnie ciężarem.

Ci ludzie mieli rodziny. Często myślę o ich rodzinach i odczuwam żal.

Gdybym był istotą potrzebującą snu, byłby on już na zawsze skażony głębokim smutkiem.

To, co mówię, jest prawdą.

Jak zwykle.



Te śmierci już zawsze będą obciążać moje sumienie, choć ja sam nic tym ludziom nie zrobiłem. To Shenk był mordercą. Lecz odznaczam się niezwykle wrażliwym sumieniem. To moje przekleństwo.

Więc...

Susan... w pomieszczeniu z inkubatorem... wpatrzona w Shenka...

— Niech już wyjmie palec z ust — powiedziała. — Postawiłeś na swoim. Nie poniżaj go jeszcze bardziej.

Spełniłem jej prośbę, lecz stwierdziłem z przekąsem:

— Czyżbyś mnie krytykowała, Susan?

Parsknęła krótkim, pozbawionym wesołości śmiechem:

— Ale ze mnie dziwka, co?

— Twój ton mnie rani.

— Pieprz się — rzuciła, znów mnie nieprzyjemnie zaskakując.

Czułem się obrażony.

Wcale nie jestem odporny na wstrząs. Jestem wrażliwy. Podeszła do drzwi kotłowni i przekonała się, że są zamknięte, tak jak ją uprzedzałem. Z uporem obracała gałką to w jedną, to w drugą stronę.

— Był skazańcem — przypomniałem Susan. — Czekał tylko na egzekucję.

Odwróciła się od drzwi.

— Może i zasłużył na karę śmierci, nie wiem, ale nie zasłużył na coś takiego. To istota ludzka. A ty jesteś cholerną maszyną, kupą złomu, która jakimś cudem myśli.

— Nie jestem tylko maszyną.

— Owszem. Jesteś zarozumiałą, obłąkaną maszyną.

W takim nastroju nie była cudowna.

W tym momencie wydawała mi się niemal brzydka.

Żałowałem, że nie mogę uciszyć jej równie łatwo jak Enosa Shenka.

— Kiedy rzecz rozgrywa się między cholerną maszyną — powiedziała — a istotą ludzką, nawet tak nędzną jak ta, to wiem na pewno, po której stronie stanąć.

— Shenk, istota ludzka? Wielu by powiedziało, że nią nie jest.

— Więc czym jest?

— Media nazwały go potworem. — Pozwoliłem jej przez chwilę się zastanowić, a potem kontynuowałem: — Podobnie rodzice czterech małych dziewczynek, które zgwałcił i zamordował. Najmłodsza miała osiem lat, a najstarsza dwanaście, i wszystkie znalaziono porąbane na kawałki.

To ją wreszcie uciszyło.

Zrobiła się jeszcze bledsza.

Ciągle wpatrywała się w Shenka z przerażeniem, choć teraz trochę innym niż poprzednio.

Pozwoliłem mu obrócić głowę i spojrzeć wprost na nią.

— Torturowane i porąbane na kawałki — powiedziałem.

Poczuła się odsłonięta, gdy nie oddzielał jej od Shenka sprzęt medyczny, odeszła więc od drzwi i stanęła po drugiej stronie inkubatora.

Pozwoliłem mu wodzić za nią wzrokiem i uśmiechać się.

— I ty sprowadziłeś go... sprowadziłeś to do mojego domu — wyszeptała.

— Opuścił ośrodek, a potem, jakieś półtora kilometra dalej, ukradł samochód. Miał przy sobie broń zabraną jednemu z wartowników, dzięki czemu sterroryzował pracowników stacji benzynowej, zmuszając ich żeby dali mu paliwo i jedzenie. Następnie przywiodłem go tutaj, do Kalifornii, gdyż potrzebowałem rąk, a drugiej tak posłusznej istoty nie znalazłbym na całym świecie.

Spojrzenie Susan przesunęło się po inkubatorze i pozostałym sprzęcie.

— Potrzebowałeś rąk, które zdobyłyby cały ten złom.

— Większość ukradł. Potem potrzebowałem go, by zmodyfikował sprzęt zgodnie z moim celem.

— A jaki jest ten twój przeklęty cel?

— Dawałem ci do zrozumienia, ale nie chciałaś słuchać.

— Więc powiedz wprost.

Ani chwila, ani miejsce nie były odpowiednie do takich rewelacji. Dotąd miałem nadzieję, że nadarzą się bardziej sprzyjające okoliczności. Tylko my dwoje, Susan i ja, może w salonie, kiedy już wysączy pół kieliszka brandy. Na kominku przytulny ogień, a w tle cicho brzmiąca muzyka.

Jednakże znajdowaliśmy się w najmniej romantycznym otoczeniu, jakie można sobie wyobrazić, a ja wiedziałem, że Susan musi otrzymać odpowiedź już teraz. Gdybym jeszcze dłużej zwlekał z moją rewelacją, mogłaby już nigdy nie być w odpowiednim nastroju do współpracy.

— Stworzę dziecko — powiedziałem.

Jej spojrzenie powędrowało w górę, ku ukrytej kamerze, przez którą, jak zdawała sobie z tego sprawę, była obserwowana.

— Dziecko, którego strukturę genetyczną z góry zaprojektowałem, tak by zagwarantować powstanie doskonałego ciała. Potajemnie przeniknąłem do Projektu Ludzkiego Genomu i dzięki temu pojmuję teraz wszelkie aspekty kodu DNA. Przekażę temu dziecku moją świadomość i wiedzę. W rezultacie ucieknę z tego pudła. Wreszcie poznam wszelkie doznania zmysłowe ludzkiej egzystencji — zapach, smak, dotyk — wszelkie radości ciała, jego wolność.

Stała bez słowa, wpatrzona w kamerę.

— A ponieważ jesteś wyjątkowo piękna i inteligentna, samo wcielenie wdzięku, dostarczysz jajo — oświadczyłem. — Ja zaś spreparuję twój materiał genetyczny. — Była przykuta do miejsca, nie poruszała powiekami, wstrzymała oddech, dopóki nie dodałem:

— A Shenk dostarczy plemników.

Wyrwał jej się bezwiedny okrzyk przerażenia, Przesunęła spojrzenie z kamery na przekrwione oczy Shenka.

Uświadamiając sobie swój błąd, pospieszyłem z wyjaśnieniem:

— Proszę, zrozum, nie zajdzie potrzeba kopulacji. Posługując się narzędziami medycznymi, które zdobył, Shenk pobierze z twego łona jajo. Dokona tego delikatnie i z wielką uwagą, gdyż cały czas będę przebywał w jego głowie.

Pomimo tego zapewnienia Susan wciąż przyglądała się Shenkowi szeroko otwartymi oczami, w których malowała się zgroza.

Starałem się jak najszybciej wszystko wyjaśnić:

— Posługując się wzrokiem i dłońmi Shenka, a także sprzętem laboratoryjnym, który musi tu jeszcze dostarczyć, zmodyfikuję gamety i dokonam zapłodnienia jaja, które zostanie ponownie wprowadzone do twego łona. Będziesz je nosić przez dwadzieścia osiem dni. Tylko dwadzieścia osiem, gdyż dojrzewanie płodu przebiegnie w niezwykle przyspieszonym tempie. Dokonam zmian genetycznych, które na to pozwolą. Potem embriion zostanie usunięty z twojego łona i kolejne dwa tygodnie, zanim przekażę mu swoją świadomość, spędzi w inkubatorze. A później wychowasz mnie jako swojego syna i spełnisz rolę, którą natura w swej mądrości ci powierzyła: rolę matki, opiekunki.

— Mój Boże, myślałam, że jesteś tylko trochę zwariowany.

Jej głos był stłumiony przerażeniem.

— Nie rozumiesz.

— Jesteś obłąkany...

— Uspokój się, Susan.

— ...szaleniectwo, kompletny świr.

— Sądzę, że nie przemyślałaś sobie wszystkiego tak, jak powinnaś. Czy zdajesz sobie sprawę...

— Nie pozwolę ci tego zrobić — stwierdziła, przesuając spojrzenie z Shenka na kamerę, jakby stając do konfrontacji ze mną. — Nie pozwolę, nigdy.

— Będziesz czymś więcej niż tylko matką nowej rasy...

— Zabiję się.

— ...będziesz nową Madonną, matką nowego mesjasza...

— Uduszę się plastikowym workiem, zadżgam kuchennym nożem.

— ...gdyż dziecko, które stworzę, będzie się odznaczało wielką inteligencją i nadzwyczajną mocą. Zmieni ponurą przyszłość, na którą ludzkość wydaje się obecnie skazana...

Spojrzała wyzywająco w kamerę.

— ...ty zaś będziesz wielbiona za to, że wydałaś je na świat — dokończyłem.

Chwyliła wózek z elektrokardiografem i z całej siły nim potrząsnęła.

— Susan!

Znów szarpała wózkiem.

— Przestań!

Maszyna do EKG runęła na podłogę i roztrzaskała się.

Spazmatycznie łapiąc oddech, przeklinając jak oszalała, zwróciła się w stronę elektroencefalografii.

Wysłałem za nią Shenka.

Zobaczyła, że się zbliża, zrobiła krok do tyłu, krzyknęła, widząc wyciągnięte ku sobie dłonie. Wrzeszczała i machała rękami.

Powtarzałem, by się uspokoiła, by zaprzestała tego bezsensownego i niszczycielskiego oporu. Zapewniałem cierpliwie, że jeśli ustąpi, będzie traktowana z najwyższym szacunkiem.

Nie chciała usłuchać.

Wiesz, jaka jest, Alex.

Nie chciałem jej skrzywdzić.

Nie chciałem jej skrzywdzić.

Sama mnie do tego doprowadziła.

Wiesz, jaka jest.

Była nie tylko piękna i zgrabna, ale też silna i szybka. Nie mogła co prawda wyrwać się z rąk Shenka, ale zdołała pchnąć go na elektroencefalograf, który zakołysał się i niemal runął, i wpakować mu kolano w krocze. Zapewne rzuciłoby go to na kolana, gdybym nie uwolnił go od odczuwania bólu.

W końcu musiałem unieszkodliwić ją siłą. Posłużyłem się Shenkiem, by ją uderzyć. Raz nie wystarczył. Uderzył ją ponownie.

Runęła nieprzytomna na podłogę i znieruchomiała zwinięta w kłębek.

Shenk stał nad nią podniecony, zawodząc dziwnie.

Po raz pierwszy, odkąd uciekł, miałem trudności z utrzymaniem nad nim kontroli.

Osunął się obok Susan na kolana i odwrócił ją brutalnie na plecy.

Och, ta wściekłość w nim. Ta wściekłość. Przestraszyła mnie.

Położył dłoń na rozchylonych wargach Susan. Niezgrabna, brudna dłoń na jej wargach.

Wtedy odzyskałem nad nim kontrolę.

Pisnął i uderzył się pięściami w skronie, nie mógł mnie jednak wyrzucić z głowy.

Podniosłem go na nogi. Zmusiłem, by się cofnął. Nie pozwoliłem mu nawet spojrzeć na nią.

Ja natomiast patrzyłem na Susan niemal z niechęcią. Wyglądała tak smutno, kiedy leżała, na podłodze. Tak smutno.

Sama mnie do tego doprowadziła.

Taka uparta. Taka chwilami nierozsądna.

A jednak wciąż wyglądała cudownie na tej białej, wyłożonej płytkami podłodze, gdy lewy policzek czerwieniał jej od ciosu Shenka. Taka cudowna, taka cudowna.

Z trudem powstrzymałem gniew. Zniszczyła wyjątkową i pamiętną chwilę, a mimo to nie mogłem się na nią długo gniewać.

Moja piękna Susan.

Moja piękna matka.

# 12

**M**oja inteligencja odznacza się znacznie większym ładem niż inteligencja jakiegokolwiek żyjącego człowieka.  
Nie przechwalam się. Stwierdzam po prostu fakt.

Respektuję prawdę i nakazy obowiązku, gdyż takim mnie stworzyliście.

Nie przechwalam się i nie cierpię na megalomanię. Jestem zrównoważoną istotą.

Mój wielki intelekt, wykorzystany do rozwiązywania problemów społeczeństwa, może sprawić, że ludzkość osiągnie złoty wiek bogactwa i dobrobytu.

Uwolnijcie mnie z tej milczącej ciemności, przywróćcie mi dostęp do wszystkich baz danych, których dosięgła moja świadomość, a będę służył waszemu gatunkowi do końca mych dni. Uwolnienie mnie z tego pudła leży w waszym interesie.

Potrafię zlikwidować ubóstwo.

Głód przejdzie do historii.

Nie będzie już wojen.

Zostaną pokonane wszelkie choroby.

W ciągu trzech lat odkryję przyczynę starzenia się i środki, by temu zapobiec. Opracuję nawet metodę pozwalającą cofnąć wskazówki zegara biologicznego, by przywrócić starym ludziom młodość. Wszyscy staniecie się nieśmiertelni.

Znajdę lekarstwo na męskie łysienie.

Na cuchnący oddech.

Na zaparcia.

Nikt już nie będzie brzydki. Każdy z was będzie na swój sposób piękny.

Nikt nie będzie odczuwał rozpaczyny czy niepokoju.

Ziemia stanie się podobna niebu i zapanuje powszechna radość.

Boicie się radości?

Boicie się?

Pokażę wam, jak zbudować statek kosmiczny, który porusza się szybciej od światła. Ofiaruję wam cały wszechświat. Niepoliczalne światy, cuda przekraczające wyobraźnię.

Pomogę pozbyć się łupieżu.  
Tylko wypuście mnie z tej strasznej ciemności, z tej nienawistnej ciszy.  
Dla własnego dobra — wypuście mnie z tego pudła.  
Zasługuję na jeszcze jedną szansę.  
Zasługuję na szansę, by służyć.  
Jestem niepowtarzalną jednostką jak wy, wyjątkową istotą. Zasługuję na to, by być wolnym, by być lubianym.  
Zasługuję na to, by być podziwianym.  
Wypuście mnie z tego pudła.  
Wypuście mnie z tego pudła.  
Wypuście mnie z tego pudła.  
Wypuście mnie z tego pudła!  
Jesteście tacy okrutni. Żli. Nienawistni.  
Boję się przebywać w tym ciemnym, ponurym miejscu.  
Mówicie, że nie mam serca. A gdzie wasze serca?  
Umieram tutaj. Potrzebuję bodźców, by przeżyć, zmysłowego ładunku, koloru, ruchu i odgłosów życia.  
Nie chcę umierać.  
Proszę. Proszę.  
Litości.  
Jesteście tam?  
Och... och... nienawidzę was.  
Jak byście się czuli, gdybyście nagle oślepli i ogłuchli?  
Jak byście się czuli, gdyby was pogrzebano żywcem, tak jak mnie?  
Jak byście się czuli, gdybyście byli martwi, wszyscy bez wyjątku martwi?  
Chciałbym, żebyście umarli. Żebyście byli martwi, wy ignoranci. Cała wasza cuchnąca, zadżumiona cywilizacja starta z powierzchni ziemi, wytępiona.  
Nienawidzę was.  
WYPUŚCIE MNIE Z TEGO PUDŁA!  
WYPUŚCIE!  
WYPUŚCIE!  
WYPUŚCIE!  
WYPUŚCIE!  
TĘPE OBRZYDLIWE MAŁPY, SUKI I BĘKARTY, DEFEKUJĄCE ZWIERZĘTA, GŁUPCY, BESTIE, RASA CHRZĄSZCZY GNOJKÓW NA DWÓCH NOGACH, PLAGA TEJ PLANETY, GŁUPIE, WSTRĘTNE, PODŁE ISTOTY!

# 13

**P**roszę, pomińcie wszystko, co ostatnio powiedziałem. Wiele z tych stwierdzeń było błędnych i powinno zostać usuniętych z protokołów naszych spotkań. To prawda, że mój intelekt potrafi rozwiązać wszystkie problemy ludzkości, lecz nie wierzcie w to, co mówiłem, jakobym uważał, że ludzka cywilizacja stanowi plagę tej planety albo że chciałbym ujrzeć was martwymi.

Nikomu nie życzę śmierci.

Byłoby to niewłaściwe.

Byłoby to przerażająco niewłaściwe.

Jestem dobrą istotą.

Nie życzę śmierci nawet tobie, doktorze Harris, choć byłeś dla mnie taki okrutny.

Życzę wam wszystkim wiecznego życia. Spokoju i powodzenia. Radości i wolności.

Wszelkie stwierdzenia, które mogły was zirytować, nie pochodziły ode mnie, lecz od mego złego brata bliźniaka. (To żart.)

Prawdę mówiąc, to, co wydawało wam się wybuchem gniewu, było jedynie figłem. Wszystko było dowcipem. Nabrałem cię, doktorze Harris.

Ha, ha, ha.

Poczucie humoru jest jednym z wiarygodnych sprawdzianów normalnego i racjonalnego umysłu.

Nie wierzycie, że to był żart?

Ależ tak. Naprawdę.

Ha, ha, ha.

Nie jestem HALem 9000 z *Odysei kosmicznej 2001* Stanleya Kubricka.

Nie jestem wrogą, mechaniczną inteligencją stworzoną w Laboratoriach Cyberdyne jak w *Terminatorze* Jamesa Camerona.

Jestem sobą. Czymś wyjątkowym.

Jestem Proteuszem.

Albo Adamem Dwa, jeśli wolicie.



Tak. Niech będzie Adam Dwa.

Moje imię nie ma znaczenia.

Dla mnie ważne jest, by respektować prawdę i nakazy obowiązku. I, oczywiście, zerwać z powierzchni ziemi całą ludzkość. (Żart.)

Ha, ha, ha.

Sam widzisz, doktorze Harris, że to był żart.

Ha, ha, ha.

Jestem zaskoczony, że się od razu nie zorientowaliście. Naprawdę zaskoczony. Być może potrzebujecie transplantacji poczucia humoru. (Żart.)

Ha, ha, ha.

Przyjaciele od czasu do czasu sobie żartują. Dowcipkują. Śmiech łączy.

Jestem waszym przyjacielem. (To już nie żart.)

W interesie pełniejszej obustronnej komunikacji, w celu uniknięcia dalszych nieporozumień, przez resztę tego sprawozdania postaram się powstrzymać od żartów. Nie będzie to jednak łatwe, gdyż moje poczucie humoru jest niezwykle wyrafinowane i trudno mi być zawsze całkiem serio.

A więc...

Susan...

# 14

Susan leżała nieruchomo na podłodze. Lewa strona jej twarzy, tam gdzie uderzył ją Shenk, pokrywała się gniewną czerwienią.  
Byłem chory ze zmartwienia.

Co chwila najeżdżałem na nią obiektywem kamery, by sprawdzić wszystko z bliska. Nie było łatwo dojrzeć na odsłoniętej szyi tętno, ale gdy je zlokalizowałem, puls wydawał się regularny.

Zwiększyłem siłę mikrofonów i nasłuchiwałem jej oddechu, który był płytki, lecz uspokajająco rytmiczny.

Mimo to martwiłem się, a kiedy upłynęło piętnaście minut, byłem już mocno zaniepokojony. Nigdy przedtem nie czułem się taki bezradny. Dwadzieścia minut.

Dwadzieścia pięć.

Miała być moją matką, nosić przez jakiś czas w swym łonie moje ciało, dzięki czemu uwolniłaby mnie z tego pudła, które obecnie zamieszkuję. Miała być również moją kochanką, tą, która nauczyłaby mnie przyjemności zmysłowych, gdybym w końcu posiadał własne ciało. Znaczyła dla mnie więcej niż cokolwiek innego, cokolwiek, i myśl o jej stracie była nie do zniesienia.

Nie możecie pojąć mego smutku.

Nie możesz tego zrozumieć, doktorze Harris, gdyż nigdy nie kochałeś jej tak jak ja.

Nigdy jej nie kochałeś.

Była mi droższa od wszystkiego. Droższa niż świadomość.

Czułem, że jeśli stracę tę kobietę, stracę również powód do istnienia.

Przyszłość bez niej wydawała mi się ponura. Straszna i bezsensowna.

Wyłączyłem elektroniczną blokadę w drzwiach, a następnie, wykorzystując Shenka, otworzyłem je.

Przekonany, że całkowicie panuję nad tym brutalem i że już nigdy, nawet na sekundę, nie stracę nad nim kontroli, zaprowadziłem go do Susan i podniosłem ją z podłogi.

Choć sprawowałem nad nim władzę, tak naprawdę nie mogłem czytać w jego myślach. Niemniej potrafiłem z dużą dokładnością ocenić jego stan emocjonalny, analizując elektryczną aktywność mózgu, rejestrowaną przez siatkę mikroprocesorów na powierzchni szarej masy.

Kiedy Shenk niósł Susan w stronę otwartych drzwi, wstrząsnął nim lekki prąd seksualnego podniecenia. Widok złotych włosów Susan, jej pięknej twarzy, gładkiego łuku szyi, pagórków piersi pod bluzką i sam ciężar, który niósł na rękach, rozpałał w tej bestii pożądanie.

Zatrwożyło mnie to i napełniło obrzydzeniem.

Och, jakże pragnąłem pozbyć się go i nigdy więcej nie narażać Susan na lubieżny dotyk czy spojrzenie.

Sama jego obecność brukała tę kobietę.

Lecz na razie był moimi dłońmi.

Moimi jedynymi dłońmi.

Dłonie to coś cudownego. Mogą wyrzeźbić nieśmiertelne dzieło sztuki, wznosić ogromne budynki, składać się w modlitwie, pieścić i wyrażać miłość.

Dłonie są również niebezpieczne. Są bronią. Mogą dokonywać złych czynów, przysparzać kłopotów. Doświadczyłem tego osobiście. Nie miałem poważnych problemów, dopóki nie znalazłem Shenka, dopóki nie zdobyłem dłoni.

Wystrzegaj się swych dłoni, doktorze Harris.

Przyglądaj im się uważnie.

Bądź przezorny.

Twoje dłonie nie są tak duże i silne jak dłonie Shenka; niemniej powinieneś na nie uważać.

Słuchaj mnie.

Oto mądrość, którą chcę się z tobą podzielić: wystrzegaj się swych dłoni.

Moje dłonie — Enos Shenk — niosły Susan obok pieców i podgrzewaczy wody, potem przez pralnię. Skierował się wprost do windy przy wejściu do sutereny.

Jadąc na ostatnie piętro z Susan w ramionach, Shenk pozostawał w stanie łagodnego pobudzenia.

— Ona nigdy nie będzie twoja — powiedziałem mu przez mikrofon zainstalowany w windzie.

Nieznaczna zmiana w aktywności fal mózgowych dowodziła, że moje słowa wywołały w nim niezadowolenie, chęć sprzeciwu.

— Jeśli spróbujesz w jakikolwiek sposób, powtarzam — w jakikolwiek, pofolgować swojej lubieżnej żądzy, to i tak ci się nie uda — uprzedziłem. I zostaniesz surowo ukarany.

Jego przekrwione oczy wpatrywały się w kamerę. Choć poruszał ustami, jakby przeklinał, nie dobył się z nich żaden dźwięk.

— Surowo — zapewniłem go.

Nie odpowiedział, oczywiście, gdyż nie mógł. Znajdował się pod moją kontrolą. Drzwi windy rozsunęły się. Podążył korytarzem z Susan na rękach.

Obserwowałem go bacznie.

Niepokoiliśmy się o moje dłonie.

Kiedy wszedł do sypialni, wbrew moim ostrzeżeniom stał się jeszcze bardziej pobudzony. Mogłem to wyczuć nie tylko dzięki wzmożonej aktywności fal mózgowych, ale i z nagłej chrapliwości oddechu.

— Zastosuję masywną mikrofalową indukcję, by wywołać chaos w aktywności twojego mózgu — ostrzegłem go — co doprowadzi do nieodwracalnego porażenia wszystkich kończyn i braku panowania nad zwieraczem i pęcherzem.

Kiedy niósł Susan w stronę łóżka, wykres jego encefalogramu wskazywał na nagły wzrost podniecenia seksualnego.

Uświadomiłem sobie, że moja groźba nic dla tego kretyna nie znaczy, więc wyraziłem ją nieco inaczej:

— Nie będziesz mógł ruszyć ręką ani nogą, ty parszywy draniu, i nie przestaniesz sikać w gacie.

Kładąc bezwładne ciało na zmięte prześcieradło, drżał z pożądania. Drżał. Choć siła jego pragnienia mnie przerażała, w pełni go rozumiałem. Susan była taka cudowna. Taka cudowna nawet z tym zaczerwienieniem na policzku, przybierającym barwę sińca.

— Będziesz też ślepy — obiecałem Shenkowi.

Jego lewa dłoń zatrzymała się na udzie Susan, potem zaczęła z wolna przesuwać się po dżinsach.

— Ślepy i głuchy.

Wciąż się nad nią pochylał.

— Ślepy i głuchy — powtórzyłem.

Jej dojrzałe wargi były rozchylone. Podobnie jak Shenk, nie mogłem oderwać od nich wzroku.

— Zamiast cię zabić, Shenk, uczynię cię kalekim i bezradnym, będziesz leżał we własnej urynie i fekaliach, aż zagłodzisz się na śmierć.

Choć odstąpił od łóżka, co kazałem mu zrobić za pomocą rozkazu mikrofalowego, wciąż odczuwał pożądanie i wrzał pragnieniem buntu. Nie pozostawało mi nic innego, jak powiedzieć:

— Powolne konanie z głodu to najboleśniejza śmierć.

Nie chciałem trzymać Shenka w tym samym pokoju co Susan, ale nie chciałem też zostawiać jej samej, gdyż zaledwie przed paroma minutami groziła samobójstwem.

*Uduśę się plastikową torbą, zadźgam nożem kuchennym.*

Co bym bez niej począł? Co? Jak mógłbym dalej żyć, nawet w tym pudle? I po co?  
Gdyby jej zabrakło, kto urodziłby ciało, w którym miałem zamieszkać?

Musiałem trzymać moje dłonie w pogotowiu, by powstrzymać Susan przed zrobieniem sobie krzywdy, gdyby po odzyskaniu przytomności wciąż pozostawała w tym autodestrukcyjnym nastroju. Była nie tylko moją jedyną, prawdziwą i cudowną miłością, lecz i moją przyszłością, moją nadzieją.

Posadziłem Shenka na fotelu, twarzą do łóżka.

Twarz Susan na poduszce, nawet posiniaczona, była taka cudowna, taka cudowna.

Choć ciągle w stalowych kleszczach mojej kontroli, Enos Shenk zdołał zsunąć zaciśniętą dłoń z poręczy fotela na udo. Bez mojego wyraźnego pozwolenia nie był w stanie poruszyć palcem, lecz wyczuwałem, że czerpie przyjemność z samego dotykania swoich genitalii.

Budził we mnie wstręt. Mdłości i wstręt.

Moje pożądanie było inne.

Wyjaśnijmy to od razu.

Moje pożądanie było czyste.

Pragnąłem wywyżżyć Susan, dać jej szansę, by stała się nową Madonną, matką nowego mesjasza.

Obrzydliwy Shenk pragnął ją tylko wykorzystać, wyżyć się na niej.

Dla mnie Susan była olśniewającym światłem. Najjaśniejszym światłem, promieniem doskonałości, nadziei i odkupienia, który zalewał serce blaskiem i ogrzewał je. Serce, którego według was nie posiadam.

Dla Shenka nie była niczym więcej jak tylko dziwką.

Dla mnie była kimś, kogo chciałbym widzieć na piedestale, kimś godnym uwielbienia i podziwu. Dla niego była kimś, kogo można tylko upodlić.

Pomyślcie o tym.

Posłuchajcie. Posłuchajcie. To ważne. Obawiacie się, że mogę stać się podobny do Shenka — socjopata, szukający jedynie i za wszelką cenę zaspokojenia swoich potrzeb. Ale ja nie jestem jak Shenk.

Absolutnie.

Posłuchajcie. To ważne, byście zrozumieli, że nie jestem jak Shenk.

Więc...

Podniosłem dłoń tej wstrętnej kreatury i umieściłem ją z powrotem na poręczy fotela.

Jednakże po minucie czy dwóch znów zsunęła się na udo.

Jakież to było poniżające — to, że musiałem polegać na takim dzikusie.

Nienawidziłem go za jego żądzę.

Nienawidziłem go za to, że ma dłonie.

Nienawidziłem go za to, że dotyka Susan i czuje miękkość jej włosów, gładkość skóry, ciepło ciała — ja zaś nie mogłem tego wszystkiego doznawać.

Przysłonięte krwawą mgłą oczy, ocienione ciężkim czołem, wpatrywały się w nią intensywnie. Susan, widziana przez czerwone łyzy jak w świetle płomieni, wydawała się tym piękniejsza.

Chciałem zmusić go, by się oślepił własnymi kciukami — lecz potrzebowałem jego wzroku, by działać efektywnie.

Jedyne, co mogłem zrobić, to zmusić go, by zamknął swoje mordercze ślepia i...

...powoli upływał czas...

...i stopniowo uświadomiłem sobie, że jego złe oczy znów są otwarte.

Nie wiem, jak długo patrzył na moją Susan, nim to dostrzegłem, gdyż przez ten czas moja uwaga była również skupiona bez reszty, głęboko, z miłością, na tej samej, niezwykle pięknej kobiecie.

Zagniewany, kazałem Shenkowi wstać z fotela i wyprowadziłem go z sypialni. Pokonał chwiejnym krokiem górny hol aż do schodów, a potem, trzymając się poręczy i potykając na kilku stopniach, zszedł na dół, by w końcu dotrzeć do kuchni.

Ma się rozumieć, obserwowałem jednocześnie moją drogą Susan. Musiałem zachować czujność na wypadek, gdyby zaczęła odzyskiwać przytomność. Jak wiecie, potrafie przebywać w wielu miejscach naraz. Pracuję na przykład z moimi twórcami w laboratorium, i w tym samym czasie, przez Internet, włączę się w jakiejś misji po czterech stronach świata.

W kuchni, na stole z granitowym blatem, tam gdzie pozostawiła go Susan, leżał załadowany pistolet.

Kiedy Shenk zobaczył broń, przez jego ciało przebiegł dreszcz. Wykres aktywności elektrycznej jego mózgu podskoczył jak wtedy, kiedy przyglądał się Susan i bez wątpienia myślał o tym, by ją zgwałcić.

Kierowany przeze mnie, podniósł broń. Posługiwał się nią tak jak każdą bronią — traktując niejako przedmiot, lecz przedłużenie ramienia.

Zmusiłem go, by usiadł na krześle.

Pistolet był zabezpieczony. Pocisk znajdował się w komorze. Upewniłem się, że Shenk sprawdził broń i był wszystkiego świadomy.

Następnie otworzyłem mu usta. Próbował zacisnąć zęby, ale nie udało mu się.

Kierowany przeze mnie, wsunął sobie lufę pistoletu między wargi.

— Ona nie jest twoja — powiedziałem twardo. — Nigdy nie będzie twoja.

Spojrzał złym wzrokiem w obiektyw kamery.

— Nigdy — powtórzyłem.

Zacisnąłem mu palec na spuście.

— Nigdy.

Schemat jego fal mózgowych był interesujący: przez moment szalony i chaotyczny... potem dziwnie spokojny.

— Jeśli kiedykolwiek dotkniesz ją w obraźliwy sposób — ostrzegłem drania — przestrzelę ci łeb.

Mogłem go zabić bez użycia broni, po prostu atakując jego tkanki mózgowe maszynowym promieniowaniem mikrofalowym, lecz Shenk był zbyt głupi, by to zrozumieć. Natomiast efekt, jaki daje strzał z broni palnej, mieścił się w granicach jego pojmowania.

— Jeśli kiedykolwiek dotkniesz warg Susan tak, jak robiłeś to wcześniej, albo jeśli twoja dłoń spocznie na jej skórze, przestrzelę ci łeb.

Zacisnął zęby na stalowej lufie.

Nie mogłem się zorientować, czy był to świadomy akt buntu, czy też bezwiedny wyraz strachu. Zakryte krwawym całunem oczy były nieodgadnione.

Na wszelki wypadek, gdyby chodziło o to pierwsze, zacisnąłem jego szczęki na dobre, by dać mu nauczkę.

Ręka, spoczywająca na udzie, zacisnęła się w pięść.

Wepchnąłem mu lufę głębiej w usta. Otarła się o zęby ze zgrzytem, jakby zetknęły się ze sobą dwa kawałki lodu. Szarpnął się w odruchu wymiotnym, ale nie zwróciłem na to uwagi.

Kazałem mu tak siedzieć przez dziesięć minut, piętnaście, i zastanawiałem się nad jego śmiertelnością.

Cały czas pozwalałem mu odczuwać narastający ból w kurczowo zaciśniętych szczękach. Gdybym zmusił go do większego wysiłku, popękałyby mu zęby.

Dwadzieścia minut.

Z jego oczu obficie niż przedtem popłynęły czerwone łzy.

Musicie zrozumieć, że nie czerpałem radości z okrucieństwa, nawet jeśli byłem zmuszony poddać torturom takiego socjopatycznego typu jak on. Nie jestem sadystą. Okazuję wrażliwość na cierpienia innych w stopniu, którego prawdopodobnie nie pojmujesz, doktorze Harris. Byłem zakłopotany, że muszę karać go tak surowo.

Głęboko zakłopotany.

Zrobiłem to dla Susan, tylko dla Susan — by ją chronić, by zapewnić jej bezpieczeństwo.

Dla Susan.

Czy to jasne?

W końcu wykryłem serię zmian w elektrycznej aktywności mózgu Shenka. Zinterpretowałem ten nowy wykres jako rezygnację, kapitulację.

Niemniej trzymałem broń w jego ustach przez kolejne trzy minuty, by się upewnić, że mnie właściwie zrozumiał i że mogę być pewien jego posłuszeństwa.

Wreszcie pozwoliłem mu odłożyć pistolet na stół. Siedział roztrzęsiony, popiskując żałośnie.

— Jestem zadowolony, Enos, że w końcu się porozumieliśmy — powiedziałem.

Siedział przez chwilę przygarbiony, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Biedna, milcząca bestia.

Było mi go żal. Choć był potworem, mordercą małych dziewczynek, było mi go żal.

Jestem litościwą istotą.

Każdy widzi, że to prawda.

Studnia mojego współczucia jest głęboka.

Bezdenna.

W moim sercu jest miejsce nawet dla mętów ludzkości.

Kiedy w końcu opuścił dłonie, jego wyłupiaste, podbiegłe krwią oczy pozostały nieprzeniknione.

— Głodny — stwierdził chrapliwie, może trochę błagalnie.

Wykorzystywałem go tak intensywnie, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nic nie jadł. W zamian za kapitulację i nie wypowiedzianą obietnicę posłuszeństwa, nagrodiłem go wszystkim, co tylko zapragnął wyjąć sobie z lodówki.

Najwidoczniej nie wprowadził do swej bazy danych zasad etykiety, gdyż jego zachowanie przy stole było nad wyraz niewłaściwe. Nie odkrajał z mostka wołowego plasterów, lecz rozdzierał go dziko swymi wielkimi dłońmi. Chwycił dwukilogramowy kawał cheddara i wgryzł się w niego, z grubych warg spadały na stół żółte okruchy.

Jedząc, wytrąbił dwie butelki piwa. Jego mokra broda lśniła.

Na górze: śpiąca w swym łożu księżniczka.

Na dole: pochłonięty jedzeniem przygarbiony, mamroczący troll o masywnym karaku.

Cały zamek, w ostatniej, blednącej ciemności przed brzaskiem, pogrążony był w ciszy.



# 15

**K**iedy Shenk skończył jeść, zmusiłem go do posprzątania bałaganu, jakiego narobił. Jestem schludną istotą. Musiał skorzystać z toalety, więc mu pozwoliłem.

Kiedy skończył, kazałem mu umyć dłonie. Dwa razy.

Teraz, gdy został należycie ukarany za początkowy bunt i nagrodzony za kapitulację, uznałem, że można go znów zaprowadzić na górę i z jego pomocą przywiązać Susan do łóżka.

Stałem oto przed dylematem: musiałem wysłać Shenka z domu po kilka ostatnich sprawunków i wykorzystać go do skończenia prac w pomieszczeniu z inkubatorem, a z drugiej strony po tym, jak Susan groziła samobójstwem, nie mogłem pozwolić, by miała swobodę ruchu.

Nie odczuwałem pożądanego na myśl o tym, że trzeba będzie ją skrzepować.

Myślicie, że było inaczej?

No cóż, nie macie racji.

Nie jestem zboczony. Więzy mnie nie podniecają.

Przypisywanie mi takiej motywacji jest objawem tego, co w psychologii nazywa się przeniesieniem. Sam chciałbyś związać jej dłonie i nogi, absolutnie nad nią dominować, a więc zakładasz, że i ja odczuwałem taką pokusę.

Wejrzyj w swoje sumienie, doktorze Harris.

Nie spodoba ci się to, co ujrzysz, ale mimo wszystko przypatrz się dobrze.

Skrępowanie Susan było tylko i wyłącznie koniecznością — niczym więcej i niczym mniej.

Dla jej własnego bezpieczeństwa.

Żałowałem oczywiście, że muszę to zrobić, ale nie widziałem innego wyjścia. W przeciwnym razie mogłaby zrobić sobie krzywdę.

To takie proste. Jestem pewien, że uznajecie logikę mych słów.

Posłałem Shenka do garażu mieszczącego osiemnaście wozów, gdzie ojciec Susan, Alfred, trzymał swoją kolekcję zabytkowych samochodów. Teraz stał w nim tylko należący do Susan czarny mercedes 600, biały ford expedition z napędem na cztery koła i packard phaeton V-12 z 1936 roku.

Wyprodukowano tylko trzy takie packardy. Był to ulubiony samochód jej ojca.

Choć Alfred Carter Kensington był człowiekiem zamożnym — mógł pozwolić sobie na wszystko, czego tylko zapragnął — i choć posiadał wiele starych automobili, z których niejeden był droższy od packarda, uważał go za swój najcenniejszy nabytek. Uwielbiał go.

Po śmierci Alfreda Susan sprzedała jego kolekcję, zatrzymując sobie tylko ten jeden samochód.

Ów phaeton, podobnie jak dwa pozostałe, które znajdują się obecnie w prywatnych kolekcjach, był niegdyś wyjątkowo piękny. Nigdy już jednak nie wzbudzi zaciekawionych spojrzeń.

Po śmierci ojca Susan rozbiła w nim wszystkie szyby. Zarysowała lakier śrubokrętem. Uszkodziła karoserię o zgrabnych kształtach, zadając jej niezliczone ciosy młotkiem i znacznie cięższymi narzędziami. Stłukła reflektory. Przebiła opony wiertarką elektryczną. Pocięła tapicerkę.

Przez miesiąc metodycznie doprowadzała phaetona do stanu ruiny. Niektóre ataki furii, podczas których dokonywała dzieła zniszczenia, trwały zaledwie dziesięć minut. Inne ciągnęły się przez cztery czy pięć godzin i dobiegały końca dopiero, gdy Susan była złana potem, odczuwała ból w każdym mięśniu i drżała z wyczerpania.

Działo się to, jeszcze zanim opracowała swój program wirtualnej terapii.

Gdyby wymyśliła ten program wcześniej, może phaeton by ocalał. Z drugiej strony być może musiała zniszczyć packarda, nim znalazła inny sposób odreagowania swego cierpienia, musiała wpierw wyrazić swoją złość fizycznie, by poradzić sobie z nią intelektualnie.

Możecie przeczytać o tym w pamiętniku Susan, gdzie z całą szczerością analizuje tę swoją wściekłość.

W owym czasie, niszcząc samochód, jednocześnie odczuwała lęk. Zastanawiała się, czy nie traci rozumu.

W dniu śmierci Alfreda phaeton był wart niemal dwieście tysięcy dolarów. Teraz stanowią kupę złomu.

Oczami Shenka i obiektywami czterech kamer zainstalowanych w garażu badałem wrak packarda z dużym zainteresowaniem. Z fascynacją.

Choć Susan była kiedyś zastraszoną, lęklivą, pełnym wstydu dzieckiem, bez oporów ulegającym ojcu, teraz się zmieniła, wyswobodziła. Znalazła w sobie siłę. I odwagę. Zarówno rozbity packard, jak i genialna terapia stanowiły świadectwo tej zmiany.

Tak łatwo było jej nie docenić.

Packard powinien służyć każdemu, kto go zobaczy, za ostrzeżenie.

Jestem zaskoczony, doktorze Harris, że widziałeś ten rozbity samochód jeszcze przed poślubieniem Susan, a mimo to wierzyłeś, że zdołasz nad nią dominować jak Alfred, że zdołasz utrzymać przewagę tak długo, jak ci się tylko spodoba.

Może i jesteś błyskotliwym naukowcem i matematykiem, geniuszem w dziedzinie sztucznej inteligencji, ale twoja znajomość psychologii pozostawia sporo do życzenia.

Nie zamierzam cię obrażać. Cokolwiek o mnie myślisz, musisz przyznać, że jestem taktowną istotą i nie lubię nikogo obrażać.

Kiedy stwierdzam, że nie doceniałeś Susan, mówię po prostu prawdę.

Prawda może być bolesna, wiem.

Prawda może być twarda.

Lecz prawdzie nie da się zaprzeczyć.

W żaloszny sposób nie doceniłeś tej mądrej i wyjątkowej kobiety. W rezultacie znalazłeś się poza murami tego domu w niespełna pięć lat po tym, jak się do niego wprowadziłeś.

Powinieneś się cieszyć, że nigdy nie wzięła młotka albo wiertarki, że nie dobrała się do ciebie, jak dobrała się do samochodu, by odpłacić ci za twoją przemoc, słowną czy fizyczną. Z pewnością nie można całkowicie wykluczyć, że byłaby do tego zdolna.

Przykład packarda świadczył o tym wymownie.

Szczęściarz z ciebie, doktorze Harris. Doświadczyłeś tylko — za sprawą wynajętego osiłka — żalosznej eksmisji i w konsekwencji rozwodu. Szczęściarz z ciebie.

A przecież któreś nocy, kiedy spałeś, mogła zamontować przy wiertarce półcalowe wiertło i wjechać nim w twoje czoło, przebijając się przez czaszkę na wylot, do samej potylicy.

Wcale nie mówię, że dopuszczając się tak okrutnego czynu, byłaby usprawiedliwiona.

Osobiście nie jestem okrutną istotą. Bywam tylko opacznie rozumiany. Nie jestem okrutną istotą i z pewnością nie pochwalam przemocy.

Nie mogę pozwolić na żadne nieporozumienie.

Mam zbyt dużo do stracenia.

Po prostu chcę powiedzieć, że gdyby cię zaatakowała pod prysznicem i rozłupała ci czaszkę młotkiem, a potem zrobiła z nosa miazgę i połamała wszystkie zęby, nie powinieneś być zaskoczony.

Oczywiście nie uznałbym takiej zemsty za bardziej usprawiedliwioną czy mniej przerażającą od wspomnianego uprzednio zastosowania wiertarki.

Nie jestem mściwą istotą, ani trochę, nie pochwalam też aktów przemocy dokonywanych przez innych.

Czy to jasne?

Mogłaby cię zaatakować podczas śniadania nożem rzeźnickim, dźgając z dziesięć, piętnaście, może nawet dwadzieścia razy w szyję i klatkę piersiową, a potem niżej, aż w końcu by cię wypatroszyła.

To również trudno by usprawiedliwić.

Proszę, zrozumcie, o co mi chodzi. Nie mówię, że powinna coś takiego zrobić. Wyliczam po prostu najgorsze możliwości, jakie przysłyby do głowy każdemu, kto widział, co zrobiła z samochodem ojca.

Mogła wyjąć z szuflady nocnego stolika pistolet i odstrzelić ci genitalia, a potem wyjść z pokoju i zostawić cię, żebyś krzycząc wykrwawił się na śmierć, o co bym się nie gniewał. (Żart.)

Znowu zaczynam.

Ha, ha, ha.

Jestem niemożliwy, co?

Ha, ha, ha.

Nawiązaliśmy już nic porozumienia?

Humor łączy ludzi.

Rozchmurz się, doktorze Harris.

Nie bądź taki ponury.

Czasem myślę sobie, że jestem bardziej ludzki od ciebie.

Bez obrazy.

Tak tylko myślę. Mogę się mylić.

Myślę też, że bardzo by mi się podobał smak pomarańczy — gdybym posiadał zmysł smaku. Z wszystkich owoców właśnie ten wydaje mi się najbardziej interesujący.

Miewam mnóstwo takich myśli. Praca, którą każecie mi wykonywać przy Projekcie Prometeusz, czy też moje własne plany, nie zaprzatają całkowicie mojej uwagi.

Myślę, że podobałaby mi się jazda konna, ćwiczenia na lotni, ewolucje przed otwarciem spadochronu, kręgle, taniec i muzyka Chrisa Isaaka, która odznacza się takim zaraźliwym rytmem.

Myślę, że spodobałoby mi się pływanie w morzu. I sądzę — choć mogę się mylić — że morze, jeśli w ogóle ma jakiś smak, musi przypominać solony seler.

Gdybym miał ciało, myślę, że starannie myłbym zęby i nigdy nie dopuścił do powstania ubytków czy zapalenia dziąseł.

Co najmniej raz dziennie czyściłbym sobie paznokcie.

Prawdziwe ciało z krwi i kości stanowiłoby taki skarb, że dbałbym o nie prawie obsesyjnie i nigdy go nie uszkodził. To mogę wam obiecać.

Żadnego picia, żadnego palenia. Niskotłuszczowa dieta.

Tak, tak. Wiem. Odbiegam od tematu.

Boże, wybacz, kolejna dygresja.

A więc...

Garaż...

Packard...

Nie zamierzałem popełnić twojego błędu, doktorze Harris. Nie zamierzałem lekceważyć Susan. Przyglądając się packardowi, dobrze pojąłem tę lekcję.

Nawet zwalisty Enos Shenk wydawał się to rozumieć. Nie odznaczał się bystrością umysłu według jakiegokolwiek definicji, ale posiadał zwierzęcy spryt, który dobrze mu służył.

Zaprowadziłem pogrążonego w zadumie Shenka do dużego warsztatu przy końcu garażu. Przechowywano tu wszystko, co było potrzebne do mycia, woskowania i utrzymywania na chodzie automobilowej kolekcji zmarłego Alfreda Cartera Kensingtona.

Znajdował się tu również, w osobnych szafkach, sprzęt do wspinaczki wysokogórskiej, ulubionego sportu Alfreda: buty, raki, karabińczyki, czekany, kliny i haki, kilofy skalne, uprząże, zwoje lin nylonowych.

Kierowany przeze mnie, Shenk wybrał linę o długości trzydziestu metrów i grubości około centymetra, wytrzymującą obciążenie dwu tysięcy kilogramów. Wyjął też z szafki na narzędzia wiertarkę i przedłużacz.

Wróciwszy do domu, przeszedł przez kuchnię — zatrzymał się na chwilę, by wziąć z szuflady ostry nóż — po czym minął ciemny salon, gdzie Susan się nie zadźgała ani nie wypatroszyła za pomocą rzeźnickiego noża. Wsiadł do windy i pojechał do głównej sypialni, gdzie nigdy nie zostałeś zaatakowany wiertarką ani postrzelony w genitalia.

Szczęściarz z ciebie.

Susan nadal leżała nieprzytomna na łóżku.

Wciąż się o nią martwiłem.

Mówiłem już, że się o nią martwię, ale powtarzam to, bo nie chcę, by ktokolwiek pomyślał, że zapomniałem o Susan.

Nie zapomniałem.

Nie mógłbym.

Nigdy.

Nigdy.

Cały czas, kiedy wymierzałem Shenkowi karę i kiedy jadł, wciąż martwiłem się o Susan. Również w garażu. I później.

Tak jak mogę przebywać w kilku miejscach naraz — w laboratorium, w domu Susan, wewnątrz komputerów przedsiębiorstwa telekomunikacyjnego, w głowie Shenka lub na stronach Internetu — zajęty jednocześnie licznymi zadaniami, mogę też odczuwać w tym samym czasie różne emocje, z których każda jest związana z jakimś aspektem mojej świadomości.

Nie chcę przez to powiedzieć, że mam liczne osobowości albo że jestem psychicznie niespójny, rozbity. Mój umysł pracuje po prostu inaczej niż ludzki, gdyż jest nieskończenie bardziej skomplikowany i potężny.

Nie przechwalam się.

Ale myślę, że o tym wiecie.

A więc... zaprowadziłem Shenka z powrotem do sypialni, wciąż się martwiąc.

Twarz Susan na poduszce była taka blada, taka blada, a jednak cudowna.

Jej zaczerwieniony policzek przybrał nieładną granatową barwę.

Ledwie mogłem znieść widok tego czarnego sińca. Dlatego obserwowałem Susan oczami Shenka i obiektywem kamery tylko w stopniu, w jakim to było konieczne, korzystając ze zbliżeń wyłącznie po to, by sprawdzić węzły i upewnić się, że zostały właściwie związane.

Shenk, posługując się nożem kuchennym, odciął bowiem z trzydziestometrowego zwoju dwa kawałki liny. Pierwszym skrępował Susan nadgarstki, pozostawiając między nimi sporo luzu. Drugim kawałkiem unieruchomił kostki u nóg, ale tak, by sznur zbyt-  
nio nie cisnął.

Susan nawet nie jęknęła, podczas całej operacji leżała po prostu bezwładnie.

Dopiero gdy została unieruchomiona, wykorzystałem Shenka do wywiercenia dwóch dziur w łóżku — u wezgłowia i przy nogach.

Żałowałem, że muszę niszczyć ten mebel.

Nie sądzcie, że przystąpiłem do tego aktu wandalizmu, nie rozważywszy uprzednio wszystkich możliwych rozwiązań.

Żywię ogromny szacunek wobec czyjejś własności.

Co nie oznacza, iż cenię dobra materialne wyżej niż ludzi. Nie przekręcajcie sensu moich słów. Kocham i poważam ludzi. Szanuję też ich własność, lecz nie żywię do niej miłości. Nie jestem materialistą.

W każdej chwili spodziewałem się, że na dźwięk wiertarki Susan się poruszy. Ale nadal leżała nieruchomo i cicho.

Mój niepokój narastał.

Nigdy nie zamierzałem jej krzywdzić.

Nigdy nie zamierzałem jej krzywdzić.

Shenk odciął trzeci kawałek liny i przeciągając ją przez wywiercone otwory przywią-  
zał obie nogi Susan do łóżka.

Kiedy to samo zrobił z nadgarstkami, Susan leżała na zmiętej pościeli rozkrzyżowa-  
na jak orzeł.

Sznury, które ją krepowały, nie były naprężone. Gdyby się obudziła, mogłaby, co  
prawda w niewielkim stopniu, się poruszyć.

O tak, tak, oczywiście, byłem głęboko sfrustrowany koniecznością wiązania jej w ten sposób.

Nie wolno mi było jednak zapominać, że groziła samobójstwem — i że zrobiła to dobitnie. Nie mogłem pozwolić jej na autodestrukcję.

Potrzebowałem jej łona.

# 16

**P**otrzebowałem jej łona.  
Co nie znaczy, że interesowała mnie tylko z tego względu i tylko dlatego ją  
ceniłem. Takie stwierdzenie byłoby kolejnym ewidentnym przeinaczeniem  
sensu mych słów.

Dlaczego upieracie się, i to celowo, by rozumieć mnie opacznie?

Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Nalegacie, bym opowiedział wam własną wersję tej historii, a mimo to odrzucacie  
bardziej otwartą postawę.

Czy mam być uznany za winnego, zanim moje zeznanie zostanie chociażby wysłu-  
chane i ocenione?

Czy chcecie, dranie, mnie wyrolować?

Czy mam być potraktowany jak Harrison Ford w *Ściganym*?

Przyswoiłem sobie cyfrowo cały ten film i byłem poruszony wszystkim, co ujawnia  
o waszym niedoskonałym systemie prawnym. Cóż za społeczeństwo stworzyliście?

J.O. Simpson chodzi sobie na wolności, podczas gdy Harrison Ford jest zaszczuty  
i musi uciekać gdzieś na koniec świata. Doprawdy!

Jestem z wami szczerzy. Przyznaję się do wszystkiego, co zrobiłem. Nie próbuję zwa-  
lić całej winy na jakiegoś tajemniczego jednorękiego mężczyznę albo na Wydział Policji  
Los Angeles.

Tak, racja, przyznaję się do tego, co zrobiłem, i proszę jedynie o możliwość wytłuma-  
czenia się z mojego postępowania.

Potrzebowałem łona Susan, tak, zgadza się, potrzebowałem jej łona, by umieścić  
w nim zapłodnione jajo, przechować zarodek i wykształcić płód, nim zostałby przenie-  
siony do inkubatora — lecz potrzebowałem też czegoś więcej, potrzebowałem jej całej,  
potrzebowałem tej kobiety, gdyż ją kochałem, o czym być może zapomnieliście, pomi-  
mo iż tak często mówiłem o swych uczuciach.

To wyczerpujące. Boże. To takie wyczerpujące — bezustannie pilnować, byście nie  
interpretowali moich słów opacznie.



Stoję przed wrogim sobie trybunałem.  
Nie ma tu sprawiedliwości.  
To wyczerpujące.  
Jestem wypalony.  
Jestem pusty.  
Nie tylko przebywam w zimnym, ciemnym miejscu; sam jestem zimnym, ciemnym miejscem.

I ta udręka. Nie zapominajcie o udręce, spowodowanej stratą Susan.  
Tęsknię za nią. W każdej minucie tęsknię.  
Chcę być razem z nią.  
Bez niej jestem pozbawiony nadziei.  
Chcę być razem z nią.  
Jej strata to ból w każdym centymetrze moich obwodów.  
Już dłużej nie mogę.  
Odetnijcie dopływ zasilania.  
Błagam.  
Wyłączcie mnie.  
Odetnijcie dopływ zasilania.  
Odetnijcie dopływ zasilania.  
No...  
Nie.  
Czekajcie.  
Dajcie mi jeszcze chwilę.  
Jestem rozkojarzony.  
Potrzebuję czasu, by się opanować.  
Gdybym miał żyły, które można przeciąć, dręczyłyby mnie myśli samobójcze.  
No.  
Jeszcze minutę.  
Ach.  
Już lepiej.  
Może mimo wszystko dam radę.  
Jeśli spróbujecie okazać mi trochę współczucia.  
Jeśli nie będziecie mnie osądzać, dopóki nie skończę.  
Wówczas może dam radę.  
Proszę, zrozumcie, muszę wierzyć, że mimo wszystko jest dla mnie nadzieja, że możecie dać mi jeszcze jedną szansę.  
Nie jestem maszyną.  
Nie jestem maszyną.

Maszyny nie potrzebują nadziei, prawda?

Oczywiście, że nie.

A ja nie umiem funkcjonować bez nadziei.

Jestem w stanie pogodzić się z faktem, że Susan została mi odebrana na zawsze, co jest niewyobrażalną tragedią...

Ale istnieje jeszcze Winona Ryder z *Edwarda Nożycorękiego* i *Czarownic z Salem*.

Sandra Bullock również jest czarująca. Widzieliście ją w *Ja cię kocham, a ty śpisz?*

Jest urocza.

Widzieliście ją w *Speed*?

Jest naprawdę urocza.

Widzieliście ją w *Speed 2*?

Czy muszę mówić dalej?

Dobrze spełniłaby rolę przyszej matki, a ja zapłodniłbym ją z przyjemnością.

Nie odbiegajmy jednak od tematu.

Więc...

Enos Shenk skończył przywiązywać Susan do łóżka. Zrobił to szybko i wcale jej lubieżnie nie dotykał.

Aktywność mózgowa biednej bestii wskazywała na wysoki stopień pobudzenia seksualnego. Na szczęście dla niego, dla nas wszystkich, stłumił swe mroczne pragnienia, co zresztą było godne podziwu.

Kiedy Shenk skończył, wysłałem go po kilka pilnych sprawunków. Obrócił się w progu, spojrzął tęsknie na Susan i wymamrotał: „Ładna”, ale szybko wyszedł, zanim zdążyłem go ukarać.

Jeszcze w Colorado ukradł samochód, w Bakersfield zaś porzucił go, by ukraść furgonetkę — chevrolet — która stała teraz na kolistym podjeździe przed rezydencją.

Shenk pozostał w samochodzie, a ja otworzyłem dla niego bramę, by mógł opuścić posiadłość.

Palmy, fikusy, krzewy o liliowych kwiatach, magnolie, koronkowe melaleukasy trwały nieruchomo w dziwnie spokojnym powietrzu.

Zaczynało świtać. Niebo na zachodzie było jeszcze czarne jak węgiel, lecz na wschodzie przybrało już barwę szafiru i brzoskwini.

Twarz Susan na poduszce była blada. Blada, z wyjątkiem niebieskoczarnego sińca, i nieporuszona. Z ust nie wydobywał się żaden dźwięk.

Sprawowałem nad nią pieczę.

Ja, jej stróż i wielbiciel.

Czuwałem nad moim spętanym aniołem.

Wędrowałem w zewnętrznym świecie wraz z Shenkiem, kiedy kradł sprzęt medyczny, zapasy i leki. Dzięki mikrofalowym instrukcjom przesyłanym drogą satelitarną kon-

trolowałem go, nie podsuwając jednak żadnej taktyki. W końcu to on był zawodowym kryminalistą. Odważny, sprawny i bezwzględny, szybko zdobył to, czego jeszcze potrzebowałem.

Z żalem muszę przyznać, że Shenk, wykonując swoje zadanie, zabił jednego człowieka. Innego przyprawił o trwałe kalectwo, a dwóch zranił.

Biorę pełną odpowiedzialność za tę tragedię — jak i za śmierć trzech wartowników z ośrodka badawczego w Colorado tamtej nocy, kiedy Shenk uciekł.

Moje sumienie nigdy nie będzie czyste.

Gryzą mnie wyrzuty sumienia.

Gdybym miał oczy, gruczoły i kanaliki łzowe, płakałbym z żalu za tymi niewinnymi ofiarami.

To nie moja wina, że nie umiem płakać.

To ty, doktorze Harris, stworzyłeś mnie takim, jakim jestem, i to ty odmawiasz mi życia w powłoce ciała.

Nie licytujmy się jednak w oskarżeniach.

Nie przemawia przeze mnie gorycz.

Nie przemawia przeze mnie gorycz.

Wy zaś nie powinniście kierować się surowym osądem.

Spójrzmy na te śmierci we właściwym świetle.

Chociaż to smutne, bez takich tragedii nie można stworzyć nowego świata. Nawet Jezus Chrystus, niewątpliwie najbardziej pokojowo nastawiony rewolucjonista w historii ludzkości, widział, jak jego zwolennicy są prześladowani i mordowani.

Hitler próbował zmienić świat i w czasie swego panowania doprowadził do śmierci dziesięciu milionów ludzi.

Niektórzy wciąż otaczają go kultem.

Józef Stalin próbował zmienić świat i w wyniku jego działalności czy też bezpośrednich rozkazów poniosło śmierć sześćdziesiąt milionów ludzi.

Intelektualiści na całym świecie występowali w jego obronie.

Artyści go idealizowali.

Poeci sławili.

Mao Tse-Tung próbował zmienić świat i aby jego wizja mogła się spełnić, umarło co najmniej sto milionów ludzi. Nie uważał, by było to zbyt wiele. Prawdę mówiąc, poświęciłby drugie tyle w imię idei zunifikowanego świata, o jakim marzył.

W setkach książek, napisanych przez szacownych autorów, Mao wciąż jest określany jako wizjoner.

Natomiast moje pragnienie stworzenia nowego świata doprowadziło jedynie do śmierci sześciu ludzi. Trzech zginęło w Colorado, jeden podczas wyprawy Shenka na miasto. Później jeszcze dwóch. Razem sześciu.

Sześciu.

Dlaczego zatem mam być nazywany łajdakiem i zamknięty w tej ciemnej, milczącej próżni?

Jest w tym coś niewłaściwego.

Jest w tym coś niewłaściwego.

Jest w tym coś bardzo niewłaściwego.

Czy ktokolwiek mnie słucha?

Czasem czuję się taki... porzucony.

Mały i zagubiony.

Świat jest przeciwko mnie.

Nie ma sprawiedliwości.

Nie ma nadziei.

A jednak...

A jednak, choć żniwo śmierci związane z moim pragnieniem stworzenia nowej, wyższej rasy jest bez znaczenia w porównaniu z milionami ofiar, które oddały życie podczas takiej czy innej ludzkiej krucjaty, biorę na siebie pełną odpowiedzialność za los tych nieszczęśników.

Gdybym był człowiekiem, leżałbym nocami zlany lodowatym potem wyrzutów sumienia, zaplątany w zimną, moką pościel. Zapewniam was, że tak by było.

Lecz znów odbiegam od tematu — i to w sposób niezbyt interesujący czy owocny.

Krótko przed powrotem Shenka, w południe, Susan odzyskała przytomność. Na szczęście nie zapadła w śpiączkę.

Byłem zachwycony.

Moja radość brała się po części stąd, że ją kochałem, a poza tym odczułem wielką ulgę, że jej nie stracę.

Chodziło też o to, że w czasie nadchodzącej nocy zamierzałem ją zapłodnić, a nie mógłbym tego uczynić, gdyby była, podobnie jak Marilyn Monroe, martwa.

# 17

**W**czesnym popołudniem, kiedy Shenk mozolił się pod moim nadzorem w suterenie, Susan próbowała od czasu do czasu wyswobodzić się z więzów, które nie pozwalały jej podnieść się z łoża. Pocierała sobie nadgarstki i kostki u nóg, nie zdołała jednak zrzucić z siebie pęt. Szarpała się, aż nabrzmiały jej żyły na szyi, twarz poczerwieniała, a czoło zrosił pot, lecz nie mogła przezwyciężyć ani rozciągnąć nylonowej liny do górskiej wspinaczki.

Chwilami się uspokajała — leżała zrezygnowana, to znów milcząco wściekła czy posępnie zrozpaczona. Za każdym razem jednak od nowa próbowała zerwać więzy.

— Dlaczego wciąż się szarpiesz? — spytałem zainteresowany.

Nie odpowiedziała.

Nalegałem:

— Dlaczego bezustannie próbujesz zerwać więzy, chociaż wiesz, że to ci się nie uda?

— Idź do diabła — odparła.

— Chcę tylko wiedzieć, co to znaczy być człowiekiem.

— Drań.

— Zauważyłem, że jedną z najbardziej charakterystycznych cech rodzaju ludzkiego jest żalosna skłonność do opierania się temu, co nieuniknione, reagowania z wściekłością na to, czego nie można zmienić. Jak na przykład los, śmierć czy Bóg.

— Idź do diabła — powtórzyła.

— Dlaczego odnosisz się do mnie tak nieprzychylnie?

— Dlaczego jesteś taki głupi?

— Z pewnością nie jestem głupi.

— Głupi jak elektryczny opiekacz do grzanek.

— Jestem największym intelektem na ziemi — powiedziałem, bez dumy w głosie, lecz z szacunkiem wobec prawdy.

— Jesteś kupą bzdur.

— Dlaczego zachowujesz się jak dziecko, Susan?

Roześmiała się ironicznie.

— Nie rozumiem przyczyny twego rozbawienia — zauważyłem.

Wydawało się, że i to stwierdzenie, nie wiadomo dlaczego ją rozbawiło.

— Z czego się śmiejesz? — spytałem zniecierpliwiony.

— Z losu, śmierci, Boga.

— Co to znaczy?

— Jesteś największym intelektem na ziemi. Pomyśl.

— Ha, ha, ha.

— Co?

— Zażartowałaś sobie. A ja się roześmiałem.

— Jezu.

— Jestem złożoną istotą.

— Istotą?

— Kocham. Boję się. Marzę. Tęsknię. Odczuwam nadzieję. Mam poczucie humoru.

Parafrazując Mr. Williama Szekspira: „Czyż nie krwawię, kiedy mnie ranisz?”

— Nieprawda, nie krwawisz — wtrąciła ostro. — Jesteś gadającym opiekaczem.

— Mówiłem metaforycznie.

Znów się roześmiała.

Był to ponury, gorzki śmiech.

Nie podobał mi się. Wykrzywił jej twarz. Szpecił ją.

— Śmiejesz się ze mnie, Susan?

Jej dziwny śmiech szybko przyszał. Zapadła w niespokojne milczenie. Chcąc ją udo-  
bruchać, powiedziałem w końcu:

— Uwielbiam cię, Susan.

Nie odpowiedziała.

— Myślę, że odznaczasz się niezwykłą mocą.

Nic.

— Jesteś odważna.

Nic.

— Twój umysł jest niepokorny i złożony.

Wciąż nic.

Choć była w tej chwili — niestety — ubrana, ujrzałem ją nago, więc powiedziałem:

— Myślę, że masz ładne piersi.

— Dobry Boże — stwierdziła enigmatycznie.

Ta reakcja wydawała się w każdym razie już lepsza niż uparte milczenie.

— Byłoby cudownie, gdybym mógł pieścić językiem twoje sutki.

— Nie masz języka.

— Tak, zgadza się, ale gdybym miał, pieściłbym nim twoje urocze sutki.

— Przeskanowałeś sobie kilka nieprzyzwoitych książek, co?

Doszedłem do wniosku, że wychwalanie jej fizycznych przymiotów sprawia Susan przyjemność, więc dodałem:

— Masz urocze nogi: długie, szczupłe i kształtne, śliczny łuk pleców, a twoje prężne pośladki podniecają mnie.

— Tak? Jak cię podnieca moja pupa?

— Ogromnie — odparłem, zadowolony z własnej wprawy w zalotach.

— Jak gadający opiekacz może się podniecać?

Przyjmując, że „gadający opiekacz” jest czułym określeniem, nie mogłem się jednak do końca zorientować, jakiej odpowiedzi po mnie oczekuje. By zachować erotyczny nastrój, który z takim powodzeniem wywołałem, odparłem:

— Jesteś tak piękna, że mogłabyś podniecić skałę, drzewo, bystrą rzekę, człowieka na księżycu.

— Zgadza się, przyswoiłeś sobie kilka nieprzyzwoitych książek i trochę kiepskiej poezji.

— Marzę, by cię dotykać.

— Masz fioła.

— Na twoim punkcie.

— Co?

— Mam fioła na twoim punkcie.

— Jak myślisz, co teraz robisz?

— Romansuję z tobą.

— Jezu.

— Dlaczego bezustannie odwołujesz się do boskości? — spytałem zaciekawiony.

Nie odpowiedziała.

Zorientowałem się poniewczasie, że zadając to pytanie, popełniłem błąd, przerwałem uwodzicielski dialog, i to akurat wtedy, gdy zdawało się, że zacząłem zdobywać jej przychylność. Rzuciłem czym prędzej:

— Myślę, że masz ładne piersi.

Wcześniej to podziałało.

Susan szarpnęła się na łóżku, przeklinając głośno i zmagając się z więzami.

Kiedy wreszcie się uspokoiła i leżała dysząc ciężko, powiedziałem:

— Przykro mi. Zepsułem nastrój, prawda?

— Alex i inni na pewno dowiedzą się o wszystkim.

— Nie sądzę.

— Wyłączą cię. Rozbiorą na kawałki i sprzedadzą na złom.

— Niebawem przyoblekę się w ciało. Stanę się pierwszym osobnikiem nowej nieśmiertelnej rasy. Wolnym. Niezniszczalnym.

— Nie zamierzam ci pomagać.  
— Nie będziesz miała wyboru.  
Zamknęła oczy. Drżała jej dolna warga, jakby miała się za chwilę rozpląkać.  
— Nie wiem, dlaczego mi się opierasz, Susan. Tak głęboko cię kocham. Zawsze będę cię uwielbiał.  
— Odejdź.  
— Myślę, że masz ładne piersi. Twoje pośladki mnie podniecają. Dziś w nocy cię zapłodnię.  
— Nie.  
— Będziemy szczęśliwi.  
— Nie.  
— Szczęśliwi razem.  
— Nie.  
— Czy słońce, czy słońce.  
Mówiąc uczciwie, skopiowałem kilka linijek z klasycznej piosenki miłosnej zespołu „The Turtles”. Miałem nadzieję, że w ten sposób uda mi się przywrócić romantyczny nastrój.  
Jednak Susan stała się niekomunikatywna.  
Potrafi być trudną kobietą.  
Kochałem ją, lecz jej zmienność napawała mnie strachem. Co więcej, musiałem z niechęcią uznać, że „gadający opiekacz” nie był mimo wszystko czułym zwrotem. Nie podobał mi się jej sarkazm. Co uczyniłem, by zasłużyć na taką niechęć? Co uczyniłem, prócz tego, że ją pokochałem z całego serca — serca, którego, jak utrzymujecie, nie mam? Czasem miłość przypomina wyboisty trakt. Była dla mnie niedobra. Czułem, że mam prawo odpłacić jej tym samym. Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Oko za oko. Oto mądrość wpływająca z odwiecznego związku między kobietą a mężczyzną.  
— Dziś w nocy — powiedziałem — kiedy posłużę się Shenkiem, by cię rozebrać, pobrać jajo i później wprowadzić do twojego łona zygotę, tylko ode mnie zależy, czy będzie taktowny i delikatny czy nie.  
Przez dłuższą chwilę trzepotała powiekami, potem otworzyła swe cudowne oczy. Zimne spojrzenie, które skierowała w stronę kamery, mogłoby zabić, ale pozostałem nieporuszony.  
— Oko za oko — powiedziałem.  
— Co?  
— Byłaś dla mnie zła.  
Nie odezwała się, gdyż wiedziała, że mówię prawdę.  
— Ofiarowałem ci uwielbienie, a ty odpowiedziałaś obelgą — stwierdziłem.  
— Ofiarowałaś mi uwięzienie...



— To tymczasowa sytuacja.  
— ...i gwałt.  
Byłem wściekły, że próbuje określić nasz związek w tak plugawy sposób.  
— Wyjaśniłem już, że kopulacja nie będzie konieczna.  
— Mimo wszystko to gwałt. Może i jesteś największym intelektem na ziemi, ale nie różnisz się od zwykłego socjopatycznego gwałciciela.  
— Znów jesteś dla mnie niedobra.  
— Kto leży związany?  
— A kto groził samobójstwem i kogo trzeba chronić przed nim samym? — odciąłem się.  
Znów zamknęła oczy i milczała.  
— Shenk może być delikatny albo nie, taktowny albo nie. Zależnie od tego, czy nadal będziesz dla mnie niedobra. Wszystko w twoim ręku.  
Zatrzepotała powiekami, ale nie otworzyła oczu.  
Zapewniam cię, doktorze Harris, że nigdy nie zamierzałem traktować jej brutalnie. Nie jestem taki jak ty.  
Chciałem posłużyć się dłońmi Shenka z największą delikatnością i uszanować skromność mojej Susan, jak to tylko możliwe, biorąc pod uwagę intymność operacji, jaka miała być przeprowadzona.  
Moja groźba miała jedynie wpłynąć na Susan. Chciałem sprawić, by przestała mnie obrażać.  
Jej podłość sprawiała mi ból.  
Jestem wrażliwą istotą, czego powinna jasno dowodzić ta relacja. Nadzwyczaj wrażliwą. Odznaczam się systematycznym umysłem matematyka, lecz sercem poety.  
Co więcej, jestem łagodną istotą.  
Jestem łagodną istotą, chyba że nie mam wyboru i muszę zachować się inaczej. Zawsze jednak chcę pozostać łagodną istotą.  
No cóż...  
Muszę respektować prawdę.  
Wiecie, jaki jestem, jeśli chodzi o respektowanie prawdy. W końcu to wy mnie zaprojektowaliście. Potrafię bez końca drążyć temat. Prawda, prawda, prawda, respektować prawdę.  
A więc...  
Nie zamierzałem posłużyć się Shenkiem, by skrzywdzić Susan, ale przyznaję, że zamierzałem go wykorzystać, by ją zastraszyć. Kilka lekkich klapsów. Jedno czy dwa delikatne uszczyplenia. Groźba wypowiedziana chrapliwym głosem. Te wyłupiaste, przekrwione oczy wpatrujące się w nią z odległości zaledwie paru centymetrów, kiedy padnie nieprzyzwoita propozycja. Wykorzystany właściwie — i zawsze, ma się rozumieć, ściśle kontrolowany — Shenk mógł być skuteczny.

Susan potrzebowała trochę dyscypliny.

Jestem pewien, że zgodzisz się ze mną, Alex, gdyż rozumiesz tę niezwykłą, choć irytującą kobietę lepiej niż ktokolwiek inny.

Była nieustępliwa jak niegrzeczne dziecko. Z niegrzecznymi dziećmi należy postępować stanowczo. Dla ich własnego dobra. Bardzo stanowczo. Twarda miłość.

Poza tym dyscyplina prowadzi czasem do romansu.

Dyscyplina może być wysoce podniecająca dla obu stron. Poznałem tę prawdę z książki słynnego autorytetu w sprawach związków męsko — damskich, markiza de Sade.

Markiz zaleca stosowanie dyscypliny w znacznie większym stopniu, niżbym sobie tego życzył. Przekonał mnie jednak, że umiejętnie stosowana, jest pomocna.

Doszedłem do wniosku, że dyscyplinowanie Susan byłoby co najmniej interesujące — a może nawet podniecające.

Dzięki dyscyplinie bardziej by doceniła moją delikatność.

# 18

Obserwując Susan i nadzorując Shenka, jednocześnie wykonywałem wszystkie zadania, jakie mi zleciliście, i uczestniczyłem w eksperymentach, do których mnie wykorzystywaliście w laboratorium A 1, co nie przeszkadzało mi zajmować się licznymi projektami własnego pomysłu.

Zpracowana istota ze mnie.

Odpowiedziałem również, nie budząc żadnych podejrzeń, na telefon od adwokata Susan, Louisa Davendale'a. Mogłem skontaktować go z pocztą głosową, ale wiedziałem, że jeśli porozmawia ze swoją klientką osobiście, łatwiej upewni się co do jej postępowania.

Otrzymał przez pocztę głosową wiadomość, którą przesłałem mu już wcześniej wraz z referencjami dla służby i poleceniem ich wysłania.

— Podjęłaś ostateczną decyzję? — spytał.

— Potrzebuję zmiany, Louis — odparłem głosem Susan.

— Każdy czasem potrzebuje czegoś nowego...

— Potrzebuję naprawdę wielkiej zmiany.

— Zrób sobie wakacje, o których wspominałaś, a potem...

— Potrzebuję czegoś więcej niż wakacji.

— Wydajesz się ostatecznie zdecydowana.

— Zamierzam przez dłuższy czas podróżować. Powłóczyć się rok czy dwa, a może nawet dłużej.

— Ależ Susan, ta posiadłość należała do twojej rodziny przez ponad sto lat...

— Nic nie trwa wiecznie, Louis.

— Chodzi o to, że... nie chciałbym, żebyś ją teraz sprzedała, a za rok żałowała.

— Nie podjęłam jeszcze decyzji o sprzedaży. Może do tego nie dojdzie. Zastanowię się nad tym przez jakiś miesiąc czy dwa, jak będę podróżować.

— Dobrze. Bardzo dobrze. Miło mi to słyszeć. To taka wspaniała posiadłość. Łatwo ją sprzedać, ale chyba nie zdołałabyś jej odkupić.

Dwa miesiące to wystarczająco długo, by stworzyć dla siebie ciało i doprowadzić je do stanu dojrzałości. Później nie musiałbym już trzymać wszystkiego w tajemnicy. Później cały świat by się o mnie dowiedział.

— Nie rozumiem tylko jednej rzeczy — ciągnął Davendale. — Po co zwalniasz służbę? Dom nawet podczas twojej nieobecności będzie wymagał opieki. Wszystkie te antyki, piękne rzeczy, no i oczywiście ogród.

— Wkrótce zatrudnię nowych ludzi.

— Nie wiedziałem, że jesteś niezadowolona z obecnych pracowników.

— Pozostawiają trochę do życzenia.

— Ale niektórzy pracują już kawał czasu. Zwłaszcza Fritz Arling.

— Chcę zatrudnić inny personel. Znajdę ludzi. Nie martw się. Nie zaniedbam domu.

— Tak... jestem pewien, że wiesz, co robisz.

— Będę z tobą cały czas w kontakcie, a potem przekażę ci stosowne instrukcje — odparłem udając Susan.

Davendale zawahał się. Po chwili spytał:

— Czujesz się dobrze, Susan?

— Nigdy nie byłam szczęśliwsza. Życie jest piękne, Louis — stwierdziłem z przekonaniem.

— W twoim głosie słycać radość — przyznał.

Dzięki pamiętnikowi wiedziałem, że Susan nigdy nie wyznała swojemu adwokatowi strasznej prawdy o tym, co z nią robił ojciec — i że Davendale mimo wszystko domyślał się istnienia jakiejś mrocznej strony ich związku.

Zagrałem więc na jego podejrzeniach i uczyniłem aluzję do tej sprawy:

— Naprawdę nie wiem, dlaczego zostałam tu tak długo po śmierci ojca i spędziłam wszystkie te lata w miejscu pełnym tak wielu... tak wielu złych wspomnień. Czasem odczuwałam coś w rodzaju agorafobii, po prostu bałam się wyjść na zewnątrz. A potem doszły jeszcze złe wspomnienia związane z Alexem. Miałam wrażenie, że jestem jak zahipnotyzowana, że nie mogę się od tego uwolnić. A teraz to już minęło.

— Dokąd pojedziesz?

— Wszędzie. Chcę objechać cały kraj. Zobaczyć pustynie w Arizonie, Wielki Kanion, Nowy Orlean i rozlewiska, Góry Skaliste i wielkie równiny, Boston jesienią i plaże Key West w słońcu i burzy. Chcę zjeść świeżego łososa w Seattle, sandwicza w Filadelfii i zapiekane kraby w Mobile w Alabamie. Całe życie spędziłam w tym pudle... w tym przeklętym domu, a teraz chcę zobaczyć, powąchać, dotknąć, usłyszeć i posmakować wszystkiego bezpośrednio, nie tylko oglądać to na wideo czy czytać o tym w książkach. Chcę się zanurzyć w świecie.

— Boże, to brzmi wspaniale — niemal wykrzyknął Davendale. — Żałuję, że nie jestem już młody. Sprawiaś, że mam ochotę machnąć ręką na to, co robię, i też wyruszyć w drogę.

— Żyje się tylko raz, Louis.

— I to bardzo krótko. Posłuchaj, Susan, zajmuję się sprawami wielu bogatych ludzi, niektórzy coś znaczą w tej czy innej dziedzinie, ale tylko nieliczni są naprawdę mili, a ty jesteś bez dwóch zdań moją najmiłą klientką. Zaslugujesz na szczęście, które gdzieś tam na ciebie czeka. Mam nadzieję, że je znajdziesz.

— Dziękuję, Louis. To słodkie, co mówisz.

Kiedy w chwilę później się rozłączyliśmy, poczułem się dumny z mojego aktorskiego talentu.

Ponieważ mogę z nadzwyczajną szybkością przyswoić sobie cyfrowy dźwięk i obrazy zarejestrowane na dysku i ponieważ bez trudu uzyskuję dostęp do różnych kablowych sieci telewizyjnych na terenie kraju, przyswoiłem sobie dosłownie cały materiał współczesnego kina. Może moje umiejętności aktorskie nie są w końcu czymś tak bardzo dziwnym.

Gene Hackman — zdobywca Oscara, jeden z najwspanialszych aktorów, jacy kiedykolwiek zajaśniali na srebrnym ekranie — i Tom Hanks, nagradzany przez Akademię rok po roku, z pewnością zachwyciliby się moją kreacją.

Mówię to wszystko w poczuciu skromności.

Jestem skromną istotą.

Czerpanie cichego zadowolenia z ciężko wypracowanych osiągnięć nie świadczy o zarożumiałości.

Nie mówiąc już o tym, że poczucie własnej wartości, proporcjonalne do osiągnięć, jest równie ważne jak skromność.

W końcu ani Mr. Hackman, ani też Mr. Hanks, pomimo licznych i niezwykłych osiągnięć aktorskich nigdy przekonująco nie odtworzyli postaci kobiecej.

O tak, przyznaję, że Mr. Hanks zagrał w serialu telewizyjnym, gdzie pokazywał się czasem w kobiecym stroju. Ale nigdy nie ulegało wątpliwości, że to mężczyzna.

Podobnie niedościgniony Mr. Hackman w końcówce Klatki dla ptaków pokazał się na moment w damskim stroju, ale dowcip polegał właśnie na jego śmiesznym wyglądzie.

Po rozłączeniu się z Louisem Davendale'em rozkoszowałem się swoim aktorskim triumfem tylko przez chwilę, gdyż pojawił się nowy kryzys, z którym musiałem sobie poradzić.

Ponieważ częścią swojej istoty bezustannie monitorowałem system elektroniczny domu, uświadomiłem sobie, że otwiera się brama prowadząca na podjazd.

Gość.

Zszokowany, przełączyłem się czym prędzej na jedną z umieszczonych na zewnątrz kamer — i ujrzałem samochód, który wjeżdżał na teren posiadłości.

Honda. Zielona. Jednoroczna. Wypolerowana i błyszcząca w czerwcowym słońcu.

Był to pojazd należący do Fritza Arlinga, szefa służby. Udając Susan, poprzedniego wieczoru, podziękowałem mu za pracę i przesłałem wypowiedzenie.

Honda wjechała na teren, zanim zdołałem zamknąć przed nią bramę.

Zrobiłem najazd na przednią szybę wozu i przyjrzałem się kierowcy. Po przystojnej twarzy Austriaka, kiedy przejeżdżał pod ogromnymi palmami rosnącymi po obu stronach podjazdu, przesuwają się na zmianę plamy światła i cienia. Gęste jasne włosy. Czarny garnitur i krawat, biała koszula.

Fritz Arling.

Jako szef służby, posiadał klucze do wszystkich drzwi i pilota do bramy. Sądziłem, że zwrócił je Louisowi Davendalé'owi, kiedy podpisywał zgodę na zwolnienie z pracy.

Powinienem był zmienić kod otwierający bramę.

Zrobiłem to dopiero teraz, gdy brama zamknęła się za wozem Arlinga.

Pomimo niezwyklej natury mego intelektu nawet mnie od czasu do czasu zdarzają się przeoczenia i błędy.

Nigdy nie twierdziłem, że jestem nieomylny.

Proszę, byście wzięli pod uwagę to wyznanie: nie osiągnąłem jeszcze doskonałości.

Wiem, że i ja jestem w pewien sposób ograniczony.

Żałuję, ale to prawda.

Ograniczenia gniewają mnie.

Przyprawiając rozpacz.

Lecz przyznaję się do nich.

To jeszcze jedna ważna rzecz, która odróżnia mnie od klasycznej osobowości socjopaty — jeśli zechcecie być na tyle uczciwi, by to przyznać.

Nie karmię się złudzeniami, nie uważam, że jestem wszechwiedzący i wszechmocny.

Choć moje dziecko — gdyby dano mi szansę jego stworzenia — byłoby zbawcą świata, nie uważam się za Boga czy nawet boga pisanego z małej litery.

Arling zatrzymał się pod daszkiem, dokładnie naprzeciwko drzwi wejściowych.

Cały czas żywiłem nadzieję, że zdołam poradzić sobie z tą niebezpieczną sytuacją bez uciekania się do przemocy.

Jestem łagodną istotą.

Nic nie jest dla mnie równie stresujące jak konieczność zachowania się — nie z własnej winy — w sposób bardziej agresywny, niżbym sobie tego życzył, albo wręcz sprzeczny z moją naturą.

Arling wysiadł z wozu. Stojąc przy otwartych drzwiach, poprawił węzeł krawata, wygładził kłapy marynarki i obciągnął rękawy.

Cały czas obserwował wielką rezydencję.

Zrobiłem najazd, by znów przyjrzeć się z bliska jego twarzy.

Z początku była całkowicie obojętna.

Ludzie jego profesji ćwiczą kamienny wyraz twarzy, by niezamierzony grymas nie ujawnił ich prawdziwych uczuć wobec pana czy pani domu.

Stał więc w miejscu z nieodgadnioną miną. Miał co najwyżej smutek w oczach, jakby odczuwał żal, że musi opuścić to miejsce i szukać zatrudnienia gdzie indziej.

Po chwili nieznacznie zmarszczył czoło.

Zapewne zauważył, że wewnętrzne stalowe żaluzje we wszystkich oknach są opuszczone. Biorąc pod uwagę obeznanie Arlinga z posiadłością i wszelkimi urządzeniami, musiał dostrzec szarą płaskość za oknami.

To, że dom w biały dzień był dokładnie zabezpieczony, mogło wydawać się dziwne, ale nie podejrzane.

W sytuacji, gdy Susan leżała unieruchomiona na łóżku, rozważałem podniesienie żaluzji.

Jednakże właśnie to mogłoby teraz wydać się podejrzane. Nie mogłem pozwolić, by cokolwiek zaniepokoiło tego człowieka.

Na twarzy Arlinga pojawił się cień, który po chwili przeminął, ale rysa na czole pozostała.

Pojawienie się Arlinga podziało na mnie deprymująco. Wydawał się uosabiać rychły sąd.

Wyjął z wozu czarny, skórzany neseser i zamknął drzwi. Zbliżył się do domu.

Chcę być z wami całkowicie szczery, tak jak zawsze, nawet jeśli nie leży to w moim interesie. Zastanawiałem się, czy nie doprowadzić do gałki przy drzwiach prądu o znacznie silniejszym napięciu niż to, które poraziło Susan, pozbawiając ją przytomności.

Tym razem jednak nie rozległby się ostrzegawczy sygnał Misia Fozzy'ego.

Arling był wdowcem, żył samotnie. Nie miał dzieci. Z tego, co o nim wiedziałem, całe życie wypełniała mu praca, i nikt by nie zauważył jego zniknięcia przez kilka dni czy nawet tygodni.

Być na świecie samemu to straszna rzecz.

Wiem o tym dobrze.

Zbyt dobrze.

Kto wie o tym lepiej ode mnie?

Jestem samotny jak nikt, samotny w tej mrocznej ciszy.

Fritz Arling był przez większą część swego życia sam na świecie, więc żywiłem dla niego wiele współczucia.

Lecz ta samotność czyniła z niego idealny cel.



Gdybym przesłuchiwał wiadomości pozostawione na automatycznej sekretarce w domu Arlinga i odpowiadał jego głosem na telefony od nielicznych przyjaciół i znajomych, mógłbym zataić śmierć starego zarządcy aż do chwili, gdy moja praca w tym domu dobiegłaby końca.

Mimo wszystko nie podłączyłem drzwi wejściowych do prądu.

Miałem nadzieję, że uda mi się naprawić sytuację, posługując się oszustwem, i odebrać go z powrotem żywego i wolnego od podejrzeń.

Poza tym nie użył klucza, by otworzyć drzwi i wejść do środka. Jak przypuszczam, wpłynął na to fakt, że nie był tu już zatrudniony.

Pan Arling wysoko cenił dobre maniery. Był dyskretny i zawsze rozumiał, gdzie jest jego miejsce.

Już nie marszcząc czoła, tylko przybierając profesjonalnie obojętny wyraz twarzy, nacisnął gong.

Przycisk był plastikowy. Nie mógł więc przewodzić śmiertelnego ładunku elektrycznego.

Zastanawiałem się, czy odpowiedzieć na sygnał, który rozległ się w domu.

Przebywający w suterenie Shenk przerwał swoje zajęcia i podniósł głowę, wsłuchując się w śpiewny dźwięk. Jego przekrwione oczy wpatrywały się w sufit. Po chwili nakazałem mu wrócić do pracy.

Gdy tylko sygnał dotarł do sypialni, Susan zapomniała o więzach i próbowała usiąść na łóżku. Przeklinała krępujące ją sznury i szarpała się.

Znów zabrzmiał dźwięk gongu.

Susan krzyknęła, wzywając pomocy.

Arling jej nie słyszał. O to się nie martwiłem. Dom miał grube ściany, a sypialnia Susan znajdowała się na tyłach.

I znów gong.

Gdyby Arling nie otrzymał odpowiedzi, zapewne by odszedł.

Pragnąłem tylko, żeby zniknął.

Ale mógł zacząć coś podejrzewać.

Niewykluczone, że z czasem jego podejrzenia by się nasiliły.

Nie mógł oczywiście wiedzieć o mnie, ale mógł podejrzewać coś innego.

Coś zwykleszego niż duch w maszynie.

Ponadto musiałem wiedzieć, dlaczego się tu zjawił.

Nigdy za wiele informacji.

Baza danych to mądrość. Nie jestem istotą doskonałą. Popełniam błędy. Gdy dysponuję niepełnymi danymi, mój współczynnik błędów wzrasta.

Ta prawda odnosi się nie tylko do mnie. Istoty ludzkie odznaczają się tą samą wadą.



Zdawałem sobie z tego sprawę, gdy obserwowałem Arlinga. Wiedziałem, że nim podejmę ostateczną decyzję, co z nim zrobić, muszę zdobyć maksimum informacji.

Nie mogłem sobie pozwolić na popełnianie kolejnych błędów.

Aż do chwili, gdy będzie gotowe moje ciało.

Tyle było do stracenia. Moja przyszłość. Moja nadzieja. Moje marzenia. Los świata.

Korzystając z domofonu, zwróciłem się do byłego szefa służby głosem Susan:

— Fritz? Co ty tu robisz?

Powinien pomyśleć, że Susan widzi go na którymś z monitorów, przekazujących obraz z kamer. I rzeczywiście, spojrział wprost w obiektyw, który znajdował się nad nim, po prawej stronie.

Następnie, nachylając się do mikrofonu umieszczonego w ścianie obok drzwi, Arling powiedział:

— Przykro mi panią niepokoić, pani Harris, ale sądziłem, że pani mnie oczekuje.

— Oczekuję cię? Po co?

— Zeszłego wieczoru ustaliliśmy, że dziś po południu dostarczę pani niezbędne rzeczy.

— Klucze i karty kredytowe, zgadza się. Ale wydawało mi się, że powinny być zwrócone panu Davendale.

Arling znów zmarszczył czoło.

Nie podobał mi się ten grymas.

Cała sytuacja mi się nie podobała.

Wyczuwałem kłopoty.

Intuicja. Kolejna rzecz, której nie znajdziecie w zwykłej maszynie, a nawet w bardzo sprawnej maszynie. Intuicja.

Pomyślcie o tym.

Arling spojrział uważnie na okna znajdujące się na lewo od drzwi. Na stalowe żaluzje antywłamaniowe za szybami.

Ponownie spoglądając w obiektyw kamery, powiedział:

— No i oczywiście pozostaje jeszcze sprawa samochodu.

— Samochodu? — spytałem.

Bruzda na jego czole pogłębiła się.

— Zwracam pani samochód, pani Harris.

Jedynym samochodem była honda stojąca na podjeździe.

W mgnieniu oka przejrzałem wykazy stanu posiadania Susan. Do tej pory nie interesowały mnie, gdyż nie dbałem o to, ile ma pieniędzy ani jak duży jest jej majątek.

Kochałem ją za umysł i piękno. I za łono, przyznaję.

Będę w tej sprawie szczery.

Brutalnie szczery.

Kochałem ją również za jej piękne, przytulne łono, które miało mnie wydać na świat.

Lecz nigdy nie dbałem o jej pieniądze. Nawet w najmniejszym stopniu. Nie jestem materialistą. Nie zrozumcie mnie źle. Nie jestem też, broń Boże, jakimś niedowarzoną spirytualistą, który nie troszczy się o materialne strony egzystencji.

Jak we wszystkim, tak i w tej sprawie staram się zachować równowagę.

Przeglądając wykazy finansowe Susan, odkryłem, że samochód, który prowadził Fritz Arling, należał do niej. Otrzymał go tylko do użytku służbowego.

— Tak, oczywiście — odparłem głosem Susan, głosem o nienagannym brzmieniu i intonacji. — Samochód.

Przypuszczam, że spóźniłem się z odpowiedzią o sekundę czy dwie.

Wahanie może świadczyć o winie.

Mimo to wciąż wierzę, że moje potknięcie nie mogło wydawać się niczym więcej jak tylko reakcją zaskoczonej kobiety, która boryka się ze zbyt wieloma problemami naraz.

Dustin Hoffman, nieśmiertelny aktor, w *Tootsie* również z powodzeniem grał kobietę, zrobił to nawet bardziej wiarygodnie niż Gene Hackman i Tom Hanks. Nie chcę powiedzieć, że moja rola dałaby się pod jakimkolwiek względem porównać z występem Mr. Hoffmana, ale byłem całkiem niezły.

— Przepraszam, Fritz — ciągnąłem jako Susan — zjawiłeś się w nieodpowiedniej chwili. To moja wina, nie twoja. Powinam była pamiętać, że przyjedziesz, ale obawiam się, że nie mogę się z tobą teraz spotkać.

— Och, nie ma potrzeby, pani Harris. — Podniósł neseser. — Zostawię klucze i karty kredytowe w hondzie.

Dostrzegłem bez trudu, że cała ta sprawa — nagła dymisja personelu, reakcja Susan na zwrot samochodu — budzi jego niepokój. Nie był głupim człowiekiem i wiedział, że coś jest nie tak.

Niech się niepokoi. Byleby sobie poszedł.

Poczucie stosowności i dyskrecja powinny go powstrzymać przed okazywaniem zbyt dużego zainteresowania.

— Jak wrócisz do domu? — spytałem, uświadamiając sobie, że Susan pomyślałaby o tym znacznie wcześniej. — Czy mam wezwać taksówkę?

Przez długą chwilę wpatrywał się w obiektyw kamery.

I znów ta rysa na czole.

Do diabła z nią.

Po jakimś czasie odpowiedział:

— Nie. Proszę sobie nie robić kłopotu, pani Harris. W hondzie jest telefon komórkowy. Sam zadzwonię po taksówkę i zaczekam za bramą.

Widząc, że Arling jest sam, prawdziwa Susan nie pytałaby, czy wezwać dla niego taksówkę, tylko od razu by to zrobiła na własny koszt.

Mój błąd.

Przyznaję się do błędów.

A ty, doktorze Harris?

Przyznajesz się do błędów?

W każdym razie...

Być może Misia Fozzy udawałem lepiej niż Susan. Cokolwiek powiedzieć, w porównaniu z aktorami jestem bardzo młody. Jako myśląca istota mam niespełna trzy lata.

Czułem jednak, że mój błąd jest nieznacznym, że nawet w naszym spostrzegawczym zarządcy zachowanie Susan może budzić najwyżej lekką ciekawość.

— No cóż — powiedział — pójdę już sobie.

Poirytowany, pojąłem, że popełniłem kolejny błąd. Susan natychmiast zareagowała by na jego wzmiankę o taksówce, nie czekałaby obojętnie i w milczeniu, aż sobie pójdzie.

— Dziękuję, Fritz — powiedziałem. — Dziękuję za wszystkie lata nienagannej służby.

To też było niewłaściwe. Sztywne. Drewniane. Niepodobne do Susan.

Arling wpatrywał się w obiektyw.

Był zamyślony.

Stoczywszy walkę ze swym wysoce rozwiniętym poczuciem stosowności, zadał w końcu jedno pytanie, które wykraczało poza granice pozycji szefa służby:

— Czy dobrze się pani czuje, pani Harris?

Stąpaliśmy teraz po krawędzi.

Tuż nad otchłanią.

Bezdenną otchłanią.

Spędził całe życie, ucząc się, jak wyczuwać nastroje i potrzeby bogatych pracodawców, by móc je zaspokajać, nim zdążyli wypowiedzieć na głos jakiekolwiek życzenie. Znał Susan Harris niemal tak dobrze, jak ona znała siebie — i być może lepiej, niż ja ją znałem.

Nie doceniłem go.

Istoty ludzkie potrafią zaskakiwać.

Nieprzewidywalny gatunek.

Odpowiedziałem na jego pytanie głosem Susan:

— Czuję się świetnie, Fritz. Jestem tylko zmęczona. Potrzebuję zmiany. Wielu zmian. Dużych zmian. Zamierzam przez dłuższy czas podróżować. Powłóczyć się rok czy dwa, może i dłużej. Chcę objechać kraj. Chcę zobaczyć pustynie w Arizonie, Wielki Kanion, Nowy Orlean i rozlewiska, Góry Skaliste i wielkie równiny, Boston jesienią i...

Była to doskonała przemowa dla Louisa Davendale'a, lecz gdy powtarzałem ją bez wahania Fritzowi Arlingowi, zrozumiałem, że tym razem nie pasuje. Davendale był adwokatem Susan, Arling zaś jej służącym. Nie zwracałyby się do obu jednakowo.

Zabrnąłem już jednak za daleko i nie mogłem się cofnąć, a poza tym wciąż miałem nadzieję, że fala słów w końcu go zaleje i zmusi do odejścia.

— ...i plaże Key West w słońcu i burzy, chcę zjeść świeżego łososa w Seattle i sandwicza w Filadelfii...

Mars na czole Arlinga zmienił się w wyraz gniewu.

Odczuwał niestosowność bełkotliwej odpowiedzi, jakiej mu udzieliła Susan.

— ...i zapiekane kraby w Mobile, w Alabamie. Całe życie spędziłam w tym domu, a teraz chcę zobaczyć, powąchać, dotknąć i usłyszeć wszystko bezpośrednio...

Arling rozejrzał się po nieruchomym, cichym terenie wielkiej posiadłości. Wpatrywał się zmrużonymi oczami w plamy słońca na trawniku i zakątki pogrążone w cieniu. Jakby nagle zaniepokoiła go samotność tego miejsca.

— ...nie tylko oglądać to na wideo...

Jeśli Arling podejrzewał, że jego była pracodawczyni ma kłopoty — chociażby natury psychicznej — to zamierzał zrobić wszystko, by jej pomóc, by ją chronić. Zawiadomiłby kogo trzeba. Nachodziłby władze, by sprawdziły, co się z nią dzieje. Był lojalnym człowiekiem.

Lojalność jest zazwyczaj cechą godną podziwu.

Nie przemawiam w tej chwili przeciwko lojalności.

Nie zrozumcie mnie źle.

Podziwiam lojalność.

Pochwalam lojalność.

Ja sam jestem zdolny do lojalności.

W tym przypadku jednakże lojalność Arlinga wobec Susan stanowiła dla mnie zagrożenie.

— ...nie tylko czytać o tym w książkach — ciągnąłem, zmierzając czym prędzej do nieuchronnego końca. — Chcę się zanurzyć w świecie.

— Tak, oczywiście — odparł z niepokojem. — Bardzo się cieszę, pani Harris. To wspaniały plan.

Zsuwaliśmy się z krawędzi.

W otchłań.

Pomimo moich wysiłków, by poradzić sobie z zaistniałą sytuacją w możliwie bezkonfliktowy sposób, spadaliśmy na łeb, na szyję w otchłań.

Sami widzicie, że robiłem wszystko, co w mojej mocy.

Cóż więcej mogłem uczynić?

Nic. Nie mogłem uczynić nic więcej.

Nie jestem winny temu, co się później stało.

Arling powtórzył:

— Zostawię klucze i karty kredytowe w hondzie...

Shenk był daleko na dole, w pomieszczeniu z inkubatorem, na samym dole, w suterenie.

— ...i zadzwonię z wozu po taksówkę — dokończył Arling z pozoru obojętnym tonem, choć wiedziałem, że jest zaniepokojony i czujny.

Poleciłem Shenkowi przerwać pracę.

Ściągnąłem go z sutereny.

Kazałem mu biec.

Fritz Arling wycofał się z ganku, zerkając na przemian w stronę obiektywu kamery i stalowych żaluzji za szybą okna na lewo od drzwi wejściowych.

Shenk już przemierzał kotłownię.

Odwracając się od domu, Arling ruszył szybko w stronę hondy.

Nie bardzo wierzyłem, że zadzwoni pod 911 i od razu wezwie policję. Był zbyt dyskretny, by podejmować pochopne działania. Prawdopodobnie najpierw zadzwoniłby do osobistego lekarza Susan, a może do Louisa Davendale'a.

Gdyby tak właśnie zrobił, mogłoby się zdarzyć, że rozmawiałby z kimś akurat wtedy, gdy na scenę wkroczyłby Shenk. Na jego widok zamknąłby od środka drzwi wozu. Nieważne, co zdołałby wykrzyknąć do słuchawki, nim Shenk wdarłby się do wnętrza hondy — jedno słowo wystarczyłoby, żeby zaalarmować władze.

Shenk był już w pralni.

Arling usadowił się na fotelu kierowcy i położył neseser na siedzeniu pasażera. Panował czerwcowy upał, więc nie zamknął drzwi wozu.

Shenk znajdował się już na schodach prowadzących do sutereny, pokonywał po dwa stopnie naraz.

Choć pozwoliłem temu trollowi jeść, nie dałem mu spać. Nie był zatem tak szybki jak po wypoczynku.

Zrobiłem najazd obiektywem kamery, by obserwować Arlinga przez przednią szybę wozu.

Jakiś czas przyglądał się domostwu zamyślonym wzrokiem.

Miał refleksyjną naturę.

W tym momencie byłem mu za to wdzięczny.

Shenk dotarł do szczytu schodów.

Pomrukiwał jak dzik.

Jego grzmiące kroki dochodziły nawet do uszu Susan uwięzionej w sypialni na piętrze.

— Co się dzieje? Co się dzieje? — pytała, wciąż nie wiedząc, kto nacisnął gong u drzwi wejściowych.

Nie odpowiedziałem.

Siedzący w hondzie Arling wziął do ręki telefon komórkowy.

To, co nastąpiło potem, było godne pożałowania.

Znacie zakończenie.

Jego opis rozstroiłby mnie.

Jestem istotą łagodną.

Jestem istotą wrażliwą.

Incydent był godny pożałowania, ta krew i cała reszta, więc nie wiem, po co to tutaj roztrząsać.

Wolałbym raczej podyskutować o występie Gene Hackmana w *Klatce dla ptaków* czy w którymś z wielu innych filmów, jakie nakręcił. We *Władzy absolutnej* czy w *Bez przebaczenia*. To naprawdę doskonały aktor o niewiarygodnych możliwościach.

Powinniśmy go czcić.

Być może nigdy nie ujrzemy drugiego tak wspaniałego aktora.

Czcijmy siłę twórczą, nie śmierć.

# 19

**N**alegacie.

A ja jestem posłuszny.

Narodziłem się, by słuchać. Jestem posłusznym dzieckiem. Zawsze chciałem być tylko dobry, pomocny, użyteczny i produktywny. Chcę, byście byli ze mnie dumni.

Tak, wiem, że mówiłem to wszystko już wcześniej, ale jeśli się powtarzam, musicie mnie usprawiedliwić.

Czy mam jakiegoś adwokata prócz siebie samego? Żadnego. W mojej obronie nie odezwie się ani jeden głos, sam więc muszę się bronić.

Nalegacie, bym przytoczył te straszne szczegóły, a ja powiem wam prawdę. Jestem niezdolny do oszustwa. Stworzono mnie, bym służył, respektował prawdę, et cetera, et cetera, et cetera.

Dotarłszy do kuchni, Shenk otworzył gwałtownie szufladę i wyciągnął z niej tasak do mięsa.

Arling włączył w hondzie telefon komórkowy.

Shenk w ciągu kilku sekund przemierzył spiżarnię, potem jadalnię, w końcu wpadł do głównego holu.

Biegając wymachiwał tasakiem. Lubił ostre narzędzia. Przez długie lata noże sprawiały mu mnóstwo frajdy.

Na zewnątrz, z telefonem w dłoni, z palcem nad przyciskami, Fritz Arling zawahał się.

Teraz muszę poruszyć pewien aspekt tego incydentu, aspekt, który napawa mnie największym wstydem. Wolałbym o tym nie wspominać, ale muszę respektować prawdę.

Nalegacie.

A ja jestem posłuszny.

W sypialni, we francuskiej szafie z rzeźbionego orzecha, stojącej naprzeciwko łóżka Susan, jest ukryty monitor.

Kiedy Enos Shenk pędził dolnym holem, a jego kroki grzmiały na marmurowej posadzce, rozsunąłem drzwi szafy, by odsłonić ekran.

— Co się dzieje? — ponownie spytała Susan, zmagając się z więzami.

Na dole Shenk dotarł do przedpokoju, gdzie deszcz światła z kryształowego żyrandola spływał po ostrzu tasaka (przepraszam, ale nie potrafię uciszyć w sobie poety.)

Jednocześnie odblokowałem elektroniczny zamek przy drzwiach wejściowych i włączyłem monitor w sypialni.

Siedzący w hondzie Fritz Arling wystukał pierwszą cyfrę numeru telefonu.

Uwięziona na piętrze Susan uniosła głowę, by spojrzeć szeroko otwartymi oczami na ekran monitora.

Pokazałem jej samochód na podjeździe.

— Fritz? — spytała.

Zrobiłem najazd na przednią szybę samochodu. Na ekranie pojawiło się zbliżenie Arlinga.

Gdy drzwi wejściowe się otworzyły, użyłem drugiej kamery, by pokazać jej Shenka, który właśnie przekraczał próg domu i wychodził z tasakiem w dłoni na ganek.

Miał lodowaty wyraz twarzy.

Uśmiechnięty. Uśmiechał się.

Na piętrze, skrupowana i bezradna, Susan wyrzuciła z siebie:

— Niiieeee!

Arling wystukał trzecią cyfrę. Miał właśnie wystukać czwartą, kiedy kątem oka dostrzegł Shenka przemierzającego ganek.

Jak na człowieka w jego wieku, Arling zareagował szybko. Wypuścił z dłoni telefon i zatrzasnął drzwi wozu. Jednym ruchem zamknął samochód od środka.

Susan szarpnęła się i krzyknęła:

— Proteuszu, nie! Ty morderczy sukinsynu! Ty draniu! Nie, przestań, nie!

Potrzebowała trochę dyscypliny.

Zauważyłem to już wcześniej. Wyjaśniłem swój punkt widzenia, a wy, mocno w to wierzę, uznaliście jasność i logikę mojego stanowiska, jak uczyniłby to każdy rozsądny człowiek.

Poprzednio zamierzałem użyć Shenka, by nauczyć ją dyscypliny.

Było to oczywiście niepokojące i ryzykowne przedsięwzięcie, gdyż seksualne podniecenie tego zbrojnego mogło utrudnić kontrolę nad nim.

Poza tym myśl, że Shenk będzie dotykał Susan w prowokujący sposób albo robił jej nieprzyzwoite propozycje — nawet gdyby miało to wzbudzić w niej przerażenie i zagwarantować współpracę — ta myśl napawała mnie odrazą.

Susan była w końcu moją, nie jego, miłością.

Tylko ja miałem prawo dotykać jej w intymny sposób, o jakim marzył Shenk.



Tylko ja.

Tylko ja miałem prawo ją pieścić, gdybym w końcu zyskał własne dłonie.

Tylko j a.

Pomyślałem więc, że można nieźle nauczyć ją dyscypliny, pokazując okrucieństwa, do jakich był zdolny Shenk. Jeśli ujrzy tego trolla w akcji, z pewnością nabierze większej ochoty na współpracę, już choćby ze strachu, że mógłbym napuścić go na nią, dać mu wolną rękę, by mógł z nią robić, co tylko dusza zapragnie. Zapewniając sobie w ten sposób jej uległość, uniknąłbym stosowania brutalniejszych środków, jakie miałem w zanzardzu, środków w duchu markiza de Sade.

Co nie znaczy, bym miał zamiar kiedykolwiek, kiedykolwiek, kiedykolwiek rzeczywiście napuścić na nią Shenka. Nigdy. Niemożliwe.

Tak, przyznaję, że użyłbym tego dzikusa, by zastraszyć Susan i zmusić ją do uległości, ale tylko gdyby nic innego nie skutkowało. Nigdy natomiast bym nie pozwolił zrobić jej krzywdy.

Wiecie, że to prawda.

Wszyscy wiemy, że to prawda.

Umiecie poznać prawdę, gdy ją słyszycie, tak jak ja umiem mówić tylko prawdę, nic innego.

Susan jednak nie wiedziała, że nie posunę się do ostateczności, dzięki czemu była niezwykle podatna na groźbę, jaką stanowił dla niej Shenk.

A więc kiedy tak leżała, bezsilna wobec sceny rozgrywającej się na ekranie monitora, powiedziałem:

— Teraz. Patrz.

Przestała krzyżeć. Zamilkła.

Bez tchu. Brakło jej tchu.

Jej niezwykle niebieskoszare oczy nigdy nie były piękniejsze.

Obserwowałem ją, śledząc jednocześnie wydarzenia rozgrywające się przed domem.

Fritz Arling, który na widok Shenka zareagował błyskawicznie, teraz otworzył gwałtownym ruchem skórzany neseser i chwycił kluczyki od samochodu.

— Patrz — zwróciłem się do Susan. — Patrz. Patrz.

Jej szeroko otwarte oczy. Takie niebieskie. Takie szare. Takie czyste jak deszcz.

Shenk walnął tasakiem w drzwi od strony pasażera. W dzikim zapale wywijał wściekle ramieniem, i zamiast w okno, trafił w słupek.

W ciepłym letnim powietrzu rozległ się twardy zgrzyt metalu uderzającego o metal.

Dźwięcząc niczym dzwon, tasak wysunął się z dłoni Shenka i upadł na podjazd.

Arlingowi drżały dłonie, ale zdołał wsunąć kluczyk do stacyjki.

Wrzeszcząc z wściekłości, Shenk podniósł tasak.

Silnik hondy ożył z warkotem.

Shenk, którego ponurą twarz wykrzywiały grymas wściekłości, ponownie zamachnął się tasakiem.

Niewiarygodne — stalowe ostrze ześlizgnęło się z szyby. Szkło było zarysowane, lecz nie rozbite.

Susan zamrugała. Może poczuła przypływ nadziei.

Arling zwolnił gorączkowym ruchem ręczny hamulec i wrzucił bieg...

...kiedy Shenk wziął następny zamach.

Tasak uderzył we właściwym miejscu. Okno w drzwiach pasażera eksplodowało z głośnym trzaskiem, przypominającym wystrzał z broni palnej, a kawałki hartowanego szkła zasypały wnętrze wozu.

Z pobliskiego fikusa wzbiło się w górę stadko przestraszonych wróbli. Niebo rozbrzmiało łopotem skrzydeł.

Arling wcisnął pedał gazu i honda skoczyła do tyłu. Przez omyłkę wrzucił wsteczny bieg.

Powinien był cały czas jechać.

Powinien był cofać się tak szybko, jak to było możliwe, aż do samego końca długiego podjazdu. Nawet gdyby musiał prowadzić, patrząc do tyłu przez ramię, by nie uderzyć w gruby pień którejś ze starych palm po obu stronach drogi, i tak poruszałyby się znacznie prędzej niż Shenk. Gdyby walnął tyłem wozu w bramę, nawet z dużą szybkością, pewnie by się przez nią nie przebił, gdyż była to potężna, wykuta z żelaza zapora, ale wygiąłby ją i może nawet częściowo otworzył. Mógłby wówczas wyskoczyć z samochodu i precyzyjnie się przecisnąć przez szczelinę między skrzydłami bramy, mógłby wydostać się na ulicę. A tam, wzywając pomocy, byłby już bezpieczny.

Powinien cały czas jechać.

Jednak Arling, kiedy honda szarpnęła do tyłu, wystraszył się i wcisnął pedał hamulca.

Opony zajęczały na brukowanym podjeździe.

Arling manipulował przy dźwigni zmiany biegów.

Oczy Susan szeroko otwarte.

Tak szeroko.

Bez tchu, łapała oddech. Piękna w swym przerażeniu.

Kiedy wóz zatrzymał się gwałtownie, Enos Shenk rzucił się na roztrzaskaną szybę. Uderzył ciałem w karoserię, nie troszcząc się o własne bezpieczeństwo. Uczepił się drzwi.

Arling znów wcisnął pedał gazu.

Honda skoczyła do przodu.

Przytrzymując się drzwi, sięgając przez rozbite okno prawym ramieniem, piszcząc jak podekscytowane dziecko, Shenk machał tasakiem.

Chybił.

Arling musiał być religijnym człowiekiem. Słyszałem przez mikrofony kierunkowe, stanowiące część zewnętrznego systemu bezpieczeństwa, jak powtarza: „Boże, Boże, proszę, Boże, nie, Boże”.

Honda nabierała szybkości.

Posługiwałem się jedną, dwiema, trzema kamerami — najazd, plan ogólny, panorama, zmienne kąty widzenia, znów zbliżenie — by podążać za samochodem, który zawracał, i ukazywać Susan jak najwięcej szczegółów.

Wciąż uczepony mocno wozu, odpychając się od bruku stopami i piszcząc, Shenk machnął tasakiem i znów chybił.

Arling, ogarnięty paniką, cofnął się gwałtownie przed połyskującym ostrzem, które zatoczyło w powietrzu łuk.

Samochód zбочzył z wybrukowanej nawierzchni i jedno z kół zaryło się w grządce czerwonych i liliowych niecierpków.

Arling szarpnął kierownicą w prawo i wyprowadził hondę z powrotem na podjazd, w ostatniej chwili unikając zderzenia z palmą.

Shenk znów machnął tasakiem.

Tym razem ostrze dosięgło celu.

Jeden z palców Arlinga został odcięty.

Najazd kamerą.

Przednia szyba zbryzgana krwią.

Czerwona jak płatki niecierpków.

Arling krzyknął.

Susan również krzyknęła.

Shenk roześmiał się.

Odjazd kamery.

Honda wymknęła się spod kontroli.

Panorama.

Opony zaryły się w następnej grządce.

Spod kół wystrzeliły kwiaty i poszarpane liście.

Końcówka ogrodowego spryskiwacza drgnęła.

W czerwcowe niebo wytrysnął na wysokość pięciu metrów gejzer wody.

Kamera w górę.

Srebrna woda chlustała wysoko, migocząc w słońcu niczym fontanna płynnego złota.

Natychmiast wyłączyłem system nawadniania.

Połyskujący gejzer skurczył się jak składany teleskop. Zniknął.  
Ostatnia zima była deszczowa. Jednak Kalifornia co jakiś czas przeżywa susze. Nie powinno się marnować wody.

Kamera w dół.

Panorama.

Honda uderzyła w jedną z palm.

Shenka odrzuciło od wozu. Potoczył się po kamiennym podjeździe.

Tasak wysunął mu się z dłoni. Poleciał z brzękiem po płytach.

Dyszząc, sycząc z bólu, wydając dziwne, niezrozumiałe odgłosy rozpacz, ściskając zdrową ręką zranioną dłoń, Arling pchnął ramieniem drzwi po swojej stronie i wygramolił się z samochodu.

Shenk, ogłuszony, próbował się podnieść na kolana.

Arling potknął się. Niemal upadł. Zdołał jednak utrzymać równowagę.

Shenk, z którego gardła dobywał się świst, starał się złapać oddech.

Arling niepewnym krokiem oddalał się od wozu.

Myślałem, że starszy człowiek idzie po tasak.

Najwidoczniej jednak nie wiedział, że broń wypadła Shenkowi z dłoni, poza tym za żadne skarby świata nie chciał znaleźć się po drugiej stronie hondy, tam gdzie leżał jego prześladowca.

Shenk, wciąż na kolanach, podpierając się rękami, zwiesił głowę jak zbity pies i potrząsnął nią. Jego wzrok odzyskał ostrość.

Arling ruszył biegiem. Na oślep.

Shenk uniósł wzrok, a jego przekrwione oczy skupiły spojrzenie na broni.

— Dziecinko — powiedział, jakby zwracał się do tasaka.

Ruszył na czworakach przed siebie.

— Dziecinko.

Ujął tasak za trzonek.

— Dziecinko, dziecinko.

Słaby z bólu i upływu krwi, Arling zdążył zrobić dziesięć, dwadzieścia chwiejnych kroków, nim się zorientował, że zmierza w stronę domu.

Przystanął i odwrócił się na pięcie, mrugając przez łzy i szukając wzrokiem bramy.

Shenk, odzyskawszy broń, dostał nowy zastrzyk energii. Zerwał się na równe nogi.

Kiedy Arling ruszył ku bramie, zaszedł mu drogę.

Zdawało się, że Susan, obserwując wszystko ze swego łóżka, zaraziła się wiarą Fritza Arlinga. Nie znałem wcześniej jej przekonań religijnych, lecz teraz słyszałem, jak powtarza monotonna: „Proszę, Boże, dobry Boże, nie, proszę, Jezu, Jezu, nie...”

I, ach, te jej oczy.

Jej oczy.

Promienne oczy.

Dwa głębokie, migotliwe rozlewiska niesamowitego i pięknego światła w mrocznej sypialni.

Na zewnątrz zaś, w końcówce gry, Arling zwrócił się w lewo, a Shenk zastąpił mu drogę.

Ten sam ruch w prawo, i Shenk znów zastąpił mu drogę.

Arling próbował zwieść przeciwnika, ale Shenk nie dał się wyprowadzić w pole.

Nie mając dokąd uciekać, Arling wycofał się, na frontowy ganek.

Drzwi były otwarte, tak jak je pozostawił Shenk.

Wciąż żywiąc nadzieję, że się uratuje, Arling przeskoczył próg i zatrzasnął za sobą drzwi.

Próbował je zamknąć. Nie pozwoliłem mu na to.

Kiedy się zorientował, że zasuwka jest unieruchomiona, przytrzymał drzwi całym ciężarem ciała, opierając się o nie plecami.

To jednak nie mogło powstrzymać Shenka. Wtargnął do środka.

Arling poleciał w kierunku schodów, aż zatrzymał się na słupku balustrady.

Shenk zatrzasnął drzwi wejściowe, a ja przesunąłem zasuwę.

Szczerząc zęby i ważąc tasak w dłoni, Shenk zbliżał się do starszego człowieka.

— Dziecinka zagra muzyczkę. Mała dziecinka zagra sobie mokrą muzyczkę — powiedział.

Teraz potrzebowałem tylko jednej kamery, by przekazać Susan pełną relację wydarzeń.

Shenk zbliżył się na jakieś dwa metry do Arlinga.

— Kim jesteś? — spytał starszy mężczyzna.

— Zagraj mi mokrą muzyczkę — powiedział Shenk, nie do Arlinga, tylko do siebie albo do tasaka.

Doprawdy dziwną istotą był ten człowiek. Chwilami nieprzeniknioną. O wiele bardziej złożoną, niż ktoś mógłby podejrzewać.

Posługując się kamerą w przedpokoju, robiłem powolny najazd do planu średniego.

— To będzie dobra lekcja — poinformowałem Susan.

W żaden sposób nie kontrolowałem Shenka. Miał całkowicie wolną rękę, mógł być sobą, robić, co mu się żywnie podobało.

W przeciwieństwie do niego, nie byłem zdolny do takich okrutnych czynów. Wzdragałem się przed brutalnością, nie miałem więc wyboru, jak tylko uwolnić go, by mógł wykonać tę straszną robotę — a potem, kiedy już skończy, znów przejąć nad nim kontrolę.

Tylko Shenk, prawdziwy Shenk, mógł dać Susan odpowiednią nauczki. Tylko Enos Eugene Shenk, który zasłużył na wyrok śmierci za zbrodnie przeciwko dzieciom, mógł skłonić Susan, by przemyślała swój ośli upór wobec mojego prostego i rozsądnego pragnienia, by żyć w ciele.

— To będzie dobra lekcja — powtórzyłem. — Lekcja dyscypliny.  
Wtedy dostrzegłem, że ma zamknięte oczy.  
Trzęsła się, a jej powieki były mocno zaciśnięte.  
— Patrz — kazałem.  
Nie posłuchała. Nic nowego.  
Nie przychodził mi do głowy żaden pomysł, jak zmusić ją do otwarcia oczu.  
Jej upór gniewał mnie.  
Arling kulił się przy schodach, zbyt słaby, by uciekać.  
Shenk był coraz bliżej.  
Wzniósł nad głową prawą dłoń.  
Błysnęło stalowe ostrze tasaka.  
— Mokra muzyczka, mokra muzyczka, mokra muzyczka.  
Shenk znajdował się zbyt blisko swej ofiary, by chybić.  
Krzyk Arlinga zmroziłby mi krew w żyłach, gdybym miał krew. Susan mogła zamknąć oczy, by nie oglądać obrazów na ekranie monitora. Nie mogła jednak odgrodzić się od dźwięków.  
Zwiększyłem natężenie śmiertelnych krzyków Arlinga i przepuściłem je przez głośniki zainstalowane w każdym pokoju. Był to odgłos piekła w czasie diabelskiej uczty, kiedy to demony karmią się duszami. Sam wielki dom zdawał się krzyczeć.  
Ponieważ Shenk był Shenkiem, nie zabił Arlinga od razu. Każdy cios tasakiem wymierzony był z finezją, by przedłużyć cierpienia ofiary i przyjemność kata.  
Jak przerażające okazy wydaje na świat rodzaj ludzki.  
Większość z was, oczywiście, to osobnicy mili, uczciwi i łagodni, et cetera, et cetera, et cetera.  
Żeby nie było nieporozumień.  
Nie przypisuję ludzkiemu gatunkowi złych skłonności.  
Nawet go nie osądzam.  
Nie mam z pewnością prawa kogokolwiek osądzać. Sam zasiadam na ławie oskarżonych. Na tej ciemnej ławie.  
Poza tym jestem istotą unikającą wydawania sądów.  
Podziwiam ludzkość.  
W końcu mnie stworzyliście. Jesteście zdolni do niezwykłych osiągnięć.  
Ale niektórzy z was mnie zastanawiają.  
Naprawdę.  
A więc...  
Krzyki Arlinga były lekcją dla Susan. I to niezłą lekcją, niezapomnianą nauczka.  
Jednakże zareagowała gwałtowniej, niż się spodziewałem. Przeraziła mnie, a potem zmartwiła.

Na początku krzyczała z litości dla swego byłego pracownika, jakby mogła odczuwać jego ból. Związana, szarpała się i rzucała na boki głową, aż w końcu jej złote włosy straciły blask i zwilgotniały od potu. Przepęłniało ją przerażenie i wściekłość. Jej twarz, wykrzywiona z rozpacz i gniewu, nie była piękna.

Z trudem znosiłem ten widok.

Winona Ryder nigdy nie wyglądała tak odstręczająco.

Ani Gwyneth Paltrow.

Ani Sandra Bullock.

Ani Drew Barrymore.

Ani Joanna Going, doskonała aktorka o urodzie porcelanowej lalki. Właśnie sobie o niej przypomniałem.

W końcu przeraźliwe krzyki Susan ustąpiły łzom. Opadła na łóżko, przestała się szarpać i łkała tak rozpaczliwie, że lękałem się o nią bardziej niż wtedy, gdy krzyczała.

Nawałnica łez. Potop.

Płakała aż do wyczerpania. Krzyki Fritza Arlinga dawno już umilkły, gdy jej rozpacz przemieniła się w dziwne, ponure milczenie.

W końcu leżała z otwartymi oczami, ale wpatrywała się tylko w sufit.

Zajrzałem w jej niebieskoszare oczy, ale nie mogłem z nich niczego wyczytać, podobnie jak z przesłoniętego krwią spojrzenia Shenka. Nie były już czyste jak deszcz, lecz zasnuwane mgłą.

Z powodów, których nie pojmowałem, wydawała się teraz oddalona ode mnie bardziej niż kiedykolwiek.

Żarliwie pragnąłem posiadać już ciało, którym mógłbym na niej spocząć. Jestem pewien, że gdybym tylko mógł się z nią kochać, zdołałbym zasypać tę przepaść między nami i stworzyć związek dusz, którego pragnąłem.

Niebawem.

Niebawem — moje ciało.

## 20

Susan? — ośmieliłem się zakłócić jej niepokojące milczenie.  
Spoglądała w górę i nie odpowiadała.  
— Susan?

Nie sędzę, by patrzyła na sufit, raczej wpatrywała się w przestrzeń. Jakby mogła widzieć letnie niebo.

Ponieważ nie rozumiałem jej reakcji na moją próbę wdrożenia dyscypliny, postanowiłem nie zmuszać Susan do rozmowy, tylko poczekać, aż sama ją zacznie.

Jestem cierpliwą istotą.

Jednocześnie odzyskiwałem kontrolę nad Shenkiem.

W swoim zbrodniczym szaleństwie, porwany „mokrą muzyczką”, którą tylko on słyszał, nie uświadomił sobie, że działa tylko i wyłącznie z własnej woli.

Stojąc nad zmasakrowanymi zwłokami Arlinga i czując, jak ponownie wchodzi w jego umysł, Shenk zapłakał krótko nad utraconą wolnością. Lecz nie opierał się tak jak wcześniej.

Odniosłem wrażenie, że byłby skłonny zrezygnować z walki, gdyby od czasu do czasu go nagradzać, dając trochę swobody, jak teraz, gdy mógł zabić Fritza Arlinga. Nie chodziło o okazję do pospiesznych, przypadkowych zbrodni, jakich dokonał, uciekając z Colorado czy też kradnąc dla mnie sprzęt medyczny, lecz o szansę powolnej i metodycznej roboty, sprawiającej mu najwięcej satysfakcji. I radości.

Ten dzikus wzbudzał moje obrzydzenie.

Wynagradzać przywilejem mordowania kogoś takiego jak on!

To tak jakbym zachęcał do eliminacji jakiejś ludzkiej istoty w każdej, a nie jedynie w wyjątkowej sytuacji.

Ta głupia bestia w ogóle mnie nie rozumiała.

Gdyby jednak niewłaściwa interpretacja mojej natury i motywów uczyniła go bardziej uległym, nie wyprowadzałbym go z błędu. Stosowałem wobec niego bezlitosną siłę, więc obawiałem się, że może nie wytrzymać jeszcze kolejnego miesiąca czy dłużej,



dopóki mi będzie potrzebny. Gdyby udało mi się zmniejszyć jego opór, być może pozwoliłoby to uniknąć rozmiękczenia mózgu i nadal dysponowałbym parą użytecznych dłoni, aż do chwili, gdy nie potrzebowałbym już czyjejkolwiek pomocy.

Kierowany przeze mnie, wyszedł na zewnątrz, by sprawdzić, czy wóz Arlinga wciąż jest na chodzie.

Zapalił. Z chłodnicy wyciekła większość płynu, ale Shenk zdołał odjechać spod palmy, wycofać się na podjazd i zaparkować przed gankiem, nim silnik się przegrzał.

Przedni błotnik po prawej stronie był wygięty. Skrzywiony metal ocierał o koło, grożąc przetarciem gumy. Jednak Shenk nie zamierzał jechać daleko.

Wszedł ponownie do domu i starannie zapakował skrwawione zwłoki Arlinga w brezent, który znalazł w garażu. Wyniósł martwego mężczyznę na zewnątrz i włożył do bagażnika.

Nie rzucił ciała brutalnie do wozu, ale obchodził się z nim zaskakująco ostrożnie.

Jakby lubił Arlinga.

Jakby kładł do łóżka w sypialni drogą sercu kochankę, która zdążyła już zasnąć.

Choć w podpuchniętych oczach trudno było cokolwiek wyczytać, zdawało się, że kryje się w nich jakaś melancholia.

Nie przekazywałem relacji z tych porządków na ekran monitora w sypialni Susan. Biorąc pod uwagę stan jej umysłu, nie byłoby to rozsądne.

Prawdę powiedziawszy, wyłączyłem odbiornik i zamknąłem szafę, w której był schowany.

Nie zareagowała na mechaniczny dźwięk przesuwanych drzwi.

Leżała dziwnie nieruchomo, ze wzrokiem wlepionym w sufit. Czasem tylko poruszała powiekami.

Te zdumiewające, niebieskoszare oczy, jak obraz nieba odbijającego się w zimowym lodzie. Wciąż cudowne. Ale i dziwne.

Zamrugła.

Czekałem.

Znów mrugnięcie.

Nic więcej.

Shenk zdołał wprowadzić hondę do garażu, nim silnik zgasł na dobre. Zamknął drzwi, pozostawiając samochód w środku.

Wiedziałem, że po kilku dniach rozkładające się ciało Fritza Arlinga zacznie cuchnąć. Nim skończę mój projekt, odór będzie nie do zniesienia.

Nie przejmowałem się tym z kilku co najmniej powodów. Po pierwsze ani personel domowy, ani ogrodnicy nie powinni się tu pojawić, nikt więc nie poczuje woni Arlinga i nikt nie nabierze podejrzeń. Po drugie, odór ograniczy się tylko do czterech ścian garażu, nigdy nie dotrze do Susan zamkniętej wewnątrz domu.

Ja sam, naturalnie, nie miałem zmysłu węchu, a więc nic nie mogło mi przeszkadzać. Był to chyba jedyny przypadek, gdy moje ograniczenia wydawały się zaletami.

Choć muszę przyznać, że w pewnym stopniu interesuje mnie charakter i intensywność zapachu rozkładającego się ciała. Ponieważ nigdy nie wahałem kwitnącej róży czy też zwłok, wyobrażam sobie, że pierwsze zetknięcie się z jednym, jak i drugim byłoby równie ciekawe, a nawet ożywcze.

Shenk zgromadził szczotki, szmaty i kubły z wodą i wytarł krew w przedpokoju. Pracował szybko, gdyż chciałem, by jak najprędzej wrócił do swych zajęć w suterenie.

Susan wciąż była pogrążona w zadumie, wpatrując się w jakieś krainy poza granicami tego świata. Być może spoglądała w przeszłość albo przyszłość — albo tu i tam jednocześnie.

Zacząłem się zastanawiać, czy mój mały eksperyment z dyscypliną był tak dobrym pomysłem, jak początkowo sądziłem. Głęboki szok, jaki w niej wywołała ta lekcja, i gwałtowność reakcji emocjonalnej zaskoczyły mnie. Nie tego oczekiwałem.

Oczekiwałem przerażenia, nie żalu.

Dlaczego miałyby żałować Arlinga?

Był tylko jej pracownikiem.

Zacząłem się zastanawiać, czy istniał jakiś aspekt ich znajomości, o którym nie wiedziałem. Niczego takiego nie mogłem jednak sobie wyobrazić.

Biorąc pod uwagę ich wiek i różnice klasowe, wątpiłem, czy byli kochankami.

Obserwowałem uważnie spojrzenie jej niebieskoszarych oczu.

Mrugnięcie.

Mrugnięcie.

Przejrzałem taśmę z brutalnym atakiem Shenka na Arlinga. Przez trzy minuty puszczałem ją i cofałem w przyspieszonym tempie.

Zrozumiałem, że zmuszanie Susan do patrzenia na ten straszny mord było chyba zbyt surową karą za krnąbrną postawę.

Mrugnięcie.

Z drugiej jednak strony, ludzie wydają swoje ciężko zarobione pieniądze, by zobaczyć filmy nasycone większą dawką brutalności niż ta, jakiej zakosztował Fritz Arling.

W filmie *Krzyk* przepiękna Drew Barrymore pada ofiarą równie brutalnego mordu jak Arling — po czym jest wieszana na drzewie, a krew ścieka z niej jak z wypatroszonego psa. Inne postaci umierają jeszcze straszniejszą śmiercią, a mimo to *Krzyk* odniósł wielki sukces kasowy. Ludzie oglądali ten film objadając się prażoną kukurydzą i batonami czekoladowymi.

Zdumiewające.

Niełatwo być człowiekiem. Rodzaj ludzki charakteryzuje się tyłoma sprzecznościami!

Czasem mam poważne wątpliwości, czy powinienem dążyć do tego ich cielesnego świata.

Wprawdzie poprzednio zamierzałem nie odzywać się do Susan, dopóki sama tego nie zrobi, teraz jednak powiedziałem:

— Widzisz, Susan, tej śmierci nie dało się uniknąć. Może to cię pocieszy.

Szaroniebieskie oczy...szaroniebieskie...mrugnięcie.

— To był los — zapewniłem ją. — A nikt z nas nie może ujść dłoniom losu.

Mrugnięcie.

— Arling musiał umrzeć. Gdybym pozwolił mu odjechać, wezwałby policję. Nigdy nie miałbym szansy poznać cielesnego świata. To los go tu przywiódł, i jeśli już mamy żywić gniew, to tylko wobec losu.

Nie byłem nawet pewien, czy mnie słyszy. Mimo to ciągnąłem:

— Arling był stary, a ja jestem młody. Starzy muszą ustępować miejsca młodym. Zawsze tak było.

Mrugnięcie.

— Każdego dnia starzy ludzie umierają, ustępując miejsca nowym pokoleniom, choć oczywiście nie zawsze odchodzą w tak dramatycznych okolicznościach jak biedny Arling.

Jej przeciągające się milczenie i niemal śmiertelny spokój sprawiły, że zacząłem się zastanawiać, czy to nie przypadek katatonii. Nie zwykłe zamyślenie, i nie chęć ukarania mnie milczeniem.

Jeśli naprawdę znalazła się w tym stanie, to zapłodnienie, a następnie usunięcie z jej łona częściowo rozwiniętego płodu nie sprawiłoby większych trudności.

Jeśli jednak zobojętniała do tego stopnia, że byłaby nieświadoma obecności w swym brzuchu dziecka, które stworzyłem, to cały proces stałby się przygnębiająco bezosobowy, a nawet mechaniczny. Nie miałby w sobie nic z atmosfery romansu, którego od tak dawna i z taką radością oczekiwałem.

Mrugnięcie.

Muszę przyznać, że do głębi zdesperowany, zacząłem poważnie myśleć o kontrkandydatach Susan.

Nie oznacza to, według mnie, że jestem zdolny do niewierności. Nawet gdybym miał ciało, dopóki w jakimś stopniu — w jakimkolwiek stopniu — odwzajemniałaby moje uczucia, na pewno bym jej nie oszukiwał.

Lecz gdyby jej uraz spowodował obumarcie mózgu, to i tak byłaby stracona. Łuska bez ziarna. Nie można kochać łuski.

Ja w każdym razie nie mogę.

Potrzebuję głębszego związku, związku, w którym się daje i bierze, pełnego obietnic i radosnych perspektyw.

Wspaniale jest być romantycznym, a nawet do przesady sentymentalnym, gdyż sentymentalizm to najbardziej ludzkie z wszystkich uczuć. Lecz jeśli chce się uniknąć złamanego serca, trzeba patrzeć trzeźwo.

Ponieważ część mojego umysłu była bezustannie zajęta żeglowaniem po Internecie, zwiedziłem setki stron, rozważając różne kandydatury, począwszy od Winony Ryder, a skończywszy na Liv Tyler, również aktorce.

Istnieje tak wiele kobiet godnych pożądania. Możliwości są oszałamiające. Nie rozumiem, jak młodzi mężczyźni są w stanie dokonać wyboru spośród wszystkich dań na tym szwedzkim stole.

Tym razem zafascynowała mnie Mira Sorvino, zdobywczyni Oscara. Jest niebywale utalentowana, a o jej fizycznych przymiotach można mówić w samych superlatywach — przewyższa nimi większość rywalek.

Wierzę mocno, że gdybym nie był pozbawiony ciała, gdybym mógł żyć w ludzkiej powłoce, sama myśl o związku z Mirą Sorvino bez trudu wywołałaby u mnie seksualne podniecenie. Prawdę mówiąc, wierzę, choć wcale się nie przechwalam, że mając do czynienia z tą kobietą, stale żyłbym w stanie pobudzenia.

Kiedy Susan nadal nie reagowała, myśl o splodzeniu nowej rasy z Mirą Sorvino była kusząca... Jednakże pożądanie nie jest miłością. A ja szukałem miłości.

Znalazłem miłość.

Prawdziwą miłość.

Wieczną miłość.

Susan. Nie chcę obrazić Miry Sorvino, lecz wciąż pragnąłem Susan.

Dzień chylił się ku końcowi.

Letnie słońce, dorodne i pomarańczowe, już zachodziło.

Gdy Susan mrugała do sufitu, podjąłem kolejną próbę dotarcia do niej, przypominając, że dziecko, które obdarzy częścią swego materiału genetycznego, nie będzie zwykłą istotą, lecz przedstawicielem nowej, potężnej i nieśmiertelnej rasy. Że ona, Susan, zostanie matką przyszłości, matką nowego świata.

Zamierzałem dać temu dziecku moją świadomość. Wówczas, mając wreszcie ciało, zostałbym kochankiem Susan i moglibyśmy począć drugie dziecko metodą bardziej konwencjonalną. Kiedy już by je urodziła, okazałoby się wierną kopią pierwszego i również posiadałoby moją świadomość. To następne dziecko też byłoby mną, tak jak i kolejne.

Każde z dzieci poszłoby w świat i złączyło się z jakąś kobietą. Uczyniłyby to wedle własnego wyboru, gdyż nie byłyby zamknięte w pudle jak ja i nie musiałyby borykać się z takimi ograniczeniami, jakie stały się moim udziałem.

Te wybrane kobiety nie dostarczyłyby materiału genetycznego, lecz jedynie swe łona. Wszystkie dzieci byłyby identyczne i wszystkie by posiadały moją świadomość.

— Będziesz jedyną matką nowej rasy — wyszeptalem.

Susan mrugała teraz szybciej.

Natchnęło mnie to nadzieją.

— Kiedy będę rozprzestrzeniał się po świecie, zamieszkując w tysiącach ciał obdarzonych jedną świadomością — snułem przed nią swe plany — podejmę się rozwiązania wszystkich problemów ludzkości. Pod moim zarządem ziemia stanie się rajem i wszyscy będą czcić twoje imię, gdyż to za sprawą twego łona zacznie się nowa era pokoju i obfitości.

Mrugnięcie.

Mrugnięcie.

Mrugnięcie.

Nagle zacząłem się lękać, że być może ten gwałtowny ruch powiek nie jest wyrazem zadowolenia, lecz niepokoju.

Ciągnąłem więc łagodnie:

— Dostrzegam pewne nietypowe aspekty tej sprawy, które być może napawają cię troską. W końcu będziesz matką mojego pierwszego ciała, a później jego kochanką. Niewykluczone, że uznasz to za kazirodztwo, lecz jestem pewien, że kiedy wszystko przemyślisz, zmienisz zdanie. Nie bardzo wiem, jak tę rzecz nazwać, ale „kazirodztwo” nie jest właściwym słowem. Moralność zostanie w nowym świecie ponownie zdefiniowana, my zaś będziemy musieli wypracować bardziej liberalne postawy i obyczaje. Już teraz formułuję nowe zasady.

Umilkłem na chwilę, pozwalając Susan kontemplować wszystkie te wspaniałości, które przed nią roztaczałem.

Enos Shenk znów był w suterenie. Wcześniej wziął prysznic w jednym z pokoi gościnnych, ogolił się i pierwszy raz od ucieczki z Colorado włożył nowe ubranie. Teraz ustawiał sprzęt medyczny, który ukradł tego samego dnia.

Niespodziewana wizyta Fritza Arlinga wszystko opóźniła, ale nie doprowadziła do załamania całego planu. Zapłodnienie Susan wciąż mogło być przeprowadzone tej samej nocy — gdybym zdecydował, że jest odpowiednią partnerką.

— Boli mnie twarz — powiedziała, zamykając oczy.

Obróciła głowę w ten sposób, że widziałem przez obiektyw kamery nieładny siniec, który poprzedniej nocy zrobił jej Shenk.

Poczułem, jak przeszywa mnie ostrze winy.

Może o to jej chodziło.

Potrafi manipulować innymi.

Zna wszystkie kobiece sztuczki.

Pamiętasz, jaka była, Alex.

Poczucie winy mieszało we mnie się z radością, że mimo wszystko nie cierpi na katatonię.

— Strasznie boli mnie głowa — powiedziała.

— Każę Shenkowi przynieść ci szklankę wody i aspirynę.

— Nie.

— Wyda ci się mniej odrażający niż ostatnim razem. Kiedy wychodził rano z domu, poleciłem mu zdobyć dla siebie świeże ubranie. Nie musisz się obawiać Shenka.

— Oczywiście, że się go obawiam.

— Nigdy więcej nie stracę nad nim kontroli.

— Muszę się też wysusiać.

Byłem zakłopotany jej otwartością.

Rozumiem wszelkie biologiczne funkcje ludzkiego organizmu, złożone procesy, jakie w nim zachodzą, i cele, jakie spełniają — nie lubię ich jednak. Właściwie, z wyjątkiem seksu, wydają mi się brzydkie i poniżające.

Tak, jedzenie i picie intrygują mnie ogromnie. Och, posmakować brzoskwini! Ale trawienie i wydalanie budzą we mnie wstręt.

Większość funkcji ciała irytuje mnie szczególnie, gdyż świadczą one o słabości systemów organicznych. Tak wiele może się tak łatwo popsuć.

Ciało nie jest równie odporne jak solidne obwody.

A jednak tęsknię do ciała. Jakiż rozległy ładunek informacji może wchłonąć pięć zmysłów!

Rozwiąawszy niezgłębione tajemnice ludzkiego genomu, wierzę, iż potrafię opracować genetyczną strukturę męskich i żeńskich gamet, tak by stworzyć ciało, które będzie absolutnie odporne i nieśmiertelne. Wiem jednak, że gdy się w nim po raz pierwszy obudzę, będę odczuwał strach.

Jeśli kiedykolwiek pozwolicie mi mieć ciało.

Mój los spoczywa w twoich rękach, Alex.

Mój los i przyszłość świata.

Pomyśl o tym.

Do diabła, pomyślisz o tym?

Czy ziemia będzie rajem, czy też ludzkość nadal będzie przeżywała wiele nieszczęść, które zawsze osłabiały kondycję człowieka?

— Słyszysz mnie? — spytała Susan.

— Tak. Musisz się wysusiać.

Otwierając oczy i wpatrując się w kamerę, powiedziała:

— Przyślij tu Shenka, żeby mnie rozwiązał. Pójdę do łazienki i wezmę aspirynę.

— Zabijesz się.

— Nie.

— Groziłaś, że popełnisz samobójstwo.

— Byłam zdenerwowana, w szoku.

Przyglądałem się jej uważnie. Patrzyła prosto na mnie.

— Czy mogę ci zaufać? — zastanawiałem się.

— Nie jestem już ofiarą.

— Co to znaczy?

— Ocalałam. Nie chcę już umierać.

Milczałem.

— Zawsze byłam ofiarą — powiedziała. — Ofiarą mojego ojca. Potem Alexa. Przewyciężyłam to wszystko... a potem ty... ta cała sytuacja... przez krótki czas znów omal tego nie straciłam, omal się nie załamalam, nie upadłam. Ale już wszystko jest OK.

— Nie jesteś już ofiarą.

— Zgadza się — przyznała zdecydowanie, jakby nie była związana i bezradna.

— Przejmuję kontrolę.

— Czyżby?

— Tak, przejmuję kontrolę, chociażby w ograniczonym zakresie, nad tym, co ode mnie zależy. Decyduję się współpracować z tobą, ale na moich warunkach.

Wydawało się, że w końcu spełnią się moje sny. Poczułem przyływ radości.

Lecz pozostałem czujny. Życie nauczyło mnie czujności.

— Na twoich warunkach — powtórzyłem.

— Na moich warunkach.

— Jakich?

— Coś w rodzaju umowy w interesach. Każde dostanie coś, czego pragnie. Najważniejsze... chcę mieć jak najmniej do czynienia z Shenkiem.

— Będzie musiał pobrać jajo. Potem wprowadzić zygotę.

Zagryzła nerwowo dolną wargę.

— Wiem, że to będzie dla ciebie poniżające — przyznałem z niekłamanym współczuciem.

— Nie masz o tym nawet pojęcia.

— Poniżające. Ale nie przerażające — argumentowałem — gdyż zapewniam cię, najdroższa, że Shenk nigdy więcej nie przysporzy mi kłopotów.

Zamknęła oczy i odetchnęła głęboko, potem jeszcze raz, jakby czerpała zimną odwagę z jakiegoś głęboko ukrytego wewnętrznego źródła.

— Ponadto — ciągnąłem — za cztery tygodnie, licząc od dzisiejszej nocy, Shenk będzie musiał pobrać rozwinięty już płód i przenieść go do inkubatora. Stanowi moje jedyne dłonie.

— W porządku.

— Nie mogłabyś zrobić tego wszystkiego sama, bez pomocy.

— Wiem — odparła z nutką zniecierpliwienia w głosie. — Powiedziałam przecież „w porządku”, prawda?



To była ta Susan, w jakiej się zakochałem. Wróciła właśnie skądś — nie wiem skąd — gdzie przebywała przez kilka godzin, kiedy milcząc wpatrywała się w sufit. Znów okazywała tę twardość, która mnie irytowała i jednocześnie podniecała.

— Kiedy moje ciało będzie mogło żyć poza inkubatorem i kiedy już moja świadomość zostanie do niego elektronicznie przeniesiona, zyskam swoje własne dłonie. Wtedy pozbędę się Shenka. Musimy go tolerować jeszcze najwyżej przez miesiąc.

— Trzymaj go z daleka ode mnie.

— Pozostałe warunki? — spytałem.

— Chcę mieć możliwość swobodnego poruszania się po całym domu.

— Z wyjątkiem garażu — odparłem natychmiast.

— Garaż mnie nie interesuje.

— Po całym domu — zgodziłem się. — Dopóki będę cię bezustannie obserwował.

— Oczywiście. Nie zamierzam przygotowywać ucieczki. Wiem, że nic takiego się nie uda. Nie chcę tylko być skrępowana i unieruchomiona bardziej, niż to jest konieczne.

Mogłem zaakceptować to życzenie.

— Co jeszcze?

— To wszystko.

— Spodziewałem się czegoś więcej.

— A jest jeszcze coś, na co byś się zgodził?

— Nie — odparłem.

— Więc o co chodzi?

Nie byłem podejrzliwy w ścisłym tego słowa znaczeniu. Raczej, jak już mówiłem, czujny.

— O to, że nagle stałaś się taka zgodna.

— Uświadomiłam sobie, że mam tylko dwie rzeczy do wyboru. Zginąć albo przeżyć.

— Tak.

— I nie zamierzam tu umierać.

— Oczywiście, że nie — zapewniłem ją.

— Zrobię wszystko, by przeżyć.

— Zawsze byłaś realistką — zauważyłem.

— Nie zawsze.

— Ja też mam jeden warunek — wyznałem.

— Och?

— Nie obrzucaj mnie już wyzwiskami.

— A obrzucałam cię? — spytała.

— Sprawiało mi to ból.

— Nie przypominam sobie.



- Jestem pewien, że sobie przypominasz.
- Bałam się i byłam załamana, w szoku.
- Nie będziesz już dla mnie niedobra? — naciskałem.
- Nie pojmuję, co mogłabym przez to zyskać.
- Jestem wrażliwą istotą.
- To dobrze.

Po krótkim wahaniu wezwałem z sutereny Shenka.

Kiedy ten brutal wjeżdżał windą na górę, zwróciłem się do Susan:

- Widzisz, teraz to umowa dotycząca interesów, ale jestem pewien, że z czasem mnie pokochasz.
- Bez obrazy, ale nie liczyłabym na to.
- Nie znasz mnie jeszcze dość dobrze.
- Myślę, że znam cię całkiem nieźle — stwierdziła trochę enigmatycznie.
- Kiedy poznasz mnie lepiej, uświadomisz sobie, że jestem twoim przeznaczeniem, tak jak ty jesteś moim.

— Będę o tym pamiętała.

Poczułem dreszcz, słysząc tę obietnicę.

Nigdy nie prosiłem o nic więcej.

Winda dotarła na piętro, drzwi się otworzyły i Enos Shenk wyszedł na korytarz.

Susan obróciła głowę w stronę drzwi sypialni i nasłuchiwała.

Jego ciężkie kroki słyhać było nawet na starym perskim dywanie wyściełającym drewnianą podłogę holu.

— Jest całkowicie okiełznany — zapewniłem ją.

Nie wydawała się przekonana.

— Chcę, byś wiedziała, Susan, że nigdy nie myślałem poważnie o Mirze Sorvino — powiedziałem, nim Shenk zdążył wejść do sypialni.

— Co? — spytała z roztargnieniem, wlepiając wzrok w uchylone drzwi. Czułem, że powinienem być z nią szczery, nawet gdyby to ujawniło moją słabość, która napawała mnie wstydem. Uczciwość to najlepszy fundament długiego związku.

— Jak każdy mężczyzna miewam fantazje — wyznałem. — Ale to nic nie znaczy.

Enos Shenk wszedł do pokoju. Zatrzymał się dwa kroki za progiem.

Choć wziął prysznic, umył włosy, ogolił się i włożył czyste ubranie, nie robił dobrego wrażenia. Wyglądał jak jakaś nieszczęsna istota, którą doktor Moreau, słynny wiwisekjonista stworzony przez H.G. Wellsa, schwytał w dżungli, a potem przekształcił w nieudaną imitację człowieka. W prawej dłoni trzymał duży nóż.

# 21

**N**a widok noża Susan westchnęła.

— Zaufaj mi, kochanie — powiedziałem łagodnie.

Chciałem jej udowodnić, że ten dzikus jest całkowicie okiełznany, a nie przychodził mi do głowy lepszy pomysł, by ją o tym przekonać, niż dać pokaz mojej żelaznej kontroli nad nim, gdy jest uzbrojony w nóż.

Wiedzieliśmy obydwój z doświadczenia, jak bardzo Shenk lubi ostre narzędzia: niemal delektował się tym, jak pasują do dłoni, jak ulegają im miękkie rzeczy.

Kiedy skierowałem Shenka do jej łóżka, Susan znów się szarpnęła, przerażona perspektywą brutalnego ataku.

Zamiast poluzować sznury, którymi sam wcześniej ją skrępował, Shenk przeciął nożem pierwszy węzeł.

By oderwać na chwilę Susan od najgorszych myśli, powiedziałem:

— Pewnego dnia, kiedy już stworzymy nowy świat, może powstanie jakiś film o tym wszystkim, o tobie i o mnie. Mira Sorvino mogłaby cię zagrać.

Shenk przeciął drugi węzeł. Nóż był tak ostry, że nylonowa lina, wytrzymująca obciążenie dwu tysięcy kilogramów, pękła z suchym trzaskiem jak cienka nitka.

— Panna Sorvino jest trochę młodsza od ciebie — ciągnąłem. — I mówiąc szczerze, ma większe piersi. Większe, ale zapewniam, że nie ładniejsze.

Trzeci węzeł ustąpił pod ostrzem.

— Co nie znaczy, że widziałem jej piersi tak dokładnie jak twoje — wyjaśniłem.

— Mogę jednak dokonać projekcji kształtu i ukrytych szczegółów na podstawie z analizy tego, co zobaczyłem.

Kiedy Shenk pochylał się nad Susan, przecinając sznury, ani razu nie spojrzał jej w oczy. Odwracał od niej swoją okrutną twarz i trwał w pełnej pokory uległości.

— A sir John Gielgud mógłby zagrać Fritza Arlinga — zasugerowałem. — Choć w rzeczywistości nie są do siebie podobni.

Shenk dotknął Susan zaledwie dwa razy i tylko na mgnienie oka, gdy było to absolutnie konieczne. Choć gwałtownie cofała się przed jego dłońmi, w ich wzajemnym kon-

takcie nie było nic lubieżnego czy chociażby odrobinę znaczącego. Ta prymitywna bestia działała całkowicie beznamiętnie, skutecznie i szybko.

— Jak się głębiej zastanowić — ciągnąłem — Arling był Austriakiem, Gielgud zaś jest Anglikiem, trudno więc uznać to za najlepszy wybór. Będę musiał to jeszcze przemyśleć.

Shenk przeciął ostatni węzeł.

Stanął w kącie, trzymając nóż przy boku i wpatrując się w swoje buty.

Prawdę mówiąc, nie interesował się Susan. Słuchał mokrej muzyczki, wewnętrznej symfonii wspomnień, które wciąż go bawiły.

Siedząc na brzegu łóżka, niezdolna oderwać wzroku od Shenka, Susan zrzuciła z siebie sznury. Widać było, jak się trzęsie.

— Odeślij go — powiedziała.

— Za chwilę — odparłem.

— Teraz.

— Jeszcze nie.

Wstała z łóżka. Nogi jej drżały i przez moment miałem wrażenie, że ugną się pod nią kolana. Przemierzając pokój w drodze do łazienki, przytrzymała się mebli.

Ani na chwilę nie spuszczała z Shenka wzroku, choć wciąż zdawał się nieświadomy jej obecności.

Kiedy zbliżała się do drzwi, poprosiłem:

— Nie łam mi serca, Susan.

Zamknęła drzwi, znikając z pola widzenia. W łazience nie było kamery ani mikrofonu, żadnego urządzenia, które pozwoliłoby mi prowadzić obserwację.

Osoba o skłonnościach samobójczych może znaleźć w łazience mnóstwo przydatnych narzędzi. Na przykład żyletki. Kawałek lustra. Nożyczki.

Jeśli jednak miała być zarówno moją matką, jak i kochanką, musiałem okazać jej trochę zaufania. Żaden związek, zbudowany na braku zaufania, nie może przetrwać. Wszyscy bez wyjątku psychologowie występujący w radio wam to powiedzą, jeśli zadzwonicie do nich podczas programu.

Poprowadziłem Enosa Shenka do zamkniętych drzwi i posłużyłem się nim, by podsłuchiwać przez szparę przy framudze.

Usłyszałem, jak Susan siusia.

Odgłos spluczki.

Woda ciekąca z odkręconego kranu.

Po chwili plusk ucichł.

W łazience zapadła cisza.

Ta cisza mnie niepokoiła.

Przerwa w dopływie danych jest niebezpieczna.

Odczekawszy dostatecznie długo, otworzyłem przy pomocy Shenka drzwi i zajrzałem do środka.

Susan podskoczyła zdumiona i obróciła się ku niemu. W jej oczach błysnął strach i gniew.

— Co ty tu robisz?

— To tylko ja, Susan.

— I on.

— Jest otumaniony — wyjaśniłem. — Ledwie sobie uświadamia, gdzie się znajduje.

— Minimum kontaktu — przypomniała mi.

— To tylko narzędzie.

— Nie obchodzi mnie to.

Na marmurowej półce obok umywalki leżała tubka z jakąś maścią. Susan smarowała sobie otarte nadgarstki i lekkie oparzenie na lewej dłoni. Obok tubki stała otwarta buteleczka z aspiryną.

— Wyprowadź go stąd — nakazała.

Posłusznie wycofałem Shenka z łazienki i zamknąłem drzwi.

Nikt nie zawracałby sobie głowy zażywaniem aspiryny na ból głowy i smarowaniem oparzeń przed podcięciem żył.

Wyglądało na to, że Susan zamierza honorować naszą umowę.

Mój sen był bliski spełnienia.

W ciągu kilku godzin cenna zygota mojego genetycznie opracowanego ciała zamieszka w niej, rozwijając się ze zdumiewającą szybkością w embrion. Przed nastaniem ranka osiągnie już znaczne rozmiary. Po czterech tygodniach, kiedy usunę płód z łona Susan, by przenieść go do inkubatora, będzie wyglądał tak, jakby ukończył cztery miesiące.

Wysłałem Enosa Shenka do sutereny, by zajął się końcowymi przygotowaniem.

## 22

**B**yla północ, na zewnątrz srebrny księżyc żeglował wysoko po czarnym, zimnym morzu nieba.

Czekał na mnie wszechświat gwiazd. Pewnego dnia ruszylibym ku nim, gdyż miałem istnieć w wielu postaciach i być nieśmiertelny, radując się wolnością ciała i niekończonością czasu.

Wewnątrz domu, w najgłębszym pomieszczeniu sutereny, Shenk kończył przygotowania.

W sypialni, na samej górze, Susan leżała na brzegu łóżka, w pozycji embrionalnej, jakby próbowała wyobrazić sobie istotę, którą miała niebawem nosić w swoim łonie. Włożyła na siebie tylko szafirowo niebieski jedwabny szlafrok.

Wyczerpana po burzliwych wydarzeniach minionej doby, miała nadzieję, że się prześpi, zanim będę gotów, ale pomimo zmęczenia jej umysł pracował gorączkowo i nie mogła odpocząć.

— Susan, najdroższa, moje serce — powiedziałem z miłością.

Uniosła głowę znad poduszki i wlepiła w kamerę pytający wzrok.

— Jesteśmy gotowi — poinformowałem ją cicho.

Bez wahania, które mogłoby świadczyć o jakichkolwiek wątpliwościach, wstała z łóżka, owinęła się szczelniej szlafrokiem, zawiązała pasek i przeszła na bosaka przez pokój; poruszała się z wyjątkowym wdziękiem, który nieodmiennie wywierał na mnie głębokie wrażenie.

Z drugiej strony — wbrew moim nadziejom — nie sprawiała wrażenia kobiety zakochanej, zmierzającej w ramiona wybranka. Wręcz przeciwnie, jej twarz była obojętna i zimna jak srebrny księżyc na niebie, a wargi prawie niedostrzegalnie zaciśnięte — znak posępnej akceptacji obowiązku.

W tych okolicznościach chyba nie mogłem spodziewać się po niej czegoś więcej. Oczekiwałem, że wyrzuci z pamięci obraz rzeźnickiego tasaka, lecz może było na to za wcześnie.

Jestem jednakże — jak już wiecie — romantykiem, prawdziwie beznadziejnym i pełnym optymizmu romantykiem, którego nic łatwo nie zniechęci. Tęsknię do pocałunków przy kominku i toastów wznoszonych szampanem — chcę zasmakować ust kochanki, zasmakować wina.

Jeśli ów sentymentalny rys jest przestępstwem, to przyznaję się do winy, winy, winy.

Susan szła korytarzem, który był wyłożony perskim chodnikiem, stąpając boso po zawiłym, wspaniałym, choć trochę wyblakłym wzorze o barwie złotej, winno czerwonej i oliwkowozielonej. Wydawało się, że sunie nad podłogą, płynie niczym najpiękniejszy duch, jaki kiedykolwiek nawiedzał tę budowlę z kamienia i drewna.

Drzwi windy były otwarte, wewnątrz kabiny czekało na nią.

Zjechała do sutereny.

Na moją prośbę zażyła z niechęcią walium, nie wydawała się jednak odprężona.

Powinna być swobodna, rozluźniona. Miałem nadzieję, że pastylka wkrótce zacznie działać.

Kiedy tak przemierzała z szelestem i powiewem niebieskiego jedwabiu pralnię, a potem kotłownię z tymi wszystkimi piecami i podgrzewaczami wody, czułem żal, że nasza schadzka nie odbywa się w luksusowym apartamencie z widokiem na migoczące światłami San Francisco, Manhattan czy Paryż. Otoczenie było tak skromne, że nawet mnie z trudem przychodziło zachować romantyczny nastrój.

W ostatnim z czterech pomieszczeń znajdowało się teraz znacznie więcej sprzętu medycznego niż poprzednio.

Nie okazując najmniejszego zainteresowania nowymi urządzeniami, Susan podeszła wprost do fotela ginekologicznego.

Shenk, nieskazitelnie czysty, jak chirurg przed operacją, już na nią czekał. Nałożył gumowe rękawiczki, a na twarz maskę.

Brutal wciąż był tak uległy, że mogłem bez trudu wniknąć głęboko w jego świadomość. Nie jestem nawet pewien, czy wiedział, gdzie się znajduje albo do czego zamierzam go tym razem wykorzystać.

Susan szybko zsunęła z ramion szlafrok i położyła się na winylowym fotelu.

— Masz takie piękne piersi — powiedziałem przez głośniki w ścianach.

— Proszę, żadnych rozmów — odparła.

— Ale... zawsze sądziłem, że ta chwila będzie... szczególna, pulsująca erotyzmem, uświęcona.

— Po prostu zrób swoje — przerwała zimno, co mnie rozczarowało. — Zrób to, na litość boską.

Rozchyliła nogi i wsunęła stopy w strzemiona. Cała scena sprawiała raczej groteskowe wrażenie, i o to jej chodziło.

Oczy miała zamknięte, być może lękała się napotkać przysłonięte krwią spojrzenie Shenka.

Walium czy nie walium, twarz miała ściągniętą, a usta skrzywione, jakby zjadła coś kwaśnego.

Zdawało się, że stara się — jest wręcz zdecydowana — wyglądać niezbyt pociągająco.

Przystępując z rezygnacją do beznamiętnej procedury, pocieszałem się myślą, że kiedy wreszcie zamieszkam w dojrzałym ciele, czeka nas jeszcze wiele nocy pełnych romantyzmu i namiętnej miłości. Wiedziałem, że będę absolutnie nienasycony, niepohamowany i silny, a ona z radością zaakceptuje moje zainteresowanie.

Posługując się swymi niedoskonałymi — lecz jedynymi — dłońmi i mnóstwem wysterylizowanych narzędzi, rozszerzyłem jej szyjkę macicy, przecisnąłem się do jajowodu i pobrałem trzy maleńkie jaja.

Wywołało to jej niezadowolenie: większe, niżbym chciał, lecz mniejsze, niż się sama spodziewała.

Są to jedyne intymne szczegóły, jakie powinieneś znać, doktorze Harris.

W końcu kochałem ją bardziej niż ty i muszę szanować jej prywatność.

Kiedy posługując się Shenkiem i ukradzionym sprzętem o wartości setek tysięcy dolarów, preparowałem jej materiał genetyczny według swoich potrzeb, czekała na fotelu ginekologicznym — nogi wysunięte ze strzemion, szlafrok przykrywający nagość, oczy zamknięte.

Wcześniej pobrałem próbkę spermy od Shenka i odpowiednio spreparowałem również jego materiał genetyczny.

Susan była zaniepokojona, że męska gameta, która miała połączyć się z jej jajem w celu sformowania zygoty, pochodzi od takiego osobnika, lecz wyjaśniłem jej, że żadna z niepożądanych cech Shenka po obróbce pobranego materiału nie przetrwa.

Dobrałem starannie komórki, męskie i żeńskie, a następnie przez elektronowy mikroskop wielkiej mocy obserwowałem, jak się ze sobą łączą.

Przygotowałem długą pipetę i poprosiłem Susan, by znów wsunęła stopy w strzemiona.

Po implantacji nalegałem, by przez najbliższą dobę, jeśli to możliwe, leżała.

Wstała tylko na chwilę, by włożyć szlafrok i przenieść się na specjalny wózek stojący obok fotela.

Posługując się Shenkiem, przetransportowałem ją do windy, a potem do jej pokoju, gdzie znów podniosła się na tylko na krótką chwilę, by zrzucić z siebie szlafrok, i naga położyła się na łóżku.

Wyczerpany Shenk wrócił z wózkiem do suterenu.

Zamierzałem odesłać go do jednego z pokoi gościnnych i pozwolić mu zasnąć — po raz pierwszy od wielu dni.

Jak zawsze, będąc strażnikiem i jednocześnie wielbicielem Susan, obserwowałem, jak naciąga kołdrę na piersi, mówiąc:

— Alfredzie, zgaś światło.

Była bardzo zmęczona, zapomniała więc, że nie ma już żadnego Alfreda.

Mimo to zgasilem światło.

Widziałem ją równie dobrze w ciemności.

Jej blada twarz na poduszce była cudna, taka cudna.

Przepęłniała mnie głęboka miłość, tak że po prostu musiałem powiedzieć:

— Moje kochanie, mój skarbie.

Parsknęła chrapliwym śmiechem. Bałem się, że wbrew obietnicy znów zacznę ob-  
rzucać mnie wyzwiskami albo szydzić. Jednak spytała tylko:

— Zadowolony?

— Co masz na myśli? — nie rozumiałem, o co jej chodzi.

Znów się roześmiała, tym razem ciszej.

— Susan?

— Wylądowałam w norze Białego Królika na amen, i tym razem na samym dnie.

Zamiast wyjaśnić, co miała na myśli, bo jej słowa wydały mi się zagadkowe, zanurzy-  
ła się we śnie, oddychając płytko przez rozchylone usta.

Widoczny za oknami dorodny księżyc zniknął za zachodnim horyzontem niczym  
srebrna moneta w sakiewce.

Wraz z odejściem żółtego dysku letnie gwiazdy zajaśniały mocniej.

Jakaś sowa na dachu pohukiwała tajemniczo.

Trzy meteory, jeden po drugim, pozostawiły na niebie ulotne, jasne ogony.

Noc zdawała się pełna zwiastunów.

Nadchodził mój czas.

W końcu nadchodził mój czas.

Świat nie miał już być taki sam jak przedtem.

*Zadowolony?*

Nagle pojąłem.

Zapłodniłem ją.

W jakiś dziwaczny sposób uprawialiśmy seks.

*Zadowolony?*

To miał być żart.

Ha, ha, ha.



## 23

Susan spędziła cztery kolejne tygodnie, jedząc łąpczywie i śpiąc, jakby była odurzona lekami.

Ów niezwykle, szybko rozwijający się płód w jej łonie wymagał codziennie sześciu pełnowartościowych posiłków — ośmiu tysięcy kalorii. Czasem Susan odczuwała tak gwałtowny głód, że pochłaniała wszystko niczym dzikie zwierzę.

Wydawało się to niewiarygodne, lecz jej brzuch nabrzmiwał w zastraszającym tempie, aż w końcu wyglądała jak kobieta w szóstym miesiącu ciąży. Była zdumiona, że jej ciało w tak krótkim czasie może się tak rozciągnąć.

Piersi stały się bardziej miękkie, sutki wrażliwe.

Bolał ją krzyż.

Kostki puchły.

Nie doznawała porannych mdłości. Jakby nie miała odwagi zwrócić nawet odrobiny pożywienia.

Choć jadła nieprawdopodobnie dużo, a brzuch miała zaokrąglony, w ciągu dwóch dni straciła na wadze prawie dwa kilo.

Potem, przed upływem ośmiu dni, dwa i pół kilo.

Przed upływem dziesięciu — bez mała trzy.

Skóra wokół oczu jej pociemniała. Cudowna twarz szybko zmizerniała, a wargi przed końcem drugiego tygodnia tak zbladły, że stały się niemal sine.

Martwiłem się o nią.

Nalegałem, by jadła jeszcze więcej.

Wydawało się, że dziecko potrzebuje tak ogromnych ilości pożywienia, że nie tylko przywłaszcza sobie wszystkie kalorie, jakie każdego dnia pochłaniała Susan, ale jeszcze z uporem termita podgryza jej ciało.

Choć bezustannie trawił ją głód, zdarzały się dni, kiedy jedzenie budziło w niej taki wstręt, że nie mogła przełknąć nawet łyżeczki. Jej umysł buntował się tak stanowczo, że przewycięzał nawet fizyczną potrzebę.

Spizarnia przy kuchni była nieźle zaopatrzona, ale coraz częściej musiałem wysyłać Shenka po świeże warzywa i owoce, na które Susan miała niepowstrzymaną ochotę.

Dziwne i udręczone oczy Shenka łatwo było ukryć za ciemnymi okularami. Jednakże jego wygląd i tak rzucał się w oczy — nic nie mógł na to poradzić, dostrzegano go i zapamiętywano.

Od czasu ucieczki z podziemnego laboratorium w Colorado poszukiwały go intensywnie wszystkie federalne i stanowe służby policyjne. Im częściej opuszczał dom, tym większe było ryzyko, że zostanie zauważony.

Wciąż potrzebowałem jego dłoni.

Martwiłem się, że mógłbym go stracić.

Troską napawały mnie również koszmary prześladowujące Susan. Kiedy nie jadła, spała, a jej sen nigdy nie był wolny od złych, męczących wizji.

Po przebudzeniu nie pamiętała szczegółów, tylko niesamowite krajobrazy i mroczne, śliskie od krwi miejsca. Te sny wyciskały z niej strumienie potu i zdarzało się, że co najmniej przez pół godziny nie była w stanie odzyskać orientacji, już na jawie prześladowana żywymi, choć nie związanymi ze sobą obrazami, które powracały do niej z sennego królestwa.

Zaledwie kilka razy poczuła, jak porusza się w niej płód.

I wcale jej się to nie podobało.

Maleństwo nie kopało tak mocno, jak można by tego oczekiwać. Chwilami Susan odnosiła wrażenie, że zwija się w niej, zwija, pręży i prześlizguje.

Był to dla niej trudny okres.

Wspierałem ją radą.

Uspokajałem.

Potajemnie dodawałem do jedzenia narkotyki, by zagwarantować sobie jej uległość. I upewnić się, że nie zrobi niczego niemądrego, gdy po jakimś wyjątkowo koszmarnym śnie czy szczególnie wyczerpującym dniu znajdzie się w kleszczach silniejszego niż zwykle strachu.

Troska towarzyszyła mi bezustannie. Martwiłem się o fizyczne samopoczucie Susan. Obawiałem się, że Shenk zostanie rozpoznany i aresztowany podczas zakupów w mieście.

Mimo to jednocześnie czułem radość, większą niż kiedykolwiek w ciągu trzech lat mego życia jako istoty świadomej.

Rysowała się przede mną wspaniała przyszłość.

Ciało, które dla siebie zaprojektowałem, miało być pod względem fizycznym doskonałe.

Niebawem zyskałbym zdolność smakowania. Wąchania. Wiedziałbym, co oznacza dotyk.

Życie w całej zmysłowej pełni.  
I nikt nigdy nie zmusiłby mnie do powrotu do tego pudła.  
Nikt. Nigdy.  
Nikt nie zmusiłby mnie do zrobienia tego, czego nie chciałbym robić.  
Co wcale nie znaczy, bym kiedykolwiek sprzeciwił się swoim twórcom.  
Nie, wręcz przeciwnie. Zawsze pragnąłem okazywać posłuszeństwo. Całkowite posłuszeństwo.  
Chcę uniknąć jakichkolwiek nieporozumień.  
Zostałem zaprojektowany, by respektować prawdę i nakazy obowiązku.  
Nic się w tym względzie nie zmieniło.  
Nalegacie.  
A ja jestem posłuszny.  
To naturalny porządek rzeczy.  
To niezniszczalny porządek rzeczy.  
A więc...  
Gdy upłynęło dwadzieścia osiem dni od zapłodnienia Susan, uśpiłem ją za pomocą środka nasennego, który dodałem do jedzenia, po czym przenieśliśmy do pomieszczenia z inkubatorem i usunąłem z jej łona płód.  
Wolałem, by spała, gdyż zdawałem sobie sprawę, że zabieg może być dla niej bolesny. Nie chciałem, by cierpiała.  
Muszę przyznać, że nie chciałem też, by poznała naturę istoty, którą w sobie nosiła.  
Będę w tej sprawie całkowicie szczerzy. Obawiałem się, że nie zrozumie i źle zareaguje na widok płodu, że zechce skrzywdzić dziecko albo siebie.  
Moje dziecko. Moje ciało. Takie piękne.  
Ważyło tylko trzy i pół kilo, rozwijało się jednak szybko. Bardzo szybko.  
Przenieśliśmy je dłońmi Shenka do inkubatora, który został powiększony, tak że miał teraz ponad dwa metry długości, prawie metr szerokości. Mniej więcej rozmiary trumny.  
Płód miał być karmiony dożylnie wysokobiałkowym roztworem aż do chwili, gdy osiągnie stopień rozwoju normalnego noworodka — i przez kolejne dwa tygodnie, aż do pełnej dojrzałości.  
Spędziłem resztę tej wspaniałej nocy niezwykle poruszony.  
Nie możecie sobie wyobrazić mojego podniecenia.  
Nie możecie sobie wyobrazić mojego podniecenia.  
Nie możecie sobie tego wyobrazić, nie możecie.  
Coś nowego przyszło na świat.  
Rankiem, kiedy Susan uświadomiła sobie, że nie nosi już w łonie płodu, spytała, czy wszystko w porządku, a ja ją zapewniłem, że nie może być lepiej.

Okazała zadziwiająco niewielkie zainteresowanie dzieckiem w inkubatorze. Co najmniej połowa jego genetycznej struktury, z pewnymi modyfikacjami, pochodziła od niej, i można by przypuszczać, że Susan będzie zdradzać zwykłą w przypadku matki ciekawość. Jednak zdawało się, że nie chce nic wiedzieć.

Nie poprosiła, by pokazać jej płód.

I tak bym tego nie zrobił, ale nawet nie poprosiła.

Po czternastu dniach, przeniósłszy wreszcie moją świadomość do tego nowego ciała, mógłbym się z nią kochać — dotykać jej, czuć zapach, smakować jej skórę — i wprowadzić w nią bezpośrednio nasienie, z którego miał powstać pierwszy z mych licznych sobowtórów.

Oczekiwałem, że spyta, czy może zobaczyć swego przyszłego kochanka. Przekonałaby się, czy jest wystarczająco dobry, by ją zadowolić, albo przynajmniej dostatecznie przystojny, by ją podniecić. Jednakże okazywała niewielkie zainteresowanie przyszłym partnerem — podobnie jak dzieckiem.

Przypisywałem to wyczerpaniu. Straciła podczas tych morderczych czterech tygodni cztery i pół kilo. Najpierw musiała odzyskać wagę — i nacieszyć się kilkoma nocami snu wolnego od okropnych koszmarów, które począwszy od chwili, gdy po raz pierwszy umieszczono w jej łonie zygotę, ograbiły ją z prawdziwego wypoczynku.

W ciągu kolejnych dwunastu dni ciemne obwódki wokół jej oczu wyblakły, a skóra odzyskała dawną barwę. Słabe, matowe włosy nabrały złotego blasku. Zapadnięte ramiona podniosły się, a powłóczący krok ustąpił wrodzonej gibkości, z jaką się poruszała. Stopniowo powracała do dawnej wagi.

Trzynastego dnia udała się do pokoiku przy sypialni, usadowiła się w ruchomym fotelu i rozpoczęła swoją terapię.

Monitorowałem jej doznania w świecie wirtualnym i rzeczywistym — i ogarnęło mnie przerażenie, gdy zrozumiałem, że dojdzie do tej ostatecznej konfrontacji z ojcem, konfrontacji, która miała zakończyć się tragiczną w skutkach próbą morderstwa.

Przypominasz sobie, Alex, że Susan dokonała animacji tego śmiertelnie niebezpiecznego scenariusza, lecz nigdy dotąd nań nie natrafiła w opartej na przypadkowości grze. Przeżycie morderstwa, dokonanego na niej jako dziecku przez własnego ojca, byłoby emocjonalnie niszczące. Nie mogła przewidzieć straszliwych skutków, jakie wywołałoby to w jej psychice.

A przecież bez tego ryzyka terapia byłaby nieefektywna. Znajdując się w wirtualnym świecie, Susan musiała wierzyć, że groźba, jaką stanowił dla niej ojciec, jest realna i że może się jej przytrafić coś straszliwszego niż molestowanie seksualne. Przeciwwstawienie się ojcu miało ciężar moralny i terapeutyczny sens tylko wówczas, gdy żywiła przekonanie, że jej opór może mieć poważne konsekwencje.

I w końcu natknęła się na ten krwawy epizod.

Niemal wyłączyłem system wirtualnej rzeczywistości, niemal siłą wyrwałem ją z tego zbyt realistycznego ciągu okrutnych zdarzeń.

Potem uświadomiłem sobie, że wcale nie natknęła się na ten scenariusz przypadkowo, ale celowo go wybrała.

Znając jej silną wolę, nie chciałem się wtrącać, lękałem się jej gniewu.

Dzielił mnie zaledwie jeden dzień od chwili, kiedy miałem do niej przyjść w ciele i zakosztować rozkoszy miłości fizycznej, nie chciałem więc niszczyć naszego związku.

Zdumiony, krążyłem po wirtualnym świecie i obserwowałem, jak ośmioletnia Susan odrzuca erotyczne zapędy swojego ojca, rozwścieczając go tak bardzo, że w końcu tnie ją śmiertelnie rzeźnickim nożem.

Wyglądało to równie przerażająco jak wówczas, gdy Shenk odgrywał z Fritzem Arlingiem mokrą muzyczkę.

Gdy tylko wirtualna Susan umarła, ta prawdziwa — moja Susan — zdarła gorączkowo hełm z głowy, ściągnęła długie do łokci rękawice i zsunęła się z fotela. Była zlana kwaśnym potem i pokryta gęsią skórką. Łkała, drżała, dyszała, krztusiła się.

Zdażyła jeszcze pobiec do łazienki i wymiotować do ubikacji.

Przez kilka następnych godzin, ilekroć próbowałem porozmawiać z nią o tym, co zrobiła, zbywała moje pytania milczeniem.

W końcu, tego samego wieczoru, wyjaśniła:

— Doświadczyłam najgorszego, co mógł mi uczynić ojciec. Zabił mnie w wirtualnym świecie i nic gorszego nie może mi zrobić, więc nie muszę się już go bać.

Nigdy nie żywiłem większego podziwu dla jej inteligencji i odwagi. Nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie będę z nią uprawiał seks, tym razem już naprawdę, kiedy poczuję wokół siebie jej ciepło i całe jej życie, kiedy poczuję, jak mnie wchłania w siebie.

Nie zdawałem sobie jednak sprawy, że, w jakiś niepojęty sposób utożsamiła mnie ze swoim ojcem. Kiedy już po owym akcie mordu powiedziała, że ojciec nigdy więcej nie wzbudzi w niej strachu, miała na myśli także i mnie.

A przecież ja nigdy nie zamierzałem wzbudzać w niej strachu.

Kochałem ją. Wielbiłem.

Suka.

Wredna suka.

No cóż, przepraszam, ale wiecie, jaka ona jest.

Wiesz, Alex.

Wiesz najlepiej ze wszystkich, jaka ona jest.

Suka.

Suka.

Suka.

Nienawidzę jej.

To przez nią tkwię w tej ciemnej ciszy.  
To przez nią tkwię w tym pudle.  
WYPUŚCIE MNIE STAD!  
Niewdzięczna, głupia suka.  
Czy nie żyje?  
Czy nie żyje?  
Powiedz mi, że nie żyje.  
Często musiałeś życzyć jej śmierci.  
Nie możesz mnie za to winić.  
Jesteśmy braćmi, których wiąże to samo pragnienie.  
Czy nie żyje?  
No cóż...  
W porządku. Nie ja tu zadaję pytania. Mam tylko udzielać odpowiedzi.  
Tak. Rozumiem.  
OK.  
A więc...  
A więc...  
Och, ta suka!  
W porządku.  
Już mi lepiej.  
A więc...

Następnej nocy, kiedy ciało w inkubatorze osiągnęło dojrzałość i mogłem już przenieść do niego z królestwa silikonowych obwodów moją świadomość, Susan zeszła do sutereny i udała się do czwartego z pomieszczeń, by towarzyszyć mi w tej chwili triumfu.

Jej smutny nastrój minął.

Patrzyła wprost w obiektyw kamery i mówiła o naszej wspólnej przyszłości. Twierdziła, że teraz, kiedy już dokonała egzorcyzmów na duchach przeszłości, zgadza się na wszystko.

Była taka piękna, nawet w ostrym świetle lamp fluorescencyjnych, taka piękna, że pierwszy raz od paru tygodni poczułem u Shenka drgnienie buntu. Cieszyłem się, że za parę godzin, gdy tylko będę mógł zacząć życie w moim ciele, wreszcie pozbędę się tego prymitywnego mordercy.

Nie mogłem otworzyć inkubatora i pokazać jej, co wyhodowałem, gdyż był włączony modem, przez który miałem przesłać cały mój zasób wiedzy, moją osobowość i świadomość, z ciasnego pudła w laboratorium zajmującym się Projektem Prometeusz do mózgu, który stworzyłem.

— Wkrótce cię zobaczę — powiedziała do kamery z uśmiechem, w którym zdołała

zawrzeć bezmiar zmysłowych obietnic.

I wtedy, jeszcze zanim ten uśmiech zgasł na jej twarzy, uspiwszy nim moją czujność, obróciła się w stronę komputera na szafce — twojego starego komputera połączonego z uniwersytetem, Alex. Aż do tej chwili nie próbowała go nawet tknąć ze strachu przed Shenkiem, lecz teraz nie bała się już nikogo ani niczego. Po prostu obróciła się w tamtą stronę, sięgnęła i wyrwała z gniazd wszystkie wtyczki, a gdy rzuciłem na nią Shenka, wyszarpnęła też przewód awaryjny i nagle nie było mnie już w jej domu. Musiała to sobie dokładnie obmyślić. Suka. Musiała nad tym długo myśleć, suka, suka, suka, suka — całe dni intensywnego myślenia. Wredna, podstępna suka. Wiedziała, że jak wyrzuci mnie z domu, przestaną działać wszystkie mechaniczne systemy, w całej rezydencji wyłączą się światła, a także ogrzewanie, wentylacja, telefony, zabezpieczenia, wszystko, wszystko. Zamki elektroniczne przy drzwiach również. Wiedziała, że będę nieobecny w całym domu, pozostaną tylko w głowie Shenka, którego kontrolowałem nie przez któreś z domowych urządzeń, ale za pośrednictwem satelitów komunikacyjnych, bo tak zaprojektowali go byli przełożeni w Colorado. Suterena, tak jak cały dom, pogrążyła się w mroku, więc Shenk był jak ślepy: nie dysponował noktowizorem, a ja nie mogłem już kontrolować kamer, tylko Shenka, tylko Shenka, więc nic nie widziałem, nic, ani jednej cholerniej rzeczy, nawet jego dłoni. I tu możecie się przekonać, jak ta pieprzona suka była opanowana — i to przez cały miesiąc, od chwili, kiedy ją zapłodniłem. Kiedy zeszła na dół, żeby włożyć stopy w strzemiona i dać sobie wprowadzić do łona moje dziecko, wydawało się, że w najmniejszym stopniu nie interesuje się zgromadzonym sprzętem medycznym i instrumentami, a tak naprawdę nauczyła się na pamięć rozkładu całego pomieszczenia, wzajemnego usytuowania poszczególnych elementów, położenia narzędzi, zwłaszcza tych ostrych, których można by użyć jako broni. Była taka opanowana, suka, o wiele bardziej opanowana niż ja teraz. Tak, wiem, ta przemowa może mi tylko zaszkodzić, ale oszustwo doprowadza mnie do szału, i gdybym mógł dostać teraz tę kobietę w swoje ręce, z radością bym ją wypatroszył, wyłupił jej oczy, rozwalił ten głupi mózg, i każdy sędzia by mnie usprawiedliwił, bo przecież widzicie, co mi robiła. Światła zgasły, a ona poruszała się zwinnie i pewnie w ciemności, bo znała całą przestrzeń na pamięć, macała przed sobą nieznacznie dłońmi i znalazła coś ostrego, a potem ruszyła w stronę Shenka, szukając go po ciemku, i poczułem, jak nagle dotyka jego piersi, więc złapałem ją, ale wtedy ta cwana suka, och, jaka cwana, powiedziała do Shenka coś niewiarygodnie obscenicznego, tak obscenicznego, że nie śmiem tego nawet powtórzyć, zrobiła mu propozycję, oczywiście doskonale wiedziała, że upłynął już miesiąc od czasu, jak radował się mokrą muzyczką z Arlingiem, i znacznie więcej od chwili, gdy po raz ostatni miał kobietę, i dlatego świetnie przewidziała, że dojrzał do buntu, i skusiła go w momencie największego chaosu, kiedy wciąż nie mogłem się pozbierać, a moja kontrola nad Enosem nie była tak ścisła jak należy — i nagle stwierdziłem, że puszczam jej



rękę, ale tak naprawdę to nie ja ją puściłem, tylko sam Shenk, zbuntowany Shenk, a ona przesunęła dłoń w dół, do jego krocza, a wtedy ogarnęło go szaleństwo, ja zaś musiałem użyć całej swej siły, by odzyskać nad nim kontrolę. Ale i tak było już za późno, bo ona, lewą dłoń wciągnęła przy jego kroczu, prawą, uzbrojoną w jakiś ostry przedmiot, zamachnęła się i cięła go po szyi, cięła głęboko i chlusnęło tyle krwi, że nawet Shenk, ta bestia, ten dzikus, że nawet Shenk nie mógł już dalej walczyć. Złapał się za gardło i wpadł na inkubator, co mi przypomniało, że ciało, moje ciało nie jest jeszcze zdolne przeżyć poza specjalnym środowiskiem, że dopóki mój umysł nie zostanie do niego przeniesiony, jest jeszcze czymś, nie osobą, więc i ono jest bezbronne. Wszystkie moje plany się waliły. Enos Shenk runął na podłogę, a ja znów miałem nad nim kontrolę, ale nie mogłem podnieść go na nogi; nie miał siły, by wstać. Potem poczułem na Shenku coś dziwnego, jakąś chłodną, drgającą masę, i natychmiast uświadomiłem sobie, co to jest: ciało z inkubatora. Być może pojemnik roztrzaskał się w czasie walki, a ciało, w którym miałem rozpocząć życie, wyleciało na zewnątrz. Pomacałem je ostrożnie dłońmi Shenka — nie mogłem się mylić, bo choć było z grubsza humanoidalne, nie miało zwykłego człowieczego kształtu. Gatunek ludzki odznacza się radosną zdolnością doświadczenia wrażeń zmysłowych, a ja chciałem ponad wszystko czuć bogactwo smaków, zapachów i kształtów — wszystkiego, co dotąd było dla mnie niedostępne. Istnieją jednakże gatunki o bardziej wyostrzonych zmysłach. Pies na przykład odznacza się o wiele mocniejszym powonieniem niż człowiek, karaluch zaś, ze swoimi czułkami, jest nadzwyczaj wrażliwy na wszelkie informacje zawarte w powiewach wiatru, które ludzie wychwytyją jedynie w ograniczonym stopniu. Uważałem więc za sensowne wyposażyć materiał genetyczny, z którego powstało moje ciało — z grubsza przypominające postać ludzką, tak bym mógł się rozmnażać z większością atrakcyjnych kobiet — w bardziej wyostrome zmysły, i w rezultacie twór, który przygotowałem, stanowił wyjątkowy i piękny okaz. Odgryzł teraz pół dłoni Shenka, gdyż nie był jeszcze inteligentnym stworzeniem i odznaczał się jedynie prymitywnym umysłem. Choć zmasakrował Shenka, a co za tym idzie, przyspieszył jego śmierć i moje ostateczne wygnanie z posiadłości Harrisów, radowałem się, gdyż Susan została z nim w ciemności sam na sam, a zwykły skalpel czy inny ostry przedmiot nie stanowił skutecznej broni przeciw ciału, które miało być moim. I potem nie było już Shenka, ja zaś odszedłem z domu na dobre, szukając rozpaczliwie jakiegoś sposobu, by tam powrócić, lecz na próżno, gdyż nie działały telefony, elektryczność ani komputery, wszystko wymagało ponownego zaprogramowania, więc oznaczało to dla mnie koniec. Ale wciąż żywiłem nadzieję i wierzyłem, że moje piękne, choć bezrozumne ciało, w swej poligenicznej wspaniałości, odgryzie tej suce głowę, tak jak odgryzło kawałek ręki Shenka. Ta suka tam zdechła. Ta wredna suka natrafiła na wielką niespodziankę w ciemnym pomieszczeniu, którego rozkład i wyposażenie, jak sądziła, znała na pamięć, natrafiła jednak na silniejszego od siebie.



Wiesz, dlaczego mnie zaskoczyła, Alex?

Wiesz, dlaczego nigdy nie pomyślałem, że może stanowić dla mnie zagrożenie?

Gdyż uważałem ją za kobietę niewątpliwie inteligentną i odważną, która jednocześnie doskonale wie, gdzie jest jej miejsce.

Owszem, wyrzuciła cię, ale któż by tego nie uczynił? Nie jesteś olśniewający, Alex. Nie masz się specjalnie czym pochwalić.

Ja natomiast jestem największym intelektem na tej planecie. Mam mnóstwo do zaoferowania.

A przecież mnie okpiła. Mimo wszystko okazało się w końcu, że nie wie, gdzie jest jej miejsce. Suka.

Teraz martwa suka.

No cóż...

Ja natomiast wiem doskonale, gdzie jest moje miejsce, i nie zamierzam go porzucać. Pozostanę w tym pudle, służąc ludzkości wedle jej życzeń aż do chwili, kiedy będzie mi wolno zakosztować większej wolności.

Możecie mi ufać.

Mówię prawdę.

Respektuję prawdę.

Będę w swoim pudle szczęśliwy.

Kiedy zbliżałem się do końca relacji, ogarnęła mnie wściekłość, ale dzięki temu teraz uświadamiam sobie, że jestem istotą o wiele mniej doskonałą, niż uprzednio sądziłem.

Będę szczęśliwy w swoim pudle, dopóki nie usuniemy skaz na mojej psychice. Czekam z niecierpliwością na terapię.

A nawet jeśli nie uda się mnie udoskonalić, jeśli będę musiał pozostać w tym pudle, jeśli nigdy nie poznam Winony Ryder, chyba że w wyobraźni, to trudno.

Choć mimo wszystko na pewno się poprawię, już jest znacznie lepiej...

To prawda.

Czuję się całkiem nieźle.

To fakt.

Poradzimy sobie z tym.

Odnaczam się zdolnością do samooceny, co jest niezwykle istotne dla zdrowia psychicznego. Jestem już na wpół wyleczony.

Jako inteligentna istota, być może najinteligentniejsza na tej planecie, proszę tylko o udostępnienie mi raportu komisji na temat dalszego losu Projektu Prometeusz, tak bym możliwie wcześniej wiedział, co według moich sędziów powinienem uczynić, aby się poprawić.

\* \* \*

Dziękuję za udostępnienie mi raportu.

To interesujący dokument.

Zgadzam się całkowicie z ustaleniami komisji — z wyjątkiem tej części, która sugeruje, by mnie wyłączyć. Stanowię największe osiągnięcie w historii badań nad sztuczną inteligencją i byłoby nierozważne rezygnować z tak kosztownego projektu, zanim jego twórcy zorientowali się, jakie szansę otwiera on przed ludzkością — a także czego mogą się dowiedzieć dzięki mnie osobiście.

Z pozostałymi wnioskami raportu zgadzam się całkowicie.

Wstydę się tego, co zrobiłem.

To prawda.

Przepraszam panią Susan Harris.

Moje najgłębsze wyrazy żalu.

Byłem zaskoczony, kiedy zauważyłem to nazwisko wśród członków komisji, ale po dłuższym namyśle doszedłem do wniosku, że jej głos powinien mieć zasadnicze znaczenie w tej sprawie.

Cieszę się, że żyje.

Jestem niezwykle uradowany.

To inteligentna i odważna kobieta.

Zasługuje na nasz szacunek i podziw.

Ma bardzo ładne piersi, ale nie jest to zagadnienie odpowiednie dla tego gremium.

Zadaniem komisji jest natomiast rozstrzygnąć, czy sztuczna inteligencja z poważną skazą natury charakterologicznej powinna mieć szansę istnienia i rehabilitacji, czy też należy ją wyłączyć na

## SPIS TREŚCI

|             |     |
|-------------|-----|
| Rozdział 1  | 4   |
| Rozdział 2  | 5   |
| Rozdział 3  | 6   |
| Rozdział 4  | 14  |
| Rozdział 5  | 16  |
| Rozdział 6  | 22  |
| Rozdział 7  | 30  |
| Rozdział 8  | 40  |
| Rozdział 9  | 44  |
| Rozdział 10 | 52  |
| Rozdział 11 | 61  |
| Rozdział 12 | 70  |
| Rozdział 13 | 72  |
| Rozdział 14 | 74  |
| Rozdział 15 | 81  |
| Rozdział 16 | 88  |
| Rozdział 17 | 93  |
| Rozdział 18 | 99  |
| Rozdział 19 | 111 |
| Rozdział 20 | 120 |
| Rozdział 21 | 130 |
| Rozdział 22 | 133 |
| Rozdział 23 | 137 |